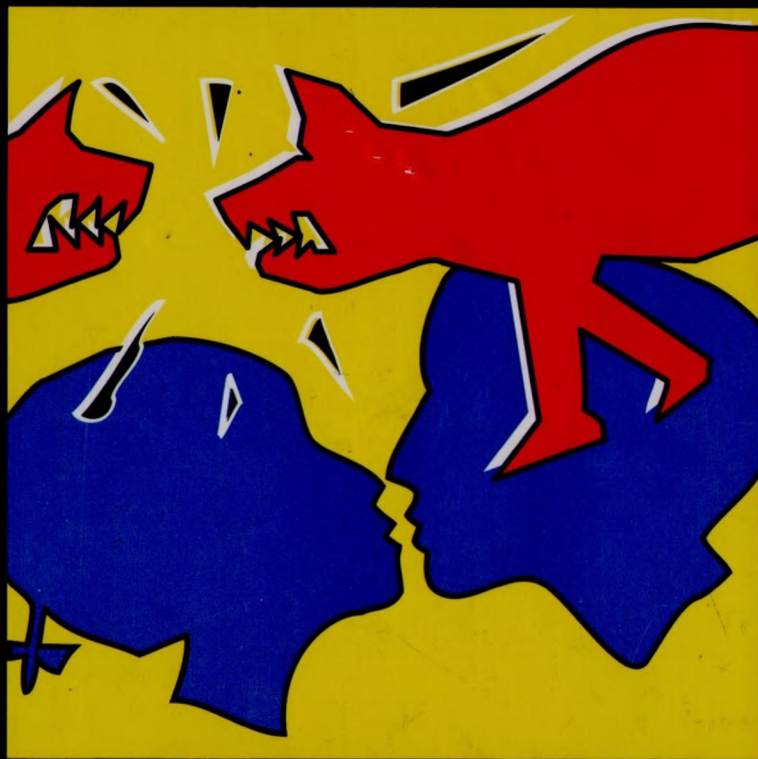


MUNIEK STASZCZYK



T LOVE  
D Z I E C I R E W O L U C J I



*Marcie, moim dawnym kumplom.*

**Muniek Staszczyk**

**T.Love - Dzieci rewolucji**

Koncepcja i realizacja książki

Paweł Dunin-Wąsowicz

Projekt okładki - Paweł Wroniszewski

Fotografie:

Andrzej Georgiew (strona 7, 58, 100), Wojciech  
Romański (strona 30, 56, 72, 73, 78), Andrzej  
Hrechowicz (45), Andrzej Rodys (40), Robert Król (58,  
73, 99), Jerzy Gumowski (79), Marek Sławiński (82),  
Beata Szostek (92), Małgorzata Potocka (98) oraz  
domowe archiwum autora

Redaktor techniczny - Barbara Domosławska

© Copyright by Wydawnictwo „Zebra” 1992

ISBN 83-85076-23-9

**Wydawnictwo „Zebra”**

Warszawa, ul. Nowogrodzka 8/33

Wydanie I

Skład i łamanie *ArtGraph*

**Druk i oprawa: Zakłady Graficzne w Katowicach**

**Al. W. Korfantego 138, tel. 58-44-61**

**Zam. 920/7113/2**

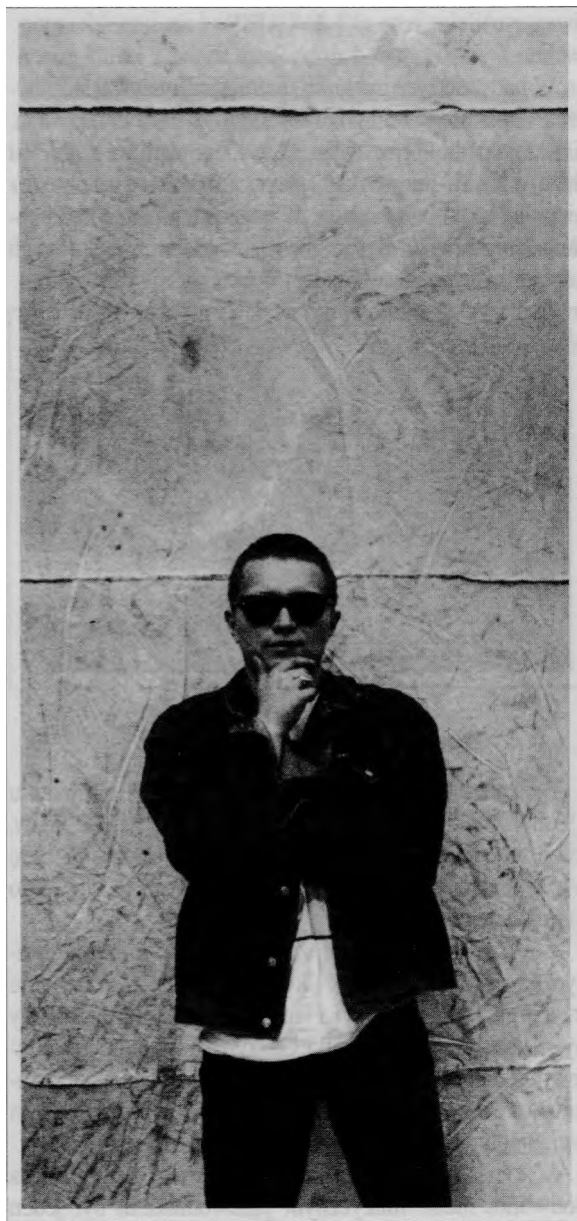
# Muniek Staszczyk



## INTRO

Byłem świadkiem i kibicem rewolucji Sierpnia 80. W lipcu wyjechałem z Zającem na Pop Session do Sopotu i poznaliśmy tam dziewczyny z Nowej Rudy Śląskiej, z którymi umówiliśmy się na sierpień. Przyjechalіśmy znów na Wybrzeże na trzy dni przed strajkami. Chodziliśmy pod Stocznę. Bobesz robił zdjęcia ryzykując, bo nie wolno było. Myślę, że tamte wydarzenia miały wpływ na mój ówczesny rozwój psychiczny. Rok 1980 przyniósł rewolucję społeczną i w tym samym roku postanowiłem założyć swój pierwszy zespół rock'n'rollowy.

Mumiek  
Staszczuk



## ALFABET

W podstawówce był koleś, pamiętani, nazywał się Zbyszek Piątek. Jego brat gdzieś w 1974-75 roku był hipisem, a raczej posthipisem. Zbyszek pod jego wpływem słuchał dużo muzyki, na przykład grupy SBB, i chyba poprzez niego to się u mnie zaczęło. W gazetach takich jak „Panorama” czy „Świat Młodych” wyszukiwałem zdjęć różnych kapel nie mając nawet magnetofonu.



*W podstawówce był koleś...*

Czekałem na ten magnetofon. Tata mi go kupił w roku 1975. To był model ZK-120T. Jeden jego kolega z pracy, młodszy od niego, miał taśmy. Dużo glam rocka - tego się wtedy słuchało: Slade, Sweet, Suzi Quatro, to wtedy do mnie docierało.

Zbyszek powiedział mi, że jest audycja w radiu: „Muzyczna poczta UKF” od 17.05 codziennie w programie trzecim, i że fajna muzyka leci w środy i piątki. W środy był Kaczkowski, a w piątki Gaszyński. Więc kiedy miałem już magnetofon, to zacząłem tego słuchać. Nagrywanie sprawiało mi straszną frajdę i w ten sposób zostałem wciągnięty w rocka.

W klasie ja i Zbyszek byliśmy pierwsi, natomiast na podwórku moim muzycznym przewodnikiem był jeden facet, starszy ode mnie, Andrzej Stefaniewicz. Na początku byłem na osiedlu nieważny, ale jak zacząłem nagrywać

Poczętę i coraz lepiej orientować się w temacie, to moje notowania wzrosły. Rozpoczęły się kontakty wtajemniczonych oraz wymiana taśm szpulowych. Jak się taśmy obrywały, to była wielka tragedia.

„Muzyczna poczta UKF” była dla mnie tak istotna, że gdy musiałem gdzieś wyjść, zostawiałem ojcu instrukcje, aby mi ją koniecznie nagrał. Potem pojawiła się w południe audycja „W Tonacji Trójki”. Uciekałem na dużej przerwie ze szkoły do domu, a miałem tam dwa kroki, aby jej posłuchać.

W niedzielę był program „Zapraszamy do Trójki” z telefonami od słuchaczy na różne tematy. Parę razy tam dzwoniłem, no i nagrywałem siebie na magnetofon. Radio było dla mnie wówczas strasznie w a z n e. O punk rocku dowiedziałem się trochę później z artykułów w prasie. „Razem” już wtedy było taką kultową gazetą, bo drukowało gołe baby i coś o muzyce. W 1977 r. zacząłem kupować „Non Stop” oraz śląską „Panoramę”, tam był (i jest do dziś) Zygmunt Kiszczakiewicz, który pisywał debilne teksty, ale zamieszczał dużo zdjęć zespołów. Artykuły o punku były wówczas bardzo tendencyjne, że to młodzież bezrobotna, chuligani i tak dalej. Pisali, żeby odstraszyć, a mnie to podniecało. Ktoś nawet napisał, że pierwsi punk rocka grali Beatlesi, dziś widzę, że to rzeczywiście prawda, te nagrania z Hamburga... Wtedy prowadziłem zeszyty ze zdjęciami kapel, miałem ich chyba z pięć. Pamiętam, że z „Razem” powycinałem fotografie jakichś londyńskich punków i je sobie wkleiłem. Agrafki, żyłki i dziwne makijaże - to mnie brało. Muzycznie natomiast pierwszą poznaną przeze mnie grupą punkową byli The Stranglers, puszczał ich Kaczkowski w „Radiokurierze”. Wówczas nasi rodzimi fachowcy od muzyki podłączali pod punka także Blondie, był taki numer „Denis” - z dzisiejszej perspektywy niezły popowy kawałek. Jeszcze The Jam - „Ali Around the World”, ale wtedy mi się nie podobał. Tak naprawdę jednak pierwszym punkowym numerem, który zrobił na mnie wielkie wrażenie, był „Pretty Vacant” Sex Pistols. To było jesienią 77, słuchałem wtedy Radia Luxembourg i byłem na bieżąco, pamiętam z tego Eivisa Costello, właśnie The Jam, dopiero później The

Clash. Potem jeden kolega przywiózł z Anglii płyty - przegrałem sobie „No More Heroes” i oczywiście „Never Mind The Bollocks”. W Częstochowie działa się trochę inaczej niż w Warszawie, gdzie było więcej ludzi, którzy jeździli na Zachód i mieli płyty. My opieraliśmy się głównie na tym, co można było nagrać z radia. Mieć płytę - to ciągle było coś. Panował kult płyt, teraz tego nie ma.

Moje zainteresowanie punkiem wzięło się chyba z tego, że na niczym nie grałem, a chciałem być bardzo związany z muzyką. W gazetach czytałem, że oni nie potrafią grać i to na mnie działało. I jak dziś czytam, że „kapela nie była zbyt sprawna technicznie” to mnie kręci, wierzę że coś w niej jest...

Trochę dziwne jest to, że z jednej strony podobał mi się punk, a z drugiej takie rzeczy jak glam rock (T.Rex, Slade, Sweet). Byłem nawet na koncertach Smokie i Slade - bo ojciec załatwił mi bilety z tej puli, jaką dostawali pracownicy huty. Koncerty te odbywały się w Katowicach, do Częstochowy docierały tylko grupy węgierskie: General, V Moto Rock, Scorpio, Omega. Zacząłem słuchać punka i pojechałem na koncert Smokie (ha, ha, ha). Następnie próbowałem się ostro ubierać, jakaś długa marynarka, koszulka... Takie swojskie ujęcie punk rocka.

Drugim takim „punkiem” był Słoniu, z którym chodziłem jeszcze do podstawówki. Ja miałem magnetofon szpulowy, a on Grundiga, kaseciaka - co było wtedy szpanem. Byliśmy przyjaciółmi i to ja chyba zaraziłem Słonia muzyką. Próbowałem się nauczyć grać na gitarze. Ale jakoś nie wychodziło. Miałem w głowie kawałki i nie umiałem ich zagrać. Wymyśliłem „lips rocka”, takie wyśpiewywanie dźwięków, miałem tak zalipsowaną całą taśmę. Jeszcze w podstawówce wymyśliliśmy ze Słoniem kapelę George Staszczyk Selection, która później przeistoczyła się w The Schoolboys. Właściwie to nie była żadna kapela, bo było tylko nas dwóch i większość procesów twórczych odbywała się jedynie w naszych głowach. Wymyślaliśmy różne piosenki, które lipsowałem na przerwach udając gitarę, bas, klawisze, a Słoniu walił rękoma w ławkę. Pewnego dnia chcąc zmanifestować swoją punkową odmienność, a było to w VIII klasie (rok 78) poszliśmy

poprzebierani na lekcję religii. Na szyi mieliśmy zawieszane kartki z napisem „Częstochowa pali się z nudów”. Idea The Schoolboys ożyła ponownie w naszych sercach w I klasie liceum, gdzie odbyła się nawet jedna próba w domu niejakiego Kukiełki. Słoniu i ja byliśmy domnianymi gitarzystami, basistą był Tomek Nowak, (o którym parę słów w następnych rozdziałach), klawiszowcem Darek Zająć, a perkusistą gospodarz. Zakrwawione palce moich rąk, zwątpienie Słonia, zerwana struna basówki „Romeo” i cynizm Zająć jako poważnego wówczas muzyka - to plon tego spotkania. Wkrótce Schoolboys przestali istnieć.

## ATAK

Próbujesz założyć kapelę. Masz dużo czasu, energię i nic ci nie wychodzi. Pożyczasz od kumpla gitarę, ale palce krwawią i w końcu okazuje się, że ta gitara jest za trudna dla ciebie. Słuchasz muzyki, przemienił się tobie przez głowę punk i new wave, bo to już wiosna 1980 roku. Masz swój pogląd na muzykę i gust bo to już III klasa liceum. Już trochę liźnąłeś nawet Stonesów i Dylana. Co możesz? Grasz z kolegami w klasie, ale nic nie wychodzi, bo nikt nic w zasadzie nie umie. Załamujesz się. Nagrywasz znowu tego swojego lips rocka...

Potem pojechałem na wakacje do Sopotu. Widzę na scenie Kryzys i myślę - kurcze, oni prawie nie umieją grać, a coś w tym jest. Napakowany energią wracam do szkoły i dowiaduję się, że w klasie sportowej jest taki Marek Kramer, który marzy o założeniu swojego zespołu.



*Widzę na scenie Kryzys i myślę, kurcze oni prawie nie umieją grać...*

Jego idolami byli Nalepa i AC/DC. Chciał, żebym śpiewał „Dziecko w czasie”. Graliśmy u niego w domu, on na pudle, bo nie miał jeszcze elektrycznej, ja śpiewałem. Tak jak ja, Marek miał swoje wymyślone zespoły których był domniemanym liderem, rozpisywał ich nie istniejące składy i malował okładki fikcyjnych płyt. Wymyśliłem nazwę Opozycja. To były jego piosenki i kilka moich pierwszych

tekstów, m.in. słynny numer „Carmila” o wampirze, który stał się później największym przebojem Opozycji. Cały czas żyłem ideą założenia grupy punkowej, wierząc, że coś się da zrobić z tego hardrockowca. On uważał, że jestem beznadziejnym wokalistą, co zresztą było prawdą. Z drugiej strony był podjarany tym, że mam taką straszną wiarę, w końcu uwierzył i zaczął szukać następnych muzyków. Tak trafił do nas Koni, który przyszedł na próbę jako uczeń II klasy Technikum Górniczego, bądź Budowlanego i grał na pudle partie basu, jako że nie posiadał prawdziwego instrumentu. Na tej pierwszej próbie przestraszył się nas bo byliśmy strasznie pijani i agresywni. Koni powiedział, że zna gitarzystę Darka Zajdlera, który był jego sąsiadem, razem z Koniem uwielbiali Thin Lizzy. Jeszcze wtedy nie wiedziałem co się święci i w jaką ja muzykę się pakuję. Na bębna dołączył Tomek Knop, który odwałał chałtury na weselach i taki był początkowy skład Opozycji.



*Mitniek - vocal, Ted „Jane” Kramer - gitara  
(duet nowofalowy -1980)*

Jednak pierwszy koncert zagrałem jeszcze z samym Kramerem na Andrzejkach w szkole, jako duet nowofalowy Atak. Atak, a nie Opozycja, ponieważ nasz profesor od fizyki, świętej pamięci Jerzy Królica, przestraszył się i kazał nam zmienić nazwę (był gorący rok 80). Wyszliśmy na dyskotecę i wykonaliśmy cztery numery. Marek pierwszy raz grał na gitarze elektrycznej z fuzzem, strasznie się po-



dniecał. Zaraz potem kupił sobie polskiego fuzza, wydzwaniał do mnie w nocy i grał mi przez telefon swoje numery'.

Regularne próby z całym składem Opozycji zaczęliśmy w Blachowni pod Częstochową, niedługo po Andrzejkach. Od początku chcieli mnie wyrzucić z zespołu, zostawili mi tylko jeden numer - właśnie „Carmile”. Mieli swojego kandydata na wokala, Grzeska Ogłązę (to teraz jeden z większych freaków w Częstochowie), mieli swój system wartości. Darek Zajdler i Koniu przeciągnęli na swoją stronę Kramera, co nie było trudne, bo i on wołał hard rocka. Sex Pistols podobali się Markowi tylko dlatego, że gitara przypominała mu AC/DC. Zadebiutowaliśmy w klubie „Wakans”, gdzie grała próby częstochowska jazzowa legenda - Tie Break. Jak fachowcy z Tie Breaku zobaczyli Opozycję - załamali się. Nazwali nas październikami. Ale na koncert przyszło fułi ludzi.

Dogadałem się w końcu z Koniem, że będę z nimi występował, poszli na kompromis - śpiewałem tylko w dwóch utworach. Tak było przez pół roku, zanim sytuacja się nie zmieniła. W roku 81 zakwalifikowaliśmy się do Jarocina jako kapela konkursowa. Po przesłuchaniach Walter Chelstowski klepnął mnie w plecy za numer „Carmila” i powiedział, że to fajne, a oni byli bardzo podatni na autorytety, dzięki czemu stałem się ważniejszy w zespole. Z kolei Ziemek Kosmowski z punkowego Braku (później Rendez Vous) określił to tak: „Johnny Rotten śpiewający z Genesis”. Ja miałem krótko obcięte włosy, chyba nawet pomalowane, spodnie-worki - baggy trousers, a oni koszulki „Opozycja”, dzinsiki - taki socjalistyczny rock. W Jarocinie koncerty odbywały się w JOK-u, finał był w amfiteatrze, ale nie zakwalifikowaliśmy się. Tam występował Perfect, a konkurs wygrało TSA. Kramer zwariował na ich punkcie, gdy zobaczył, że można grać prawie tak jak AC/DC. Chciał zostać ich technicznym, kimkolwiek, pojechał gdzieś za nimi.

Zaraz po Jarocinie'81 Opozycja jakby podupała. Odszedł Kramer (założył potem z 15 lokalnych zespołów hardrockowych, kupował różne piece i gitary, po paru latach zrezygnował chyba z grania). Kapela rozwiązała się na okres wakacji, by potem jesienią zawiązać się na nowo, zmieniając orientację. Zaczęliśmy grać numery reggae, a raczej rock steady. Mój wpływ był większy, stawałem

się głównym wokalistą. Grzesiek chwycił za gitarę i odjechał na Marleya. Zaczęliśmy palić trawę, którą wraz z nasionami przywieźliśmy z Bobeszem z Pop Session w Sopocie. Opozycja stawała się niezłą grupą. Nawet Maciek Guralski z Kryzysu powiedział mi wówczas, że to jest fajny zespół. Pojechaliśmy na II Festiwal Nowej Fali do Torunia, gdzie graliśmy obok ortodoksyjnych załóg jak Nocne Szczury czy Rejestracja. Jako jedyni zagraliśmy tam numer reggaowy: „Let's Go It's Reggae Music”. Publika w Toruniu, choć nastawiona na punkowy czad, zaakceptowała nas. Rażniej pojawiło się kilka artykułów w prasie ogólnopolskiej, m.in. Wiemika w „Słowie Powszechnym”. Dało nam to kopa do działania. Wszystko wydawało się być na dobrej drodze. Jednak po 13 grudnia straciliśmy impet. Zespół grał jeszcze trochę, ale bez mojego udziału psychicznego, ponieważ już jesienią 81 poczułem się samodzielny na tyle, że zacząłem myśleć o zrobieniu innej, zupełnie własnej grupy.



*Opozycja*

Głównie rozmawiałem o tym ze Słoniem. Teraz miał być perkusistą. Fizyk Królicza wziął go bowiem na bębny do szkolnego zespołu Aksjomat, który grał na akademiach. To był beznadziejny zespół, zupełnie socreal. Grali takie piosenki w stylu „Nic się nie bój, idź na przebój”, które pisał i komponował Królicza brzdąkając wymiennie na paru instrumentach. Miał on o sobie mniemanie najlepszego fizyka wśród muzyków i odwrotnie. Darek Zajac był u niego przegrany, bo kiedyś też występował w tym zespole, ale zbuntował się i powiedział, że więcej nie będzie grał Sipińskiej. A dla Królicy Sipińska to była wielka muzyka.

## BAS

13 grudnia zamknęli szkołę. Była zima, nudno, patrole na ulicach, ciężko o alkohol. Pomyślałem - może teraz, jest dużo czasu. Pożyczyłem gitarę basową od Tomka Nowaka - kolegi z klasy, który później mi ją podarował, bo był na tyle bogaty, że to olewał. To była skrzypcowa „Romeo”. Dałem basówkę Jankowi Knorowskiemu z III C, gitarzystą miał być Darek Gajewski, który teraz jest w szkole filmowej w Łodzi, a ja zamierzałem grać na instrumentach perkusyjnych i śpiewać. Ale pomyślałem sobie, że fajniej będzie jak będę grał na jakimś poważniejszym instrumencie. Poszedłem do Janka - Daj mi ten bas na święta, Janek, a ty spróbuj na gitarze. Bas jest w sumie prosty - pomyślałem. Do dziś Janek wspomina, że go zrobiłem w trąbę, bo dałem mu cięższą robotę - na sześć strun, a nie cztery. Wziąłem basówkę i podczas świąt Bożego Narodzenia zacząłem komponować piosenki. Pierwszy numer jakiego się nauczyłem to był „Wild Thing” na 2 strunach, a druga piosenka stała się podstawą późniejszej „Gwiazdki”. Bam baba bam ba... Miałem już do niej tekst, trochę pod wpływem wydarzeń grudniowych. Przyszedłem z tym do Słonia.



*Bas jest w sumie prosty*

Początkowo miał być taki skład: ja, Janek, Gaju i Słoni, ale pomyśleliśmy, że bez klawiszka będzie zbyt punkowo, i żeby było jakoś mniej sierniecznie wzięliśmy Zająca. Gaju zaś wymiksował się już na samym wstępie na własną prośbę, jako że nie pojawił się na pierwszej próbie, wybierając spacer z dziewczyną. Obrazililiśmy się na niego.

Tak więc zostało nas czterech. Chodziliśmy do najstarszego gimnazjum w Częstochowie, postanowiliśmy grać. Problem polegał na tym, że żaden z nas, oprócz grającego na organach Darka, nie miał dotąd styczności z instrumentem. Ale jeżeli inni mogli - to dlaczego nie my? Ja z racji „stazu estradowego” zarezerwowałem sobie miejsce wokalisty. Oprócz tego chwyciłem za basik. Resztę składu dopełniły: klawisz, gitara i perkusja. Anglojęzyczna nazwa T.Love (Teenage Love - Miłość nastolatków) przypłała się do mnie właśnie wtedy i tak już pozostała. Dodałem do niej jeszcze słówko Alternative, aby nie było wątpliwości co do charakteru działania zespołu. Ta ładna nazwa kontrastowo dobrze współgrała z otaczającą nas, szarą rzeczywistością. Wkrótce potem rzeczywistość stała się jeszcze bardziej szara, a właściwie biało-zielono-szara, bowiem na terenie całego kraju Generał wprowadził stan wojenny.

Pozamykano wszystko co zamknąć można było, wolność się ulotniła, a my wpadliśmy w szok. Po smutnych świątach i wojennym sylwestrze rzuciliśmy wyzwanie beznadziei i apatii. W domu Zająca rozpoczęliśmy próby. Był styczeń 82. Granie w zespole było lekiem na wojenną atmosferę bijącą z polskich ulic tamtej zimy. Ulic pełnych śniegu i wojskowo-milicyjnych patroli. Spotykaliśmy się wtedy bardzo często. Teksty piosenek rodziły się jak z rękawa - gorzej było z muzyką. Zналиśmy tylko kilka podstawowych akordów, dodatkowym kłopotem był brak prawdziwego sprzętu nagłaśniającego i miejsca na próby. Słoni bił pałeczkami w książki i zeszyty, gitary podłączaliśmy do odbiorników radiowych robiących za prymitywne wzmacniacze. Plusem było jednak to, że Darek mieszkał w wolno stojącej willi i wobec tego odpadały kłopoty związane z hałasem, który w standardowym bloku na

pewno wkurwiałby sąsiadów. Mama Darka nastawiona była do nas bardzo przyjaźnie, robiła nam kanapki. Ojciec miał bardziej konkretne podejście i chyba trochę irytował go nasz rzech, gdy chciałem sobie odpocząć. Mama natomiast była naszym kibicem i nawet opatrywała nam palce pokrwawione od zbyt intensywnych zmagania ze strunami.



*Darek i jego organy*

Darkowi tata kupił ernerdowskie organy Vermona za 45 tysięcy złotych, to było wtedy bardzo dużo pieniędzy. Nie pozwalał mu jednak wynosić tego instrumentu z domu i był to wielki problem. Do Vermony Zając posiadał wzmacniacz Eltron 30, gdzie wpinałem też bas. Gitara Janka podłączona była natomiast do radia - „Amatora” czy też „Zodiaka”. Próby utrwalaliśmy na kaseciaku. ta taśma istnieje do dziś. Słoniowi walił palcami po książkach, no i parę pozycji przedziurawił. Graliśmy „Wild Thing”, „Gwiazdkę”, „IV B” (taki utwór o paru postaciach z naszej klasy), „Moje miasto” (piosenkę o Częstochowie z rymami „ulice/ladacznice”, a więc w lokalnej poetyce mieszczącymi się dobrze). Moje ówczesne przemyslenia doprowadziły także do powstania cynicznej piosenki w stylu Joy Division zatytułowanej „Ziemia jest piękna (Ludzie są źli)”. Tak w ogóle to wierzyłem wtedy w jakiś etos straconego pokolenia, na dodatek nazywałem się „Kolumbów”, jedynej powieści Bratnego, którą da się strawić.



*Pierwszy koncert zagraлиśmy na naszej studniówce*

Pierwszy koncert zagraлиśmy na naszej studniówce 4 lutego 1982. Wynikły problemy z Jankiem, który był o rok młodszy, a więc dopiero w III klasie. Dyrektor był bardzo zasadniczy, kazał mu przebywać całą imprezę w zamknięciu i pozwolił wyjść tylko na występ. Janek siedział w szatni sali gimnastycznej i tam wszyscy przynosili mu wodę.

Gdy wyszedł na scenę, był już denatem, zresztą nawet gdyby był trzeźwy też nie zagrałby rewelacyjnie, bo dopiero od miesiąca ćwiczył na gitarze. My też byliśmy na niezłej bani. Studniówka była krótka, zaczynała się o 15, a kończyła o 22, bo obowiązywała godzina milicyjna. Dzień wcześniej poszedłem do fryzjera, chyba przypominałem poppersa. Zaprzyjaźniony z ojcem krawiec, pan Zdzisiek, na życzenie mamy, uszył mi miarowy garnitur. Spóźniłem się trochę na imprezę i na poloneza się nie załapałem. Stoję w drzwiach i patrzę, a wszyscy tańczący mają już od procentów czerwone buzie.

Występował zespół klezmerski, który pozwolił nam zagrać tylko dlatego, że wstawił się za nami dyrektor. Perkusista miał bębny powiązane sznurkami, Słoniowi oczywiście to wszystko się rozpadło i bębny odjechały, każdy w swoją stronę. Zdaje się, że nauczyciele nawet nie za bardzo zauważyli kto gra i tańczyli w parach przy naszej

muzyce. Zagraliśmy cztery piosenki, w tym na pewno „Wild Thing” i „Ogolone kobiety”...

Po studniówce miała być prywatka u mojej koleżanki, niejakiej Dzidy, ale okazało się, że imprezy nie ma. Zostaliśmy więc na lodzie. Jako, że moi starzy już spali, zaprosiłem Słonia do swojej piwnicy gdzie miałem schowany 5-litrowy bidon z piwem przeznaczonym na balangę. Daliśmy straszną banię. Słoniowi chciał potem w tej piwnicy nocować na kopcu ziemniaków. Strasznie pobudziliśmy swoje nowe garnitury.

Po debiucie zyskaliśmy pewną sławę jako T.Love. Zaproszono nas abyśmy zagrali w konkurencyjnym liceum Traugutta, gdzie nie było kapeli. Tym razem zjawiliśmy się w rock'n'rollowym image; glamowe klimaty, pomalowane rzęsy. Nasz występ odbywał się podczas akademii z okazji Dnia Kobiet. Młodzież szalała, marynarki w powietrzu, te rzeczy, grono natomiast nie było zadowolone. Po trzecim numerze wyłączono nam prąd. W święte miasto poszła fama o nowym skandalicznym koncercie.

Po wywaleniu nas z Traugutta, gdzie przed występem mogliśmy zrobić kilka pierwszych prób na prawdziwym sprzęcie, zaczęliśmy grać w klubie „Stradom”. Od kwietnia do czerwca mogliśmy odbywać próby co sobotę. Zagraliśmy tam pierwszy samodzielny koncert, na który zaprosiliśmy samych znajomych. Kupiliśmy ze Słoniem ze sto widokówek, odręcznie wypisaliśmy zaproszenia na „Alternative Music Meeting”. Kolesie z Opozycji, nasi goście, nie byli zachwyceni poziomem warsztatowym T.Love, choć możliwości techniczne Vermony ( strzały i wybuchy w „Ogolonych kobietach”) oczarowały Konia.

Jesienią, po egzaminach na studia, Słoniowi bez kompleksów stwierdził, że jesteśmy już nieźli i możemy nawet grać bez prób. Dalej w mieście dawaliśmy koncerty, z których jeden jest wart wspomnienia, albowiem poświęcony był pamięci niejakiego Kopciura. Kopciur pracował na hucie, grał na bębnach w grupie Szambo i pił wódkę. Po pijanemu niechcący zagazował się w mieszkaniu i umarł. Zanim umarł, przeczuwając swoją śmierć powiedział swoim kolegom z kapeli, Mikserowi i Dzumie, że chciałby aby na jego grób wylać pół litra i puścić mu do trumny

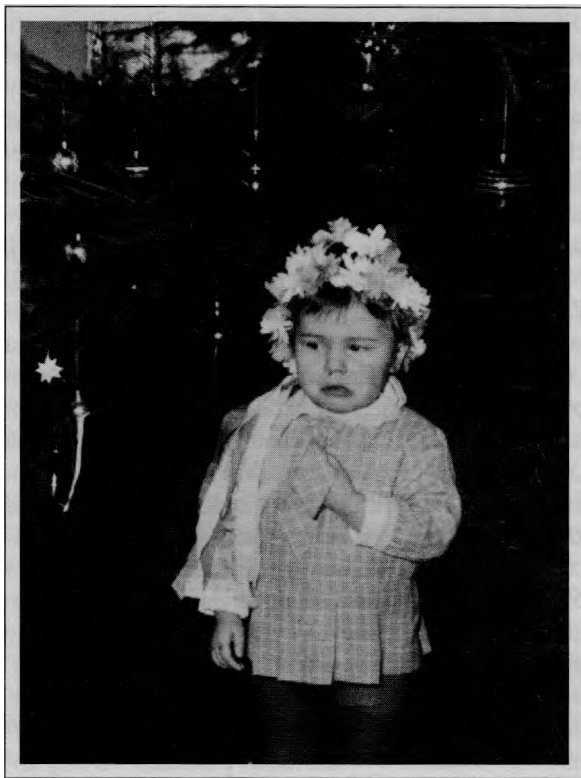
The Damned. Tak się też stało. T.Love Alternative wystąpił na koncercie poświęconym Kopciurovi 29 grudnia 1982 jako T.Love Agression (bez Zająca, który pojechał z narzeczoną w góry) trio punkowe - ja, Janek i Słoniowi. Janek wystąpił w oficerkach i bryczesach. Graliśmy (podłączeni do różnych fuzziów) numery U.K. Subs i inne. Wtedy po raz ostatni wystąpiła również Opozycja.

Nieco wcześniej Maciek Gurański, który nie grał już w Kryzysie i był rozżalony na Brylewskiego (bo się Brylewski nauczył palcami przebierać i jest gwiazdorkiem, grającym rocka - coś najgorszego w roku 1982) załatwił nam koncert w Remoncie. Przyszło sporo ludzi, śpiewałem i w Opozycji i w T.Love. Przyjęto nas chłodno, ale nikt nie wychodził. Po koncercie punkowcy pobili Jacka Pałuchę (patrz rozdział „Jacek”), który z nami przyjechał i zabrali mu szalik.

Koncert w Remoncie był pierwszym płatnym występem T.Love. Dostaliśmy po kilkaset złotych na głowę, za co można było się wówczas nieźle narąbać. Dodatkowo zapewniono nam nocleg w orbisowskim hotelu Novotel, gdzie stacjonowała jednostka ZOMO. Zrobiliśmy imprezę, były akurat moje 19 urodziny. Przyszedł zomowiec i prosił o spokój. Odpowiedzieliśmy, że jesteśmy artystami. Wcześniej w pokoju podłączyłem bas pod radio, Słoniowi stukał i zrobiliśmy próbę nowego numeru „Marzyciele”, który powstał wtedy właśnie, z tym, że w wersji reggaeowej i nieco innej tekstowo.

## BEATA

Grudzień 1981 łączył dla mnie kilka ważnych spraw. Następował schyłek zespołu Opozycja. Na jego koncercie 4 grudnia w klubie „Emko”, gdzie przyszło niewiele osób. poznałem Beatę z II A. moją największą licealną miłość. 13 grudnia rozpoczęły się nieoczekiwanie długie ferie zimowe. Powstał zespół T.Love.



*Beata - licealna miłość*

Z prób jeździłem do Beaty, u której siedziałem do dziesiątej, a potem jak złagodzili godzinę policyjną - do jedenastej. Chciałem siedzieć u niej jak najdłużej i dlatego wracając kilka razy bywałem zatrzymywany przez zomoli.

To byli tacy kolesie ze wsi, którzy nagle dostali nieco władzy w swoje ręce. Raz szedłem z basówką po opłotkach, żeby ominąć patrole, których było dużo, bo Beata mieszkała niedaleko dworca, będącego jak to na wojnie istotnym punktem strategicznym. Zomowcy musieli mieć dużo radości, widząc takiego przestraszonego kolesia jak ja. Podeszli do mnie i pytają o dokumenty. Dają im, a oni chcą wiedzieć co mam w pokrowcu. Mówię, że gitarę. A nie karabin? - pytają i każą otworzyć. Otwieram - jest gitara, OK. Byłem mocno wystraszony, bo w kieszeni pokrowca miałem swój zeszyt z tekstami piosenek, i wierszami którymi reagowałem na przemoc dookoła. Myślę, że gdyby go znaleźli i uparli się, mógłby mi ten kącik przysporzyć nieco problemów. Na szczęście skończyło się na strachu. Potem nauczyłem się chodzić swoimi „kanałami”, nawet po godzinie milicyjnej.

Sylwestra 81/82 spędziłem z Beatą na prywatce u Darka Zajdlera, gitarzysty Opozycji, imprezie o tyle charakterystycznej, że przyszli na nią zziębnięci żołnierze z ulicy, pilnujący pobliskiej poczty, również obiektu strategicznego. Myślę, że pod pretekstem interwencji spowodowanej hałasem dobiegającym z balangi chłopaki chcieli się po prostu ogrzać, pogadać i czegoś napić. Wkrótce w drzwiach pojawił się ich dowódca dając rozkaz powrotu na posterunek. W końcu dziewczyny go zbałamuciły i został razem z nami. Soldaty się uwalili, położyli karabiny na podłodze, zaczęli płakać, kłać na Jaruzela, przeproszać za siebie i całą tę wojnę. W rezultacie nikt nie pilnował poczty. Tak wyglądał ten wojenny sylwester.

W wakacje zdałem na studia, po czym uwiodłem Beatę porywając ją z domu. Wymyśliła rodzicom historię, że jedzie do koleżanki do Poznania, a w rzeczywistości pojechała ze mną nad morze do Mielna. Rodzice się domyślili i zaczęli jej szukać przez „Lato z radiem”, a my mieszkaliśmy ze Słoniem jako przyzwoitką w trójkę w namiocie i piliśmy dużo alkoholu. Kiedy wróciliśmy, była poważna zadyma. Przestaliśmy się lubić z ojcem Beaty, ale tolerowałem mnie, bo byliśmy zakochani. Jednak kiedy wyjechałem do Warszawy, nasza miłość zaczęła się kruszyć - nie wytrzymywała próby odległości.

## BLOK

Wychowałem się w bloku przy ul. Sieroszewskiego na osiedlu Raków, mieszkają tam typowe robotnicze rodziny hutników z Huty Bolesława Bieruta. Dwa domy za mną, też w gomulkowskim bloku, mieszkał słynny Janusz „Janina” Iwański, gitarzysta grający obecnie z Sojką i w Tie Breaku, częstochowskiej supergrupie jazzowej. Iwańskie go wszyscy pamiętają, bo się wyróżniał; miał długie włosy jak kolesie z Black Sabbath i zawsze chodził z gitarą. Na osiedlu krążyły niegdyś legendy, że będzie grał z Niemenem, mówiono że Niemen przyjechał do Częstochowy, usłyszał jak gra Iwański i złożył mu propozycję - być może była to prawda. Potem się zaprzyjaźniłem z „Janiną”, zagrał on nawet kiedyś jeden koncert z T.Love w 1984 r. Ale to chyba jedyny muzyczny akcent z osiedla.

Moim kumpłem z okresu podwórkowego był Radek Wiciński, młodszy ode mnie. Chodził ze mną na kursy angielskiego do liceum Traugutta. Wciągnąłem go w słuchanie muzyki, w odróżnieniu ode mnie bardzo zagustował w rocku symfonicznym. Finałem naszej przyjaźni było pewne zdarzenie, do którego doszło w roku 1979. Myślę, że historia ta zaważyła mocno na niektórych moich późniejszych tekstach piosenek i uwrażliwieniu na przemoc.

Byliśmy bardzo zbuntowani i chcieliśmy zmieniać świat. Wiele rzeczy nas denerwowało, zwłaszcza ludzka apatia i drobnomieszczactwo. Pragnęliśmy aby ludzie obudzili się, odrzucili materię i zastanowili się nad sprawami duchowymi. Założyliśmy z Radkiem organizację TAO: Tajna Antyczłowiecza Organizacja.

Postanowiliśmy, że pierwszą akcją, którą zmanifestujemy istnienie TAO będzie rozwieszenie kilku ulotek. Zawarliśmy w nich nasze credo. Manifest, wzywający ludzi do przebudzenia, przypominał raczej odezwy Świadców Jehowy niż KOR-u, o którego istnieniu w ogóle jeszcze nie wiedzieliśmy. Dojrzewialiśmy - ja miałem 15 lat, a Radek 13 - i byliśmy wielkimi idealistami. 4 kwietnia 1979 roku postanowiliśmy pójść na Akcję. Padał wiosenny deszcz. Umówiliśmy się w nocy, byliśmy perfekcyjnie

przygotowani: klej, ulotki wypisane mazakami w 2-3 sztukach. Przez dwa tygodnie układaliśmy ich tekst.

Pierwszą ulotkę przykleiliśmy na drzwiach naszej podstawówki, drugą na stacji wysokiego napięcia. Nagle pojawił się przejeżdżający samochód. Na jego widok schowaliśmy się najpierw za stojącą na parkingu nyskę, a potem zamiast spokojnie wracać do domu, zaczęliśmy uciekać. Ci z samochodu zauważyli, że biegniemy i ruszyli za nami. Nie wiedzieliśmy kto to, żywa jeszcze była legenda

o Czarnej Woldze i jeżdżących nią zbrojcach, którzy zabijają i handlują ludzką krwią. Byliśmy już prawie bezpiecznie przy naszym bloku, gdy coś nas podkusiło żeby sprawdzić czy ulotka jeszcze wisi. Wisiała. Jednak po chwili zauważyliśmy dwie zbliżające się do nas postacie. Uciekliśmy do pobliskiej klatki schodowej, oni za nami, w końcu na czwartym piętrze dopadli nas. Jeden był w cywilu, drugi w mundurze milicyjnym - sierżant Sobieraj. Nawet się ucieszyłem trochę, że to gliniarz, a nie bandyta. Zaczęliśmy się tłumaczyć, Radek się odszczekiwał i dostał od razu w czaszkę, co mnie zdołowało. Zabrali nas na „Czwórkę” czyli lokalny komisariat. Po drodze nerwowo pytali dlaczego chcieliśmy ukraść nyskę, bo byli przekonani, że właśnie o nią nam chodziło. Wyładowaliśmy na „dołku”. Po raz pierwszy zetknąłem się z nocnym życiem komisariatu. Po wylegitymowaniu powiedziano nam, że zakończyliśmy już swoją szkolną (byłem w I klasie liceum, Radek w VII podstawówki) edukację, obiecując, że o to, jako władza ludowa, się postarają. Obok nas bili pijanego faceta, lała się krew. Po chwili przyszedł jakiś inny gliniarz, błądy o twarzy psychopaty, zaczął się z nami sadystycznie zabawiać. Brał po palcu i dotykał nim przyrządu do pobierania odcisków, odpowiedziałem coś ironicznie, więc dostałem w twarz. Radka przesłuchiwał inny koleś. Cały czas podejrzewano nas o nyskę. W końcu na miejsce zbrodni wysłali radiowóz. Przywieźli ulotkę, podnosząc raban na cały komisariat. Usłyszałem: „Panowie, to jest poważna sprawa, nie kryminalna. Z tym trzeba od razu jechać na wojewódzką”.

Zawieźli nas najpierw na komendę miejską. Przesłuchiwali całą noc, każdego osobno. Pytano kto tym kierował,

padaly nazwy „KOR”, ja nawet nie wiedzialem co to jest. Mowilismy prawde, ze robilismy to sami, w co nie wierzyli. Ciagle powtarzali, ze mozemy sie pozegnac z dalsza nauka.

Około szóstej rano postanowili zrobić rewizję w naszych mieszkaniach, przyjechali z nami na Sieroszewskiego, mój stary właśnie wtedy wstawał do roboty. Patrzy, a wchodzi milicja, był przerażony, tym bardziej, że nie wiedział co się ze mną działo przez całą noc. Szukali i jedyną rzeczą jaką znaleźli było zdjęcie Zająca, na którego odwrocie była narysowana swastyka i podpis Heinrich von Pommerenke - Zając miał taką ksywkę w szkole. Zapewne ta fotografia leży do dziś w jakichś aktach. Pytali kiedy powstało TAO, ile lat działamy. Próbowali podejrzewać o inspirację matkę Radka, która była nauczycielką polskiego w naszej podstawówce, pytali jaka jest siatka, jakie komórki. Odpowiadaliśmy, że sami chcieliśmy zmieniać świat, czego w ogóle nie przyjmowali do wiadomości.

Następnie znaleźliśmy się na komendzie wojewódzkiej, gdzie przywitało nas dwu kulturalnych trzydziestoletnich ubeków w cinkciarskich skórach. Byli grzeczni, poczęstowali kawą i pączkami.

Zapytali czy nas bili. Gdy dowiedzieli się, że tak, z wyższością oznajmili, że tam na Rakowie pracują w komisariacie chamy, debile, zwierzęta - takie mieli zdanie o swoich kolegach z szarej milicji. W końcu zapytali nas o stosunek do... Adolfa Hitlera. Ja odpowiedziałem, że to okrutny morderca, choć nie można go oceniać jednoznacznie, natomiast Radek mówił, że Hitler był jednostką nieprzeciętną. Cały czas drążyli temat kto nami kierował. Wreszcie odpuścili i chyba uwierzyli w młodzieżowość wybryku. Wypuścili nas, a my wychodząc na wiosenny deszcz koło hotelu „Patria” poczulismy w Alejach słodki smak wolności.

## BUNT

Myślę, że byłem jednym z prekursorów punka w mieście. W Częstochowie nie było jednak klimatu sprzyjającego rozwojowi punka ortodoksyjnego, skórzanego, zadymiarzkiego. To co my robiliśmy i nasz image były raczej pomiędzy new wave i mods. Włosy krótkie, marynarki, krawacik, płaszcz jesienne, a skóry to już później.



*Prekursor punka w mieście -Lubań Śl. lipiec 80*

Pierwszy raz „prawdziwych” punków zobaczyłem w lipcu 1980 w Lubaniu Śląskim na Muzycznym Kampingu. Pojechalismy tam z Bobeszem. Zającem i Kukielką w wakacje. Też brali nas za punków. Miałem na sobie trampki, wąskie jeansy - rurki, starą marynarkę, krawat na gołą szyję, włosy postawione. Kukielka nosił chyba kolczyk w uchu. Przyjechała duża załoga z Warszawy i Gdańska, później dowiedziałem się, że wśród nich był późniejszy gitarzysta T.Love Andrzej Zeńczewski (który jako przyszły student ATK mieszkał podobno na plebanii) oraz nasz obecny manager, Robert Witkowski, wówczas ostry zadymiarz. Zdarzały się już starcia z milicją. My byliśmy w gruncie rzeczy grzeczni chłopcy, chodziliśmy jedynie na koncerty i młodzieżowo się upijaliśmy.

Co do historii zadymiarzskich. to miesiąc później wydarzył się jedyny w moim życiu tego typu epizod. W Sopocie na

Pop Session, gdzie wybrałem się z Bobeszem, spotkałiśmy moich kolegów z osiedla, Andrzeja Stefaniewicza, Jopę i jego brata Bonka.

Jopa, a szczególnie Bonek byli takimi git-punkami, na zasadzie „punk jest dobry, bo można dać komuś w mordę”. Pochodzili tak jak ja z rodzin robotniczych, Jopa pracował na hucie, a Bonek kończył zawodówkę. Ulubionym zajęciem Bonka po wypiciu kilku browarów było kasowanie hipisów. O jednej takiej historii Bonek opowiadał przy każdej większej bani:

— Przychodzi do mnie taki długowłosy dziad i pyta „Masz trawę?” Wkurwiłem się, co on se ze mnie jaja robi, śmieć jeden, mówię mu „Rośnie, urwij se”. A on się śmieje i pyta „A może masz fajkę, bo jestem biedny”. Wkurwiłem się, ty byś się nie wkurwił? Ze szlugami cienko, a on sępi. Dałem mu raz drugi, trzeci, przewróciłem na ziemię i jeszcze z kopa.

Taki był Bonek. Pewnego popołudnia, po zrobieniu paru żurów, postanowiliśmy ostro zadymić. Wyłamaliśmy łańcuchy na molo, wcześniej Jopa podduśił trochę dziadka pilnującego wejścia, który domagał się od nas okazania biletów. Później wysikaliśmy się do morza budząc konsternację spacerowiczów. Szliśmy tak od mola przez plażę do kempingu, wymachując łańcuchami i rozwalając wszystkie kosze na śmieci. W końcu zrobiliśmy zadymę w knajpie „Muszelka”. Zepchnęliśmy pierwszy stolik, ktoś dostał w buzię od Jopy, któryś z koleś ukradł ze stolika papierosy. Ludzie byli przerażeni, panienki uciekały... To była ostra akcja. Właściciel „Muszelki” szedł za nami aż do pola namiotowego i wezwał milicję. Ja miałem szczęście jako że wcześniej z Bobeszem poderwaliśmy Anię i Jołę z Nowej Rudy SI. i u nich przespaliśmy w namiocie tę noc. Kiedy gli-niarze pojawili się na polu namiotowym, dziewczyny scho-wały nas pod śpiwory. Bobesz zresztą był niewinny, nie uczestniczył w tej akcji. Zwinęli wtedy na kempingu wszystkich z grupy, oprócz mnie. Szukali i mojej skromnej osoby, ktoś mnie opisał, że był jeszcze taki młody; krótko obcięte włosy i w okularach bez szkieł. Na drugi dzień przebrałem się w bardzo grzeczne ciuchy żeby mnie nikt nie poznał i przez płot uciekłem do Gdyni.

Bobesz był moim łącznikiem. Jeździł kolejką między Gdynią a Sopotem i przywoził wiadomości, że ciągle mnie szukają, radził, że będzie lepiej jak się zgłoszę. Prze-straszyłem się i sam poszedłem na komisariat, gdzie moi kumple siedzieli już trzeci dzień. Po ausweiskontrolle gli-niarze powiedzieli, że mi darują bo mam 17 lat i jako najmłodszy uległem złym wpływom. Moi koleśie dostali natomiast dwa razy łańcuchami po plecach, a potem zlecili im jakieś karne roboty w Częstochowie przy porządkowa-niu miasta.

Właśnie na Pop Session zobaczyłem pierwszy koncert punkowy, to był Kryzys w Teatrze Letnim. Widziałem chyba wszystkich, z wyjątkiem Deadlocka. Później miałem jechać na festiwal nowej fali do Kołobrzegu, ale nie pojechałem tam, a szkoda. No tak, widziałem jeszcze Poland z Kazikiem - to było śmieszne, oni w ogóle nie umieli grać, jednak w tamtych latach, latach buntu niewielu umiało, z tego co pamiętam najlepszy technicznie był chyba Tilt, ale oni byli najstarsi.

Miesiąc po zadymie, w sierpniu, pojawiliśmy się z Bobeszem w Sopocie po raz kolejny. Tym razem towarzyszył nam także Zając. Byliśmy umówieni na wspólne wakacje z dziewczynami z Nowej Rudy, które dojechały parę dni później, a tu nagle wybuchła rewolucja. Poszliśmy pod Stocznnię chyba w trzecim dniu strajku, to wszystko wyda-wało mi się bardzo szlachetne, ale kompletnie przegrane. Patrzyłem na robotników zza siatki, rozmawiałem z nimi i mimo tego, że gdzieś głęboko w duchu życzyłem im zwycięstwa - nie wierzyłem w nie. Przecież Rosja, komu-na. wojsko, milicja, pałki, gaz i cały ten aparat potrzebuje paru godzin na pacyfikację akcji stoczniovców. Przecież już tyle razy historia przekonywała mnie o tym. Mój punkowy bunt sprzed paru tygodni wydał mi się czymś zupeł-nie gówniarskim wobec buntu tych za bramą.



## CZĘSTOCHOWA

Częstochowa jest miastem robotniczo-klerykalno-biznesowym. Centralnym punktem jest Aleja Najświętszej Marii Panny, którą co roku w sierpniu ciągną pielgrzymki na Jasną Górę. Okna naszego liceum wychodziły na tę ulicę. Z jednej strony Alej stoi komin, z drugiej wieża klasztoru paulinów, która góruje nad miastem.

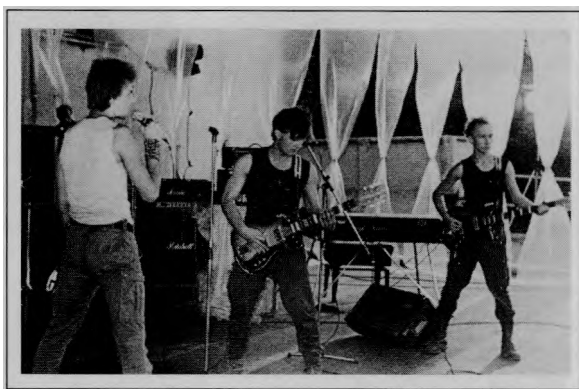
W mieście było zawsze dużo zamożnych ludzi, nudzących się, nie wiedzących co z pieniędzmi zrobić. Bardzo silna zawsze była tu prywatna inicjatywa, świetnie prosperowały zakłady rzemieślnicze i małe fabryczki. Z kolei Raków, gdzie się wychowałem, to typowa dzielnica robotnicza średniego miasta przemysłowego.

Wszechobecny w mieście był - a teraz jest jeszcze bardziej - Kościół. Szaleje ksiądz Duda, do którego należy władza w Częstochowie, mniej więcej na poziomie dawnego sekretarza partii. Słyszałem pogłoski, że decyduje ile sklepów ma prawo sprzedawać piwo, a ile nie, zaś kto chce mieć koncesję na alkohol w Aleji Najświętszej Marii Panny musi podobno wpłacić sutą kaucję, aby ksiądz Duda pobłogosławił.

Punk w czystej postaci nie mógł się nigdy narodzić w Świętym Mieście. Boom muzyczny na początku lat 80. miał charakter bardziej nowofalowy niż punkowy. Przełomowym był rok 1982, a motorem, dzięki któremu powstała scena był, powiem nieskromnie, właśnie zespół T.Love Alternative. Opozycja, choć powstała wcześniej, była pierwotnie grupą hardrockową, a granie hard rocka nie było już modne.

Latem i jesienią 1982 nowe kapele wyrastały szybko jak grzyby po deszczu i równie szybko rozpadały się. Ogniskiem towarzyskim był Klub Międzynarodowej Książki i Prasy, czyli kaempik, dokąd ludzie z różnych ogólniaków przychodzili po lekcjach na herbatę i ciastka. Do kaempiku chodzili ci, którzy niebawem stworzyli środowisko. Ja byłem już lokalnym gwiazdorkiem, szybko stał się kimś takim Jacek Pałucha, a Formacja Nieżywych Shabuf pod jego kierownictwem była długo zespołem kultowym.

Dużo się rozmawiało: Rysiek zakłada kapelę, Krzysiek zakłada kapelę, Wiesiek zakłada kapelę. Te zespoły trwały niekiedy trzy dni, niektóre funkcjonowały tylko w myślach. Każdy ogólniak miał swój zespół, niektóre nawet po parę. Z Traugutta był Stop Kran. gdzie na bębnach grał słynny później gitarzysta Paweł Orzeł. Śmiał się z tego zespołu i specjalnie mylił się z rytmem żeby kolegów wkurzyć. W Slowackim grał Barokowy Burdel, którego liderem był Eryk. Kiedy Eryk był hipisem zespół nazywał się Depression, kiedy był punkiem - Barokowy Burdel, podlegali mu Wojtek Wierus i Olek Klepacz, wówczas ofiara klasowa, dziś wokalista FNS. Inne legendarne kapele to np. słynne Bolletz Bolls Artura Kuciaka, który potem tragicznie zmarł, kiedy na obozie pletwonurków wybuchła mu pod wodą butla z tlenem. Pierwszą kapelą punkową w mieście było Szambo, gdzie w pierwotnym składzie na basie grałem ja, a na bębnach Słoni. Na wokalu był Mikser, który chciał mieć zespół, a nie miał muzyków. Był to pierwszy skórzany punkowiec w Cz-wie, raczej niezbyt lotny, musieliśmy mu wymyślić nazwę. Na gitarze grał z nim Rudy Pilar, który później założył grupę Spust, zresztą niezłą. Szambo zadebiutowało w maju 82 na pierwszej Punk Arenie, gdzie występowałem także w Opozycji i T.Love Alternative. Potem w Szambie Miksera wykołęgował Biba i w skład weszli ludzie z zawodówek z Rakowa:



*Szambo*

Dżuma, Bucik, a także mój sąsiad, niejaki Maślikowski. W takim składzie wystąpili w Jarocinie w 83 roku.

Istniała też kapela Załoga G. grała heavy metal i wszyscy na jej widok lali ze śmiechu. Z kolei metalowcy traktowali kapele alternatywne jak gówno.

Myślę zresztą, że cały ten ruch nie miał zbyt wielkiego znaczenia muzycznego, a raczej towarzyskie. Może to było małomiasteczkowe, ale sympatyczne - w 1982-83 naprawdę trzymaliśmy się wszyscy razem, a newsy takie jak ten, że na którejś z Punk Aren Palucha zaśpiewał stojąc na drabinie, były naprawdę ważne. Studenckie radio Pryzmaty (patrz rozdział „Nagrana”), w którym znajdowało się prymitywne studio, nie miało wolnych terminów, wciąż ktoś tam siedział i nagrywał. Realizator Fazi oczywiście szalał, stał się częstochowskim Philem Spectorem. Te taśmy chyba jeszcze istnieją, chętnie bym je wykradł, można byłoby coś z tego wydać. To była bardzo śmieszna optymistyczna muzyka, dziś nazwalibyśmy to graniem harcersko-melodyjnym, później brzmiały podobnie wczesne Róże Europy.

Koncerty odbywały się w szkołach, dość często. Graliśmy w liceach Traugutta i Dąbrowskiego, zawsze z kimś jako supportem - i właśnie dzięki tym występom zrobiliśmy sobie niezłą reklamę. Granie było trudno załatwić, bo dyrekcje szkół miały obiekcje, ale jakoś się udawało.



*L.O. Dąbrowskiego - Częstochowa wrzesień 82*

Do naszej pozycji zespołu nr 1 w mieście przyczyniły się nie tylko szkolne koncerty, ale również cykliczne imprezy pod nazwą „Punk Arena”, które organizowaliśmy w macierzystym domu kultury na Stradomiu. Trafiliśmy tam wczesną wiosną 82 zmęczeni domowym graniem. Po-dniecał nas fakt, że od tej pory mieliśmy do dyspozycji prawdziwy sprzęt, tzn. piece, mikrofony i bębny, które zastępowaliśmy poprzednio pudełkami i książkami. Słoniu oszalał.

Dyrektor domu kultury, Wiesiek Bednarek, którego uważaliśmy za kompletnego idiotę, okazał się liberalnym facetem. Mimo trwającej wciąż nienormalnej, wojennej sytuacji nie przestraszył się naszych piosenek, mało tego: pozwolił korzystać z sali do prób i sprzętu bez ograniczeń. W zamian za udostępnienie lokalu nie zmuszał nas do udziału w różnych imprezach okolicznościowych w stylu 1-go maja (co było częstą praktyką w innych klubach). Pozwolił nawet organizować własne koncerty. Sytuacja wydawała się wymarzona.

Pod koniec maja, tuż po maturze i zakończeniu edukacji w IV Liceum odbyła się pierwsza edycja „Punk Areny”. Tak zaczęło integrować się środowisko nowofalowe. Koncert ów był pierwszym otwartym występem T.Love Alternative dla publiczności. Przyszło ok. 200 osób, wielki sukces. Cieszyliśmy się jak dzieci, tym bardziej, iż imprezę zorganizowaliśmy od początku do końca sami: malowaliśmy i naklejaliśmy plakaty, sami kompletowaliśmy sprzęt, wszystko było na naszych głowach. Nie zależało nam na pieniądzach, graliśmy za darmo, choć nasz opiekun zbierał od wchodzących na koncert opłatę za bilety.

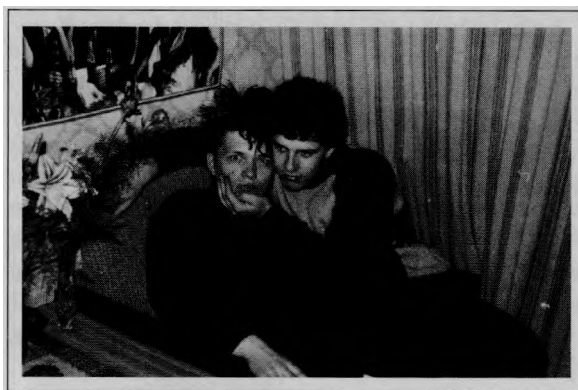
Po ukończeniu liceum zdałem w lipcu egzamin wstępny na filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Powstał wtedy dylemat: co dalej z kapelą. Mimo dzielących nas kilometrów, postanowiliśmy twardo spotykać się jak najczęściej w naszym rodzimym mieście i kontynuować tak niedawno zaczęte granie. Model prób na dojazd obowiązywał mniej więcej do r. 1985. kiedy to T.Love stał się już ewidentnie zespołem warszawskim, choć Darek i Słoni� nadal dojeżdżali.

Dziś lokalnymi gwiazdami w świętym mieście są kolesie z obecnej Formacji Nieżywych Shabuf. Podobno przechadzają się Alejami co niedziela ze swoimi dziewczynami, tak żeby ich wszyscy widzieli. Nadal dobre notowania ma nieśmiertelny Tie Break, bardzo popularny jest Sojka, choć pochodzi z Pszczyny, ale najchętniej gra z muzykami z Częstochowy.

Dawne środowisko muzyczne obecnie praktycznie nie istnieje. Niektórzy wyjechali, inni zostali dorobkiewiczami. Fajnie jest jednak czasami przyjechać do miasta i popijać piwo z chłopakami. Fajnie jest spędzić jakiś czas z dziewczyną o sprawnych ustach, których jest trochę w mieście.



*Janek & Stoniu - Częstochowa 84*



*Ja & Koniu - Częstochowa 84*

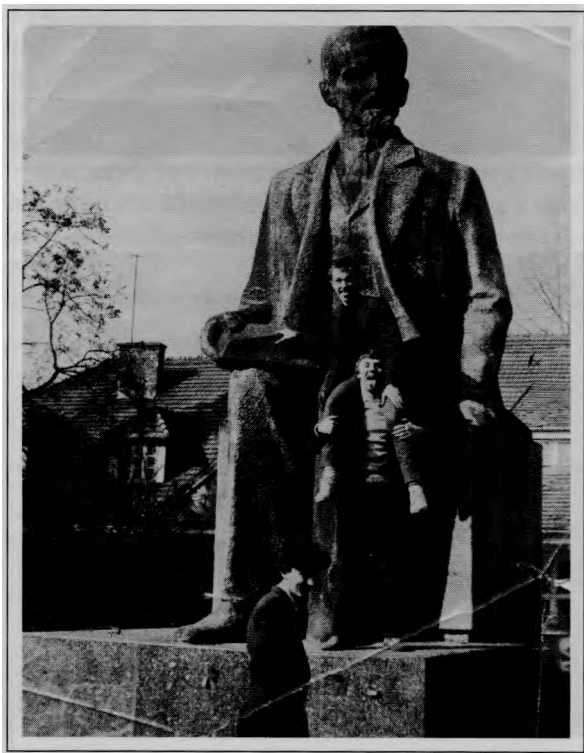


*Everybody - Częstochowa 84*

## CZWARTE LICEUM

Czwarte Liceum im. Henryka Sienkiewicza miało opinię najlepszego w mieście, o co rywalizowało z nami zawsze liceum nr II im. Traugutta. Traugutt był przed wojną gimnazjum męskim, a Sienkiewicz chyba mieszanym. Nasza szkoła miała bardzo piękne tradycje, łącznie ze strajkiem uczniowskim 1905 r.

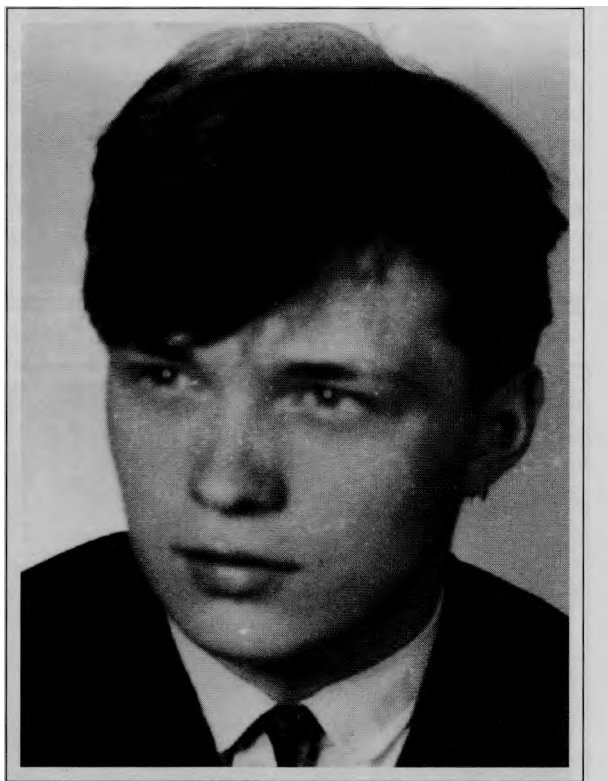
Kultu tradycji i obyczajności pilnował dyrektor Kwieciński, stary AK-owiec, z którego byliśmy bardzo dumni, bo jako jedyny dyrektor szkół średnich w mieście nie należał do PZPR, tylko do SD. Uczył historii, był rzetelny i wymagający. Obowiązkowe były mundurki - czarne lub granatowe spodnie i marynarka.



*Obowiązkowe były mundurki*

„Kwiatek” miał świra na ich punkcie. Codziennie przy wejściu nauczyciele sprawdzali czy tarcze przyszyte są do ubrań. Mnie mundurki nawet się podobały, bo zgadzały się ze stylem modsowskim. Mniej podobało się to dziewczynom, bo nie mogły paru rzeczy pokazać. Ale miało to też swoje plusy, bo można było się mile rozczarować spotykając taką pannę ubraną „cywilnie” na mieście. No, albo niemile..

Wśród uczniów przeważali ludzie z rodzin inteligentnych i rzemieślniczych. Pierwszy raz spotkałem się z kolegami mającymi dużo szmalu.



*Miałem opinię - ten trochę pierdolnięty, ale byłem raczej niezłym uczniem*

*Przez całą moją edukację w liceum były niezłe balangi, wielu koleśków mieszkowało w wolno stojących domach,*

imprezy były swobodne i huczne. Następowała przemiana. Spokojny doktor Jeckyl w mundurku przeżywał metamorfozę, stawał się obrzyganym Mr. Hyde leżącym na dywanie.

W szkole miałem opinię „Staszczyk - to ten trochę pierdolnięty”, ale byłem raczej niezłym uczniem. Cienko prządlę z matematyki i fizyki, chemia w normie, najlepiej mi szło z przedmiotami humanistycznymi.

W klasie dziewczyny były w większości, chłopaków z dziesięciu. Słonia znałem od podstawówki, był moim najlepszym przyjacielem. Dołączył do nas więc Darek Zająć, człowiek spokojny, czasem nawet zbyt. W szkole na przerwach kradliśmy mu kanapki. Były smaczne. Lubiliśmy Darka, początkowo był najlepszym muzykiem w kapeli (6 lat ogniska muzycznego), później - z pewnością najgorszym, co wszyscy mu wytykali. W momencie formowania T.Love Alternative wiązała nas jednak przyjaźń, a nie jakieś układy muzyczne. Młodszego o rok Janka Knorowskiego poznałem najpóźniej - i najpóźniej wmiłkował się on w nasz układ.



*W klasie dziewczyny były w większości*

Moja degeneracja procentowa zaczęła się podczas obozów szkolnych - letnich w Gałacie w Bułgarii i zimowych w Białce Tatrzańskiej. Organizował je świętej pamięci Maniek Kucharski, nasz wychowawca - mały, gruby i bardzo ostry, ale wszyscy go w pewnym stopniu kochali. Był również bez wątpienia najlepszym polonistą w szkole.

W Białce wytworzyło się silne combo alkoholowe: ja, Zająć, Kukielka i tak dalej. Maniek codziennie robił nam rewizje w plecakach, sprawdzał czy nie mamy wódki. W plecaku Bobesza znalazł raz wiśniówkę, zabrał, wystawił pokwitowanie z datą i kazał podpisać to właścicielowi. Z obozem w Białce wiąże się też historia pierwszej mojej wielkiej miłości licealnej - do Joli (z II A), która o niczym nie wiedziała. Ja natomiast pałałem do niej skrytym uczuciem. Później została nawet moją dziewczyną, ale dopiero w czasach studenckich.

Moja zupełna degrengolada moralna nastąpiła kiedy w Białce ukradkiem przeczytałem pamiętniki Joli. Właśnie z nich dowiedziałem się, że ona wcale nie kocha mnie, tylko kogoś innego. Wpadłem w dół absolutny. Cóż mogłem zrobić? Kupiłem litr soplicy i ze starszymi kolegami z IV klasy dałem czadu. Oni byli spokojni, a ja się upiłem i poszedłem na dyskotekę obozową. Powiedziałem Joli co o tym wszystkim myślę, w ogóle mój dół osiągnął apogeum. Wyszedłem na zewnątrz i pytam Kukielkę:

— Nie wiesz gdzie jest ten skurwysyn Maniek? On mnie tak wkurwia.

— Ciemno, nie widzę go tutaj — odpowiedział.

I nagle słyszę głos, jakby z zaświatów:

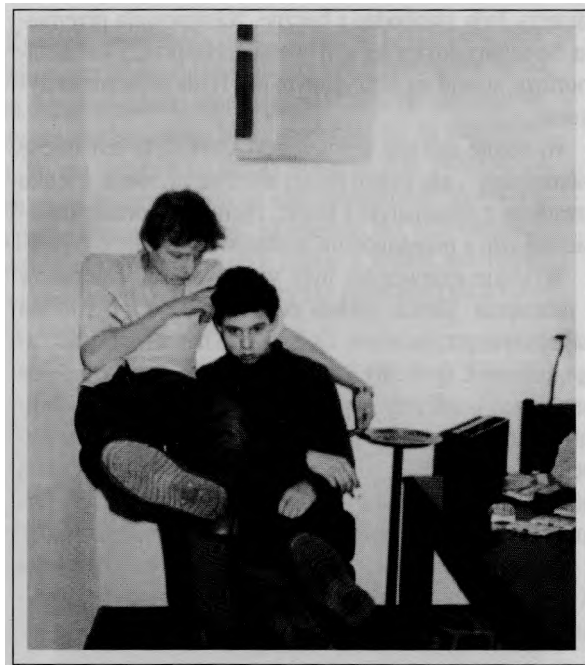
— Pomyliłeś się Staszczyk, ja tu jestem.

Maniek stał niezauważony ze dwadzieścia metrów od nas i palił szluga. Beładnie zacząłem uciekać. Przewróciłem jakąś tańczącą parę, wpadłem do piwnicy, Maniek za mną, dopadł mnie w piwnicy i dał parę ciosów, jako że w młodości ćwiczył boks. Wyrwałem się mu i zwałem. Biegałem po jakichś śniegach, wpakowałem się w wodę. Czulem, że jestem zupełnie przegrany. Postanowiłem wytrzeźwieć, wkładałem głowę w śnieg, ale nic mi nie wychodziło. Wiedziałem tylko, że w takim stanie nie mogę pokazać się na kwaterze. W końcu wróciłem, łudząc się, że Maniek poszedł już spać, lecz on czekał z nartą, którą chciał mnie zabić. Nastąpiło przesłuchanie: z kim piłem. Zamierzał ze mnie uczynić kablą, groził wyrzuceniem ze szkoły, jako że sporo narozrabiałem. Ale był porządnym człowiekiem i nie zrobił tego.

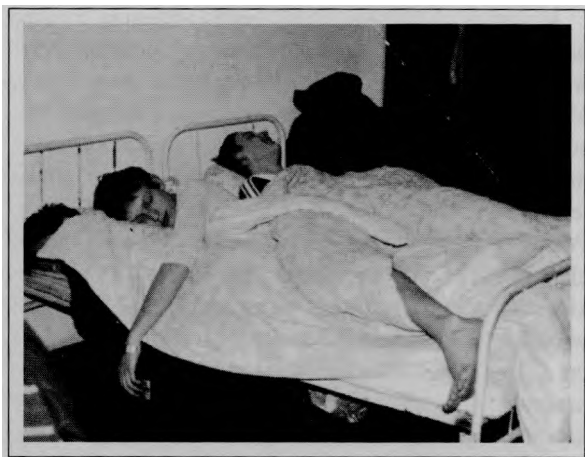


*Zając solo*

## *Degeneracja procentowa*



*Zając & Kukielka*



## FOSA

Zanim trafiliśmy do Jarocina, w lipcu 1983 roku wyładowaliśmy w Malborku na festiwalu „Malrock”. Tam również wysłaliśmy swoją kasotę. Organizatorem imprezy był szef Jarocina. Walter Chelstowski, który zapragnął usłyszeć T.Love Alternative na żywo. Myślę, że chciał on w ten sposób zweryfikować nasze prawdziwe umiejętności muzyczne. Po paru próbach w Częstochowie zabraliśmy ze sobą magiczną czarną skrzynkę - kamerę pogłosową, ubraliśmy się w kolorowe fatałaszki (ja ufarbowałem sobie włosy na białą) i ruszyliśmy do Malborka.

Była wspaniała pogoda, po prostu pełnia lata. Laureaci „Malrocka” mieli być nagrodzeni biletem do Jarocina. My ten bilet mieliśmy już w kieszeni, tak więc rywalizacja nas nie dotyczyła. Patrząc na konkurencję czuliśmy się co najmniej jak The Rolling Stones. Najmieszniejsze było jednak to, że członkowie grup startujących w konkursie technicznie przewyższali nas parokrotnie. W T.Love jednak musiało tkwić to magiczne „coś”, o którym sami nie wiedzieliśmy. Od strony warsztatowej byliśmy przecież zorem, nie potrafiłiśmy się nawet nastroić. A jednak próba przed Chelstowskim wyszła całkiem dobrze, w czym pomogła nam czarna skrzynka, dająca kosmiczne brzmienie.

Walter w nagrodę zaprosił nas do koncertu wieczornego, który odbywał się w fosie zamku krzyżackiego. Miały wystąpić tam tylko zespoły zawodowe: Mech i Brak.

Nie wiem na ile decyzja ta spowodowana była sympatią Chelstowskiego do nas, a na ile faktem, że Brak po prostu nie dojechał. Tak czy owak był to dla nas awans nie lada. Z radości uderzyło mi do głowy i wraz z Kiciusem, moim kolegą z Gdańska postanowiliśmy się troszeczkę nagazować. Jako, że piwo było przednie, a upał spory, alkohol zadziałał jak trzeba. W takim stanie udałem się na próbę dźwiękową przed wieczornym koncertem. Byłem zupełnie nieprzytomny, akustyki walali się ze śmiechu, Walter szalał z wściekłości, a ja zataczałem się na scenie wraz ze swoją trzystrunową gitarą basową, krajowej marki „Luna” (już dawno stwierdziłem, że wcale nie muszę grać na czterech strunach, gdyż zasadniczo i tak używam tylko

dwóch). Wezwano lekarza, zaaplikowano mi glukozę i niesamowitą ilość kawy, bowiem koncert miał rozpocząć się za godzinę. Moim aniołem stróżem był nieodłączny Słoniu. Zanurzając moją głowę w Nogacie - rzecze przepływającej przez Malbork - starał się mnie ocucić. W końcu wółtrzeżwy-wółprijany wgramoliłem się na scenę i zaczęliśmy grać. Starałem się jak mogłem, aby nikt nie odgadł, że jestem „pod wpływem”. Poza tym wszyscy byliśmy szalenie spięci, całe przedstawienie oglądało około tysiąca osób, co jak dla nas było liczbą rekordową. W końcu jakoś poszło, a nawet się podobało, wśród podrygujących pod sceną znalazła się część obsługi lekarskiej, tej od glukozy. Tak zakończył się pierwszy duży występ zespołu T.Love Alternative, występ z przygodami. Dzięki mojej postawie już wtedy przyłgnęła do nas opinia „alkoholowych chłopaków”, którą ciągnęliśmy za sobą przez długie lata. Po incydencie malborskim najbardziej obawialiśmy się reakcji Chelstola, który przecież mógł się na nas obrazić. Tak się jednak nie stało, przeprosiliśmy go i wszystko było O.K.

Po powrocie do Częstochowy zaczęliśmy szlifować swą formę na Jarocin. Wtedy też nastąpiła pierwsza zmiana kadrowa w zespole. Nie rokując sobie sukcesów w grze na gitarze basowej, zrezygnowałem z tego instrumentu. Postanowiłem zostać jedynie wokalistą i była to słuszna decyzja. Zastąpił mnie eks-basista Opozycji - Koniu, wobec nas muzyk w pełni profesjonalny. Mimo, iż nie należał on do licealnej paczki, był on moim bliskim kolegą jeszcze z dawnych czasów. Do imprezy pozostało parę dni. Jarocin 83 reklamowano jak nigdy dotąd. Miał być największym jak do tej pory festiwalem, zarówno pod względem ilości wykonawców, jak i publiczności. Spodziewano się przybycia około 20 tysięcy fanów. Miała wystąpić tam cała czołówka, zarówno ta topowa, jak i offside'owa. Wśród tego wszystkiego znaleźliśmy się my, nikomu dotąd nie znany, częstochowski zespół. Byliśmy szczęśliwi. naprawdę gówniarsko szczęśliwi!

## GARAŻ

W roku 82 koncerty w szkołach miały w sobie jakąś niepowtarzalną magię. W tym ciężkim okresie, kiedy to przez parę miesięcy zamarło życie, ludzie odczuwali potrzebę przeżywania czegoś wspólnie. Rock'n'roll dawał im tę szansę. Mówił bowiem o doświadczeniu pokoleniowym. Bardzo szybko przekonali się o tym komunistyczni decydenci od mediów i rozrywki. Postanowiono dać młodzieży rocka, aby odciągnąć ją od polityki, to jest od demonstracji ulicznych. Proces „głaskania” rozpoczął się wiosną 82, kiedy to w radiu zaczęło pojawiać się sporo polskiej muzyki rockowej, reprezentowanej przez Perfect, Lombard, Republikę, TSA. Wtedy też powstała Lista Przebojów Programu III. My, jako nikomu nie znany band, byliśmy wtedy zupełnie gdzie indziej. Radio ze swoją promłodzieżową polityką pachniało dla nas reżimem, odnosiliśmy się więc nieufnie do muzyki puszczonej na falach eteru. Zespoły radiowe wydawały się nam sprzedajne i dające sobą manipulować, natomiast prawdziwą niezależność w naszym mniemaniu reprezentowaliśmy my, grając licealne koncerty dla 50 - 100 osób. Właśnie w tym czasie na terenie całego kraju ruszyła machina tras koncertowych i wszelkiego rodzaju imprez rockowych, a wszystko w ramach udobruchania młodzieży.

Nas to jednak nie dotyczyło. Już sama nazwa, ze słówkiem „alternative” ustawiała zespół po drugiej stronie barykady. Było to działanie zupełnie świadome, naprawdę nie zależało nam wtedy na ogólnopolskiej karierze. Słowo „kariera” miało dla nas charakter pejoratywny. Patrząc z drugiej strony trudno było mówić o karierze zespołu nie do końca mającego pojęcie o strojeniu gitar. Myśleliśmy wtedy, że „małpia technika” nie jest wcale ważna, liczy się głównie autentyczny przekaz i niezależność. Jak się okazało, nie byliśmy w błędzie. Te właśnie atuty zadecydowały parę lat później o popularności takich kapel jak nasza. Wszystko co pachniało zawodowstwem, tj. klezmerstwem odrzucało mnie i mierzilo.

Wracając jednak do naszej klubowej egzystencji, to rozpoczęliśmy ją w 1983 roku, występując w zasadzie wszędzie tam, gdzie nas zaproszono (w grę nie wcho-

dziły jedynie imprezy typu 22 lipca czy 1 maja, z jednym wyjątkiem, o którym piszę w innym rozdziale). Aby móc działać na swój niezależny rachunek, postanowiliśmy mieć gdzieś „radio i telewizję”. Z drugiej strony innej drogi nie było - cenzura w roku 1983 była bardziej surowa, aniżeli rok wcześniej, dlatego też zespoły podziemne wraz ze swoim przekazem nie miały szans na szerszą popularyzację. Pozostawały nam kluby studenckie. Mimo monopolu ZSP starały się one pomóc młodym kapelom, organizując sale do prób, a co najważniejsze - koncerty. Występy klubowe stały się podstawą działania. Więści o imprezach i kapelach rozchodziły się pocztą pantoflową, a raczej pocztą kasetową, poprzez nagrywanie przez ludzi ciekawszych koncertów.

Koncertów nie było wiele, ale na tamte czasy zdecydowanie nam to wystarczyło. Graliśmy średnio 3 razy w miesiącu dla 100-200 osób. Nie były to jeszcze występy samodzielne, zwykle towarzyszyło nam kilka zespołów o podobnym profilu, najczęściej grywaliśmy wtedy razem z Kultem. Nie mieliśmy żadnych szans na transport własny, jeździliśmy więc pociągiem pośpiesznym. II klasą, w najodleglejsze zakątki kraju, których sami jako turyści z pewnością nigdy nie odwiedzilibyśmy.

Mimo kiepskiej aparatury nagłaśniającej, uciążliwych podróży i brudnych hoteli nie traciliśmy dobrego samopoczucia. Na każdym koncercie wyrastał las magnetofonów. Ludzie nagrywali nasze kawałki, chcieli je znać. Dzięki tym magnetofonom i krążącym kasetom piosenki T.Love zaczęły być powszechnie rozpoznawalne, a po dwóch latach klubowej krucjaty ludzie znali na pamięć prawie wszystkie moje teksty, mimo że nie mogli ich usłyszeć ani w radiu, ani na żadnej płycie.

Granie po klubikach w pipidówkach zaprocentowało w końcu zdobyty po paru latach garażowej harówki ogólnopolskim szacunkiem. Mogliśmy go zawdzięczać jedynie naszym fanom i swojej wytrwałości. Była to popularność zdobyta naturalnie i spontanicznie, bez udziału mediów.

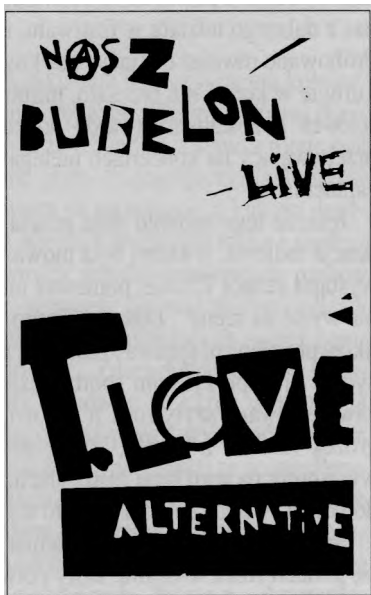
Jeżdżenie z koncertami po Polsce bardzo konsolidowało zespół oparty wyłącznie na więzach koleżeńskich.



Grając ze sobą wówczas nie kierowaliśmy się zasadami czysto muzycznymi, tzn. nie wyrzucaliśmy z grupy ludzi słabszych warsztatowo, umiejących zdecydowanie mniej od innych. Liczyło się kumpelstwo, w taki układ dobrze wnikował się Andrzej Zeńczewski, gitarzysta Daabu, który dołączył do żelaznego składu T.Love Alternative latem 1984. Skład miał istnieć jak najdłużej bez żadnych zmian (taki stan rzeczy trwał do roku 1986), kapela w naszym rozumieniu to nie było tylko wspólne granie muzyki, to także wspólne wibracje, wspólne imprezy towarzyskie, wspólne koleżanki etc. To było fajne, atmosfera stawała się rodzinną.

Latem 1984 roku, po występie w Jarocinie wpadłem na pomysł własnej, niezależnej produkcji kaset. Przy totalnej ignorancji mediów, nie mając żadnych szans na nagranie płyty, choćby nawet singla, postanowiliśmy sami produkować i rozprowadzać kasety, sprzedając je na coraz liczniejszych koncertach. Nie chodziło tyle o kasę, co o rozpropagowanie muzyki T.Love tak, aby trafiła ona pod każdą strzechę. Bobesz, pełniący ówczesnie funkcję menadżera posiadał „dwukieszeniowy” magnetofon kasetowy z tzw. szybkim przegrywaniem.

Dało nam to możliwość kopiowania większej ilości kaset. Tak wyglądał początek chałupniczej wytwórni TILELE RECORDS, chyba pierwszej niezależnej w PRL-u (wkrótce w nasze ślady poszły inne kapele, np. Dezerter).

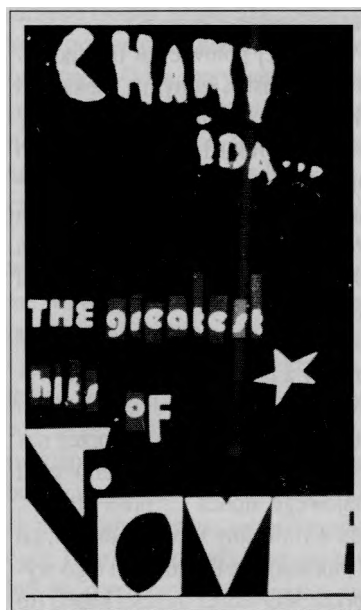


*Nas: Bitheloi*

Nasza wytwórnia wypuściła dwa tytuły: „Nasz Bubelon” (sierpień '84) oraz „Chamy idą” (październik '85). Pierwszy z nich był rejestracją koncertu z Jarocina '84, drugi zawierał półstudyjne nagrania z wiosny 1985 roku. Pomysł trafił. W przeciągu dwóch lat sprzedaliśmy na koncertach, a także drogą wysyłkową ponad 2 tysiące sztuk kaset z obydwoma tytułami. Był to swego rodzaju sukces, jako że liczbę tę trzeba przemnożyć przynajmniej przez 3 lub 4, biorąc pod uwagę dalsze łańcuszkowe przegrywanie kaset przez fanów.

Teraz, z perspektywy czasu, mogę śmiało powiedzieć,

że całą późniejszą legendę kapeli niezależnej zawdzięczaliśmy w przeważającym stopniu owym wydawnictwom. Dzięki nim takie kawałki jak „Garaz”. „Karuzela”, „Marzyciele” czy „Wychowanie” były już koncertowymi evergreenami, zanim ktokolwiek usłyszał je w radiu. Lata 83-85, okres największego nasilenia występów w małych klubach, zaowocowały najbardziej populistycznymi hitami T.Love. śpiewanymi i znanymi w zasadzie do dziś.



*Chamy idą*

Z początkiem 1986 roku nie byliśmy już zespołem całkowicie podziemnym, stając się jednym z tuzów tzw. alternatywy.

## GAZERZY

Kapela gazerska, wesołe chłopaki od piwa, alkoholowy band - to tylko niektóre z określeń, jakie przyłgnęły do T.Love na długie lata. Na taki, a nie inny image złożyło się parę zdarzeń i incydentów.

Wszystko zaczęło się od momentu wejścia kapeli w „wielki świat” polskiego, swojskiego szoł-bizu, czyli od lat 85-86. Jako debiutujące młokosy z garażu zostaliśmy zaproszeni do udziału w dwóch dużych spędach rockowych o charakterze ogólnopolskim - poznańskiej Rock-Arenie, oraz imprezie Rock w Opolu, zorganizowanej podczas Festiwalu Piosenki Polskiej Opole '85.

Rock-Arena była w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, obok łódzkiego Rockowiska, jednym z większych i ważniejszych festiwali w kraju. Impreza odbywała się cyklicznie i trwała kilka dni. W roku 1985 postanowiono ją nieco odmłodzić, dając szansę zaistnienia kilku świeżym bandom. Znaleźliśmy się w tej gromadzie „młodych zdolnych”, choć jeszcze nieopierzonych amatorów. Dla wszystkich orkiestr debiutujących przeznaczony był pierwszy dzień imprezy.

Do Poznania jechaliśmy w dobrych nastrojach, mając do czynienia po raz pierwszy z takimi luksusami, jak wygodny autokar czy też czterogwiazdkowy hotel. Jednym słowem, znaleźliśmy się w samym centrum tak przez nas wyśmiewanej rockowej branży. W dniu koncertu gród okazał się być pełen majowego słońca i... piwa „Lech”. Bez chwili zastanowienia wybraliśmy i jedno i drugie, co w połączeniu dało efekt piorunujący. Rezultatem tego wyboru było zatrzymanie przez MO jednej trzeciej kapeli (to znaczy mnie i Słonia) na postoju taxi w samym centrum miasta. Powód - picie alkoholu w miejscu publicznym. W tamtych czasach za takie rzeczy groziło wysokie kolegium, ale nie to było dla nas sprawą najważniejszą. Reszta zespołu gotowa do mającego się lada moment odbyć koncert oczekiwała nas w garderobie „Areny”. My natomiast w tym samym czasie próbowaliśmy załagodzić sprawę z milicją, tłumacząc się gestem w drodze na pobliski „dołek”. Rozmowa na „dołku” była burzliwa i nerwowa.

Całość konwersacji trwała około godziny, po czym łaskawie darowano nam i wypuszczono na wolność. O takim wyniku sprawy zdecydował w miarę pozytywny stosunek do rock'n'rolla jednego z wyższych rangą gliniarzy. Niestety, wyjście z „dołka” nie pomogło nam ani trochę, bowiem do „Areny” dojechaliliśmy i tak grubo po czasie.

Koledzy bardzo szybko nam wybaczyli. Zresztą sami, najwyraźniej z rozpacy byli już na bani. Początkowe nerwy i krzyki zamieniły się w serdeczne uściski. Wszyscy szybko wytłumaczyliśmy sobie, że świat się nie kończy na Rock-Arenie, choć nie zagrany koncert przysporzył nam wszystkim sporo kłopotów (najbardziej było nam głupio wobec ludzi, których do Poznania zjechało niemało). W przeciwieństwie do doskonale nas rozumiejących kumpi, organizatorzy byli w stanie furii i nie chcieli z naszej strony żadnych wyjaśnień. Postanowili srodze ukarać nieodpowiedzialnych gówniarzy, nie umiejących skorzystać z danej im szansy występu na gigant-imprezie. Kazano nam zjeżdżać z powrotem do piwnicy, chciano wykluczyć nas z dalszego udziału w festiwalu, nawet w roli widzów. Próbowano również obciążyć nas kosztami za hotel. Jedno i drugie w końcu nie przeszło, mimo odebrania nam wejściówek pozostaliśmy twardo do końca jako widzowie, przebywający na koncertach nielegalnie. Za hotel też nie zapłaciliśmy.

Jeszcze tego samego dnia poszła w Polskę korespondencja radiowa, w której była mowa, że „na koncercie nie wystąpił zespół T.Love, ponieważ muzycy nie byli w stanie wyjść na scenę”. Doszło do tego jeszcze kilka artykułów prasowych, sprawa zrobiła się głośna. Poznański incydent przysporzył nam sporo niezłej reklamy. Skandale zawsze towarzyszyły rock'n'rollowi, tak więc mimo pogroźek facetów z branży, którzy straszili, że więcej nie wystąpimy na tego typu festiwalach, byliśmy z siebie zadowoleni. Wokół zespołu zaczęło się coś dziać.

Niespełna miesiąc po wydarzeniach poznańskich odbył się koncert Rock w Opolu, który potwierdził jedynie obiegową opinię o T.Love, jako kapeli nieodpowiedzialnej i pijącej w nadmiarze. „Akcja opolska”, w przeciwieństwie do zupełnie przypadkowych wypadków z Rock Areny

była od początku do końca zamierzona. Postanowiliśmy iść za ciosem, czując się powołanymi do wywoływania afer i skandali i absolutnie nie chcieliśmy się ugrzeczniać. Panowała estetyka przeginania pały, byliśmy w tym niezli.



„Gwarek” - Gliwice XI 84

Rock w Opolu był konkursem towarzyszącym kolejnemu Festiwalowi Piosenki Polskiej. Włącznie z nami przystąpiło do konkursu bodajże 6 bandów, a stawką miało być nie byle co, bo nagranie płyty długogrającej dla Tonpressu. Nagroda ta oczekiwana na zwycięzcę, o którym decydowało jury złożone z wielkich polskiego rocka i szolbyżnesu. Jeszcze z dawnych szkolno-punkowych czasów wyniosłem niechętny stosunek do wszelkiego rodzaju konkursów i rywalizacji, przypominających raczej gonitwy konne niż granie muzyki. Zdecydowaliśmy się wyłamać z reguł gry. Reguły te mówiły, że każdy wykonawca uczestniczący w konkursie ma prawo wykonać program nie dłuższy niż 20 minut, po czym schodzi ze sceny. Przystąpiliśmy więc do dzieła, szykowało się bowiem spore zamieszanie. Zakupiliśmy niesamowite ilości ginu, częściowo za pieniądze Andrzeja, który w dniu koncertu niespodziewanie pojawił się w Opolu, prosto z... Amsterdamu, gdzie grał z Daabem. Wcześniej, licząc na jego absencję postaraliśmy się o zastępcę w osobie niejakiego

Grzeška Małeckiego, solówkarza rockowego. Po przyjeździe Zeńczewskiego postanowiliśmy, że zagramy na trzy gitary. Kompletnie pijani wyszliśmy na estradę. Nie przejmując się wcale groźbami stojącego przy niej konferansjera (był nim Marek Niedźwiecki, szef „trójkowej listy”), graliśmy ponad 40 minut, dopóki nie wyłączono nam aparatury i cała zabawa się skończyła. Ów skandal potęgował obsceniczny napis na mojej koszulce informujący publiczność i jury, że po T.Love i tak nie ma się czego spodziewać, bo „T-Love to ch..e”. Koszulkę wykonał artystycznie Janek, malując ją całą noc farbami w pokoju hotelowym. Jedną z tych farbek poczęstowaliśmy potem gitarzystę Dudka, Darka Duszę, który chodził po hotelu szukając procentów. Anarchistyczna akcja się udała, cel został osiągnięty. Od tej pory wieszano na nas wszelkie możliwe psy i koty, obiecywano, że więcej do Opola już nie wrócimy, grozono sądami. Afera rozniosła się szybko, jeszcze szybciej niż poprzednia z Poznania. Byliśmy wniebowzięci.

Po występie w Opolu mieliśmy wielu wrogów (głównie wśród ludzi z branży) i dwa razy tyle zwolenników (głównie wśród publiczności). Mniej więcej od tej pory zaczęto budować pijacki mit T.Love, do czego dodatkowo przyczyniła się prasa i wyolbrzymiona obiegowa opinia. Ten image nam nie przeszkadzał, stanowił raczej niezłą zabawę. Trudno jednak przez całe życie utożsamiać się z wizerunkiem wesołego alkoholasa. W pewnym momencie gęba ta zaczęła nam, a szczególnie mi przeszkadzać. Myślę, że mit ten był mocno zakorzeniony wśród ludzi słuchających T.Love przez lata. Być może taki image artystyczny był im potrzebny bardziej jako antidotum na gwiazdorstwo rockmenów, bo przecież z chłopakami od kieliszka łatwiej jest pogadać, łatwiej jest też się z nimi utożsamiać. Mimo, że obecny T.Love to już zupełnie inny zespół (muzycznie i personalnie), to jednak pamięć fanów nie rdzewieje. Przed koncertem w Jarocinie w sierpniu 91 roku na samym wstępie usłyszałem głos z publiki: „Munieku, gdzie masz piwo?”



*RIVIERA - czerwiec 86*



*Święto wiosny-21 III 87 - ..REMONT"*



*Słoniu na haju*

## GORBACZOW

Rok 1985 był rokiem początków pieriestrojki Gorbaczowa, co miało oczywisty wpływ na rzeczywistość polską tamtych czasów. W tej silnie wówczas skomunizowanej rzeczywistości rządzonej przez ekipę Jaruzela zaczęły się pojawiać pewne oznaki pseudorozluźnienia społeczno-politycznego (poststalinowską propagandę stanu wojennego zastąpiono propagandą pseudoamerykańską, a'la „Teleexpress” we wczesnym wcieleniu). Wprawdzie w zakresie sytuacji politycznej były to ruchy pozorne, jednak rock'n'rollowcom dawały większą swobodę działania. W słynnym roku Gorbiego dokonaliśmy swoich pierwszych nagrań studyjnych, co pozwoliło nam odczuć słodczy wiosny więcej ze wschodu. Prawdziwy problem polegał na tym, że nie wiedzieliśmy, jak zachować się wobec sprzyjających wiatrów historii. Los wydawał się być szczególnie łaskawy. W marcu 1985 roku wytwórnia Tonpress zaproponowała nam nagranie jednego kawałka na składankę „Jeszcze Młodsza Generacja” (niezbyt fortunny zestaw utworów debiutujących wówczas kapel). Pomyśleliśmy sobie wtedy, że z szansy, na którą czekaliśmy tak długo należy absolutnie i bezwarunkowo skorzystać, każdy bowiem zespół muzyczny, niezależnie od szerokości geograficznej i systemu politycznego, dąży do zapisu swoich produkcji. Z drugiej jednak strony kołatała się myśl, iż nie można się tak łatwo sprzedać tym czerwonym cwaniaczkom z wytwórni płytowych, którzy i tak mają gdzieś całe nasze granie, a chodzi im tylko o nowy dopływ radiowej papki. Wkrótce zapadła twarda, męska decyzja - jeżeli już się sprzedać, to umiarkowanie, nie „na chama”. W praktyce oznaczało to tyle, że akceptujemy fonografię, radio i niektóre gazety, nie chcemy jednak pokazywać się w TV (poza jedynym sensownym wówczas programem muzycznym „Non-Stop-Kolor” gdzie zagościliśmy w 1987 roku), oraz występować na dobrze płatnych festynach komunistycznych czy też przyjemnych poniekąd konkursach w stylu „Miss Polonia”. Taki plan działania orkiestry T.Love obowiązywał przez parę następnych lat.

W kwietniu 1985 roku doszło do nagrania utworu „Zabijanka”, który mimo pewnych kłopotów z cenzurą znalazł się na wyżej wymienionej składance. Podczas nagrywania „Zabijanki” korzystając z dostępu do profesjonalnego studia za własne pieniądze udało się nam zarejestrować 15 piosenek, czyli cały nasz ówczesny program.

Zimą 1985 roku ruszyła Lista Przebojów Rozgłośni Harcerskiej nakierowana szczególnie na nową falę polskiego rock'n'rolla. Rozpoczęło się lansowanie kapel z garażu, a audycja stała się wkrótce wyrocznią drugiego pokolenia fanów rodzimego rocka (pierwsze to pokolenie Perfectu. Maanam, Lady Pank). Twórcą i pomysłodawcą nowej formuły Listy Przebojów RH był Paweł Sito, obecny propagator idei europeizacji Polski, a wtedy młody, zapalony zwolennik zbuntowanego rock'n'rolla. traktujący go poniekąd jako narzędzie w'alki z komuną.

Muzyka garażowa w momencie pojawienia się na falach eteru z miejsca otrzymała swoją etykietkę. Od tej pory, czy trzeba było czy nie trzeba, zaczęto nazywać ją „alternatywną”. O ile w latach 83-84 określenie „alternatywny” miało jakiś sens, o tyle straciło go ono w momencie wchłonięcia zespołów dotychczas podziemnych przez kulawy, ale jednak oficjalny rynek muzyczny. Nieco później określenie to zaczęto odnosić do wszystkich bandów debiutujących na rynku, niekoniecznie wcześniej z undergroundem związanych. Zakrawało to na kompletną paranoję, wręcz karykaturę.

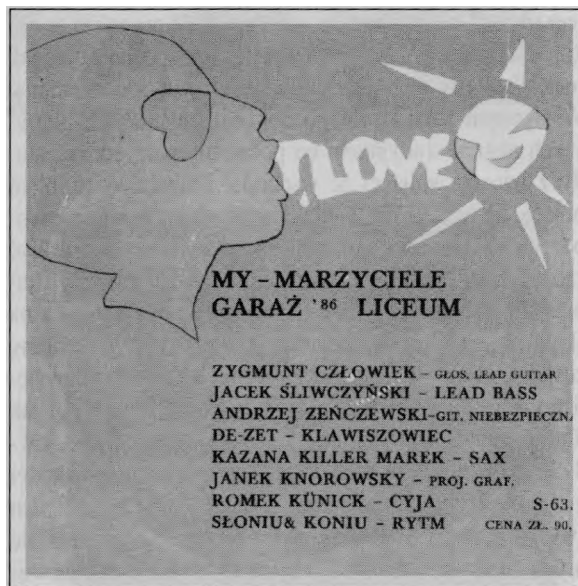
Wspomniana powyżej lista przebojów RH przeżywała w latach 1985-86 swoje najlepsze momenty. Lansowanie zespołów nigdzie dotychczas szerzej nie prezentowanych, znanych jedynie z koncertów i krążących po domach kaset przyciągnęło do harcerzy ogromną ilość słuchaczy spragnionych takiej muzyki i tekstów. Radiowa Trójka, wówczas główna audycja muzyczna w Polsce, unikała jeszcze wtedy prezentacji młodej, niepokornej twórczości, podpierając się starymi, sprawdzonymi nazwiskami. Obawa ta była o tyle zrozumiała, że PR 111 wyposażony był w cenzora, który od czasu do czasu przycinał co ostrzejsze kawałki. Harcerze takiego cenzora nie posiadali, stąd prezentowano tam nierzadko mocno upolitycznione utwory.

RH w swoim najlepszym roku 1986 przebiła popularnością Trójkę, która później, z konieczności, zaczęła lansować kapele od harcerzy.

Pierwszą piosenką T.Love, która znalazła się na liście przebojów RH był „Garaż”. Wszystkie kolejne kawałki - „Zabijanka”, „Wychowanie” i „Marzyciele” dotarły tam do miejsca pierwszego. Tak więc T.Love, obok Kultu i Tiltu stał się wtedy siłą napędową listy Pawła Sito, którego ta pozytywna działalność radiowa trwała mniej więcej do połowy roku 87-go.

W pewnym momencie wokół tzw. alternatywy narosło zbyt wiele niepotrzebnego szumu i wrzawy. W gazetach bez końca nadużywano określeń „alternatywnych”, dziennikarze (muzycyści i nie tylko) klepali w swych artykułach bez opamiętania na temat kultury i muzyki „alternatywnej”, wykazując przy tym zupełną ignorancję. Czasami dochodziło do kompletnych wręcz absurdów, czego przykładem może być anons kontaktowy pewnej nastolatki, wydrukowany swego czasu w tygodniku „Razem”, brzmiący mniej więcej tak: „Mam na imię Monika. Mam 15 lat. Interesuję się sportem, filmem i muzyką. Kocham Michaela Jacksona, Madonnę i polską alternatywę”. Takie były rezultaty paplaniny niektórych dziennikarzy muzycznych, którzy z czasem rzetelność zamienili na propagowanie swoich naprędce utworzonych stajni, gdzie werbowali wylansowane przez siebie zespoły. Stajnią taką była w 1.1988-90 Krajowa Scena Młodzieżowa czyli spółka Kanclerz-Sito- Majewski. Dwa ostatnie nazwiska z tego comba wykorzystując audycję o tym samym tytule naganiały publiczność na organizowane przez siebie koncerty halowe (raz nawet wystąpiliśmy na koncercie KSM w Lublinie, o tyle znamienym, że wiążącym się z zadaną spowodowaną puszczeniem w tłum petardy z gazem łzawiącym i panicznym opuszczeniem hali przez publiczność wybijającą szyby z oszklonych drzwi i okien).

Z końcem roku 1986 po wejściu „Marzycieli” na listę Trójki usunęliśmy z naszej nazwy człon „Alternative”, jako że kapelą podziemną z pewnością już nie byliśmy, stając się powoli normalnym bandem rokendrolowym.



*Pierestrojka single*

## HAJNÓWKA

Z koncertów prowincjonalnych kilka wartych jest szczególnych wspomnień. Wczesną zimą 1986 robiliśmy mini trasę składającą się z dwu koncertów nad samą wschodnią granicą: w Białowieży i Hajnówce. Z Warszawy wyruszyliśmy w słońcu, dotarliśmy do miejsca bez słońca: śnieg, lasy.

Czuliśmy się nieco obco. W Hajnówce 90 procent populacji to podobno Białorusini i to nieufni. Organizatorzy okazali się ludźmi bardzo serdecznymi i przed próbą zostaliśmy zaproszeni do domu na poczęstunek. Gospodarz był wiejskim ludkiem, w drewnianym domu nakarmił nas wątróbką i napoił winem domowej roboty oraz bimbrem. Okazał się być dyrektorem miejscowego domu kultury i opowiadał nam o Hajnówce. Potem pytał - zaciągając kresowo - jak to naprawdę jest z tymi zespołami, bo u nich nikt dotąd nie był. Zdradził się jednak, że jest nieco obeznany z tematem: puścił nagrania Kobranocki i zapytał czy lubimy. Na koniec jego pies, piękny wilczur, ugryzł mnie w rękę, gdy chciałem go pogłaskać.



*Z obandażowaną dłonią w ...Hajnówce*

Koncert był bardzo udany, choć występowałem z obandażowaną dłonią. W socrealistycznym domu kultury zjawilo się mnóstwo ludzi. Po koncercie zeszła się bohema

Hajnówki. Spotkaliśmy miejscowego dziennikarza-poetę, który długo rozmawiał ze mną na temat tekstów piosenek. To były bardzo poważne rozmowy. Następnego dnia zapraszali nas jeszcze do puszczy na pieczenie dzika, ale nie mieliśmy czasu, bo czekał nas kolejny koncert - w Białowieży w Technikum Leśnym. Na miejscu okazało się, że jesteśmy tam pierwszym od paru lat zespołem rock'n'rollowym, ostatnim był Lombard przed pięciu laty. Chłopcy z technikum wystawili na scenę sprzęt złożony z Eltronów wykorzystywanych na szkolnych akademiach. Pełni wyrozumiałości, nie przejmując się soundem, który przypominał pierwsze dokonania z IV LO. nie chcieliśmy zawieść oczekującej nas tłumnie męskiej widowni (dziewcząt w tej szkole nie było). Przyjęto nas co najmniej jak Beatlesów w ich najlepszym okresie, mimo, że Eltrony w połowie grania zaczęły pierdzieć. Zastosowałem parę chwytów szołmeńskich, jak np. śpiewanie refrenu „Wychowania” z młotkiem w rękę. Uczniowie technikum, mający na co dzień do czynienia z żubrami byli zachwyceni. rozdaliśmy niesamowite ilości autografów, podpisując się jako nowy zespół T.Love Czad.

Kolejnym takim miejscem była Kobyłka pod Warszawą. Na dworcu zostaliśmy powitani serdecznie przez miejscowych organizatorów. Zapowiedziano oprócz nas kilka innych zawodowych zespołów, zaproszono do gospody. wydano talony na schabowego - żebyśmy się najedli przed koncertem z okazji „Dni Kobyłki” albo czegoś w tym stylu. W końcu zawieziono nas na miejsce. Na otwartym powietrzu stała przyczepa od ciężarówki, na niej kilka kiepskich wzmacniaczy oraz zdezelowana perkusja - kazano nam na tym grać.

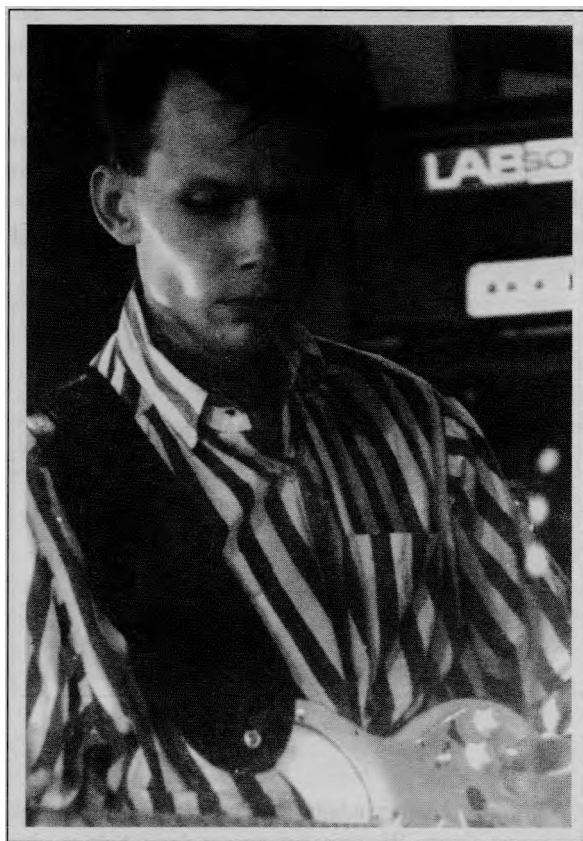
Zeszła się gitowska śmietanka z okolicznych barów, a na dodatek zaczął padać deszcz. Kapele wchodziły, próbowały zagrać jeden numer, po czym schodziły odmawiając występów w takich warunkach, co bardzo denerwowało obecną na imprezie załogę. Tylko my zagraliśmy cały koncert i nie zostaliśmy pobici przez gitów, co przytrafiło się muzykom zespołów, które nie chciały koncertować dla mieszkańców Kobyłki. Publiczność odprowadziła nas wręcz na dworzec, a organizatorzy wypłacili nam nawet, jako jedynym, honoraria.

Szczytem hipokryzji były koncerty T.Love w ramach imprezy „Mlekomalia”, propagującej picie mleka. Sponsorowała to jakaś lokalna gazeta z Sieradza w ramach walki z alkoholizmem. Było to w roku 87, grał już z nami Wysol (obecny bębniarz Kobranocki), który przyjeżdżając do Warszawy nocował zwykle u mnie na Batorego. Zaspaliśmy na pociąg i w strachu kombinowanymi połączeniami dotarliśmy na styk do Wielunia, gdzie był pierwszy występ. Wchodzimy do domu kultury (balkony, kolumny - Kocham takie miejsca) i patrzmy: ludzie w mleczarskich uniformach krążą po zapleczu z kefirami i fiolkami. Jak się później dowiedziałem,

byli to konferansjerzy. Włazimy do garderoby gdzie siedzą Koniu, Tom Pierchalski i Rafał Włoczewski. Przedstawiają nas Jarkowi - miejscowemu perkusiście z knajpy, który miał z nimi grać bo już nie wierzyli, że dojedziemy. Zeńczewski uczył się nawet moich tekstów, które sam chciał zaśpiewać. Ów Jarek, gdy dowiedział się, że Rafał i Tomek grali przedtem w Tilcie, a on w swym klezmerskim repertuarze miał „Mówię ci że” - przyniósł całą skrzynkę jarzębiaku. Piliśmy więc na kredyt Tiltu. Tomek Pierchalski zagrał wtedy swój największy koncert: kleczal rozebrany do połowy i dmuchał w saksofon.



*Tom Pierchalski - Sax & Se.x*



*Rafał Włoczewski - gitara*



Organizatorzy imprezy zaprosili nas, bo spodobało im się nasze hasło „Dzieci rewolucji pijące mleko”. Oprócz T.Love w programie artystycznym znajdował się jakiś występ kabaretowy, może coś jeszcze, nie pamiętam - wszyscy byli jednak równo nawaleni. Na ostatnim koncercie - w Łasku - totalnie przepity, nie byłem w stanie śpiewać, fałsze były ponad moją normę. Przyszło mało ludzi i krzyczeli, że ich lekceważymy bo przyjechaliśmy z dużego miasta i mamy w dupie prowincję. W pewnym momencie Koniu, w celu rozładowania sytuacji, opowiedział pokrótce historię ostatnich dwóch dni (w Wieluniu i Sieradzu), które zabrały nam ostatki energii. Do Warszawy wróciłem odwodniony, w końcu wylądowałem na pogotowiu, gdzie zaaplikowano mi propranolol.

Dużym osiągnięciem politycznym i artystycznym kapeli był występ na jubileuszu pisma „Nowa Wies” w Dębicy. Dziennikarz „Nowej Wsi” Jerzy Kaczmarek lansował nas wówczas usilnie na swoich łamach. Wyjazd odbył się rano spod YMCA na Konopnickiej autokarem, pełnym dziennikarzy - cała redakcja „Nowej Wsi”. Ryczące czterdziestki już 20 km za Warszawą były nagrzone. Faceci też nieźle dawali, w ogóle panował klimat wycieczki pracowniczej, w końcu - po licznych przerwach - dojechaliśmy do Dębicy. Miasto okazało się być totalnie opalone i skorumpowane przez tamtejszy „Igloopol”, który żywił, karmił i budował mieszkania. Koncert funkcjonował na specjalnych prawach udanego eksperymentu w samofinansowaniu w gospodarce socjalistycznej. Pracownicy zarabiali nieco lepiej i wszyscy czuli się świetnie. Koncert był też najwyraźniej promowany przez „Nową Wies”, bo zajął się organizacją jej rocznicowej imprezy, składającej się oficjalnie z koncertu T.Love i sprzedaży pisma na stolikach.

Dostaliśmy apartamenty z telewizorami w specjalnym dyrektorskim hotelu dla gości firmy, - jeden telewizor rozwalił potem Koniu. Po koncercie zostaliśmy zaproszeni na „mały poczęstunek”, gdzie do gabinetu dyrektora (czerwony plusz) poprowadził nas jego adiutant. Dyrektor „Igloopolu” postanowił nas poznać, pogratulować i przedstawić 19-letniej córce, która zapragnęła autografu. Stół

zastawiono obficie; wódeczka, szameczka. Dyrektor od spraw takich, następnie inny - rączka, bardzo nam miło, serdecznie witamy. Koniu był wniebowzięty, widział, że gazu nie zabraknie. Byliśmy specjalnymi gośćmi, na dole odbywał się „normalny” bankiet dla „Nowej Wsi”. Obsługiwały kelnerki w mini, a dyrektor opowiadał o tym jak wspaniałym przedsięwzięciem jest „Igloopol”. Następnie poproszono nas do drugiego pokoju, gdzie wręczono prezenty; po wielkiej puszcze „Golonki dębickiej” i... książki,

0 jakie bardzo trudno było w warszawskich księgarniach-pierwsze oficjalne wydanie „Folwarku zwierzęcego”

1 „1984” Orwella. Inaczej mówiąc, każdy dostał po Orwellu i golonce. Na koniec zeszlśmy na dół, gdzie jako gwiazdorzcy zostaliśmy przywitani przez orkiestrę z honorami: „Witamy grupę T.Love”. Na bankiecie dziennikarstwo było już zupełnie zaprane. Nagle pojawiła się obok nas wyjątkowo piękna dziewczyna. Okazało się, że dyrekcja przydzieliła nam damę do towarzystwa, której zadaniem było zapewnienie dobrego samopoczucia, służyła też telefonami koleżanek... Nikt jakoś nie skorzystał z jej usług. Na nowo zniesmaczyłem się i poszedłem spać.

Najpoważniejszą przygodą koncertową w nowym T.Love był występ w miejscowości Więcbork w województwie bydgoskim. Nie za bardzo wiedzieliśmy, gdzie to jest, ale posiłkując się mapą samochodową udało się nam tam dojechać. Był to nasz pierwszy koncert na trasie po Pomorzu zimą 90.

Po dotarciu na miejsce zaskoczył nas trochę brak jakichkolwiek plakatów. Nieco zaskoczony naszym zjawieniem się był również organizator, który jednak zapewnił, że występ się odbędzie, choć na razie nie sprzedał ani jednego biletu. Skierował nas do hotelu na rynku. Budynek wyjęty był żywcem z czeskiego westernu typu „Lemoniadowy Joe”, na piętro - gdzie znajdowały się bodaj wszystkie cztery pokoje - prowadziły takie schody, po jakich zwykli spadać pijani kowboje. Na dole była mordownia, w której siedzieli menele. Bywają fajni menele i niefajni menele. Ci byli wyjątkowo źli i niefajni.

Powitani zostaliśmy niedobrymi spojrzeniami. Nasz ówczesny basista, niejaki Zakrza (wynajęty tylko na tę trasę),

miał długie włosy, które wiązał w kitkę. Od razu, na jego widok któryś z żuli rzucił ochryplym szeptem:

— Popatrz, baba z chujem!

Kelnerka, młoda dziewczyna, która zorientowała się, że coś się szykuje, od razu posadziła nas w sali bezalkoholowej. Podała nam jakieś wstrętne zarcie, a zaraz za zarcie pojawiło się dwu koleżków - marmurki, czerwone twarze, którzy bez pytania przysiedli się do Janka Benedka. Usłyszeliśmy:

— Skąd wy jesteście? Z Cetniewa?

Nie wiedzieliśmy czy to źle czy dobrze być z Cetniewa w Więcborku. Janek przestraszony milczał.

— No mówcie, z Cetniewa?!

— Nie — odważył się nawiązać rozmowę Robert, nasz menadżer - przyjechaliśmy na koncert.

— Jaki koncert?

— Rockowy

— Gdzie? — koleś stawał się agresywny, drugi próbował odwrócić jego zainteresowania Obcymi, ale po chwili został odepchnięty, a potem potraktowany krzeselkiem. Czyżby i nas to czekało?

Nagle w mordowni pojawiło się paru młodszych koleśki. Najwyraźniej nas poznali

— T.Love! Jesteście!

Nie, zupełnie nie rozumieliśmy o co chodzi.

— To wy naprawdę przyjechaliście?

— Dlaczego mielibyśmy nie przyjechać?

— Nikt nie wierzył w okolicy, że przyjedziecie... Big Cyc nie przyjechał, Kobranocka nie przyjechała... Ale jeszcze mamy czas... Pół godziny — ja się po mieście przebiegnę.

Okazało się, że znał menela, który nas napastował.

— Zostaw ich Władek, to są chłopaki z Warszawy! Spokojnie! Ja tu po wódkę polecę, poszukam wiary... Przyjdzie nas na pewno z dziesięciu... - gorączkował się młody — Wy naprawdę jesteście...

Zapytaliśmy dlaczego nie ma żadnej reklamy.

— Advent jest, advent jest. Ksiądz powiedział, że żadnych imprez nie może być...

Menela też się rozczulili. Władek zapałał nagle wielką

miłością do mnie i Roberta. Wpakował się z nami do samochodu z otwartą flaszką. Benedek obserwował go z wyraźnym wstrętem, mnie zaczęło to już bawić.

Na miejscu koncertu okazało się, że nagłośnienie stanowią dwa marne Dynacordy, takie na stojakach jak w kiepskiej restauracji. Był to mityczny sprzęt, rzekomo na nasz występ przywieziony z samej Bydgoszczy. Grać czy nie grać? Organizator z Więcborka zachował się bardzo fair - powiedział, że nawet jak nie zagramy to nam zapłaci pół stawki, ale prosił żebyśmy spróbowali. Na sali było 5 nowych fanów - przyprowadzonych przez Władka. Wszyscy mieli w rękach bełty. Sprzedano aż 3 bilety. Ponadto przyszła załoga młodzieżowa - z 10 koleśki, może 2 panienki. Siedzieli w dwu pierwszych rzędach. Sala była tak na 200 osób.

— Zygmuś! Musicie grać - wywarł presję Władek.

Zagraliśmy więc z 6 numerów na zasadzie otwartej próby i chcemy schodzić.

— Zygmuś. Grajcie... Jak nie, to po... Powiedzieliście, że zagracie - chrypiał Władek.

Powtórzyliśmy nasz set jeszcze dwa razy, nie chcieli nas puścić. Przez ten czas zbierała się publiczność, doszło do trzydziestki. Na koniec przyszła policja i wyprowadziła Władka, który wzywał nas na pomoc...

— Zygmuś! Chłopaki... — ale nie przeszkadzaliśmy policji. Po koncercie opróżniono knajpę z menelstwa i zrobiono zamkniętą imprezę. Pamiętam, że nasi fani wymuszali od nas deklaracje, że lubimy Big Cyca, bo był to wówczas bardzo popularny i lubiany zespół. Przez cały czas puszczali „Piosenkę o biednym skinie” i musieliśmy przytakiwać, że nam się to bardzo podoba.



## HYBRYDY

Hybrydy uosabiały w połowie lat 80. warszawski underground. Gąsiorowi - kierownikowi klubu - udało się wówczas skupić tam to, co było najcenniejsze. Przedtem takim wiodącym klubem był Remont, który w pewnym momencie się skiepczył. W stajni na Kniewskiego znalazła się większość alternatywnych kapel, a Hybrydy stały się kultowym klubem w mieście. Właśnie w Hybrydach narodziła się idea zorganizowania imprezy prezentującej niezależną twórczość rockową. Nazwę Róbrege wymyślił bodajże Afa, na spółkę z niejakim Wojtkiem Kurdzielem, eks-szefem gliwickiego klubu Gwarek.

Róbrege były początkowo mini festiwalem grup związanych z klubem, nikt nie wiedział jeszcze, że niebawem przekształci się w imprezę dorównującą Jarocinowi. Wyjątkową rzeczą było to, że muzycy sami decydowali kto ma grać - oni, a nie ktoś z zewnątrz, odpowiedzialni byli za sprawy artystyczne. Był to jedyny taki festiwal w Polsce, co uważaliśmy za uczciwe, choć czasem bardziej od wartości artystycznych decydowały sytuacje koleżeńskie.

Mieliśmy szczęście grać zarówno na pierwszym Róbrege (1983) - w Hybrydach, jak i ostatnim - na Torwarze (1990). Najlepsze lata Róbrege to jednak wszystkie pozostałe edycje - te, które odbywały się w cyrku Intersalto na Towarowej. Czulem się tam lepiej niż w Jarocinie i bardzo lubiłem tam występować. Wspaniała atmosfera brała się między innymi z tego, że na teren wokół namiotu nie wpu-

szczano milicji, a rolę służb porządkowych pełnili ubrani w psychodeliczne marynarki pracownicy cyrku. Kiedyś, po ostrym joiencie, wziąłem ich za muzyków z orkiestry dętej. W każdym razie uważam, że był to najciekawszy festiwal, który ewoluował z imprezy punkowo-reggae'owej w prezentację różnych odmian muzyki, nie tylko garage'owej, choć przede wszystkim tej funkcjonującej poza oficjalnym obiegiem radiowym. Granie w Intersalto stanowiło także swoiste święto ziela, które jarało się bez ograniczeń, każdy każdego częstował „Spróbuj mojej trawy”. Traktowanie grassu w kategoriach handlowych było wówczas nie do pomyślenia.

Sądzę, że w tamtych czasach Hybrydy były najprężniejszym klubem studenckim w Polsce. Oprócz Róbrege dwie jeszcze imprezy hybrydowe stały się przecież wydarzeniami ogólnopolskimi - Warszawski Tydzień Filmowy i OPPA, gdzie zresztą prowokacyjnie wystąpiliśmy w 1985 roku.

Byliśmy z tym klubem związani przez prawie pięć lat, od momentu wyemigrowania z Częstochowy. Odbywaliśmy próby chyba we wszystkich istniejących tam kanciapach. Hybrydy były dla nas wówczas wysepką wolności w centrum skomunizowanego miasta. Wtedy nie było tych wszystkich pubów', które dziś powstały, nie było do kąd pójść. Przychodziło się więc do Hybryd niekoniecznie aby grać próby, ale po prostu spędzić miło czas rozmawiając ze znajomymi, pijąc piwo i paląc trawę. Byli ludzie, którzy siedzieli tam cały dzień, przede wszystkim muzycy związani z Izraelem i Armią. Między zespołami panowały dobre stosunki - bezinteresownie pożyczaliśmy sobie sprzęt, jeździliśmy razem w trasy. Po „Wakansie” była to nasza druga stała przystań, gdzie zetknęliśmy się z pozytywnym traktowaniem nas przez kierownictwo.

Dziś w Hybrydach zbudowano studio nagraniowe, a zespoły muszą płacić za próby. Nikt istotny tam nie gra. Klub ma charakter komercyjny, ustawiono bilardy, hall oddano na sklep. Ludzie zestarzelili się i rozsypali. Ekipa Gąsiora zajmuje się dziś promocją sztuki filmowej, z siedzibą w kinie „Kultura”. Warszawski Tydzień Filmowy Romka Gutka został włączony do kalendarza imprez Ministerstwa Kultury i Sztuki. Róbrege już nie ma.

## JACEK

Jacek Pałucha, malarz, rysownik, niegdysiejszy lider Formacji Niezwywych Shabuf, mój kolega, częstochowianin.

Poznałem go w 1982 r. Był to człowiek, który przyszedł do pierwszej klasy mojego liceum i się wyróżniał. Przez pewien czas miał ufarbowane na pomarańczowo włosy. Tak naprawdę to spotkaliśmy się pewnego dnia na ulicy. Szedł w spodniach w kratę, ogolony na głowie. I mówi do mnie tak:

— Cześć, ja jestem Jacek, może mnie znasz, przychodziłem na koncerty Opozycji, mam kapelę. Nazywa się Formacja Niezwywych Shabuf, a nasz przebój to „Czy czujesz zapach łajna”.

— To ciekawe — mówię.

— Chcielibyśmy gdzieś zagrać — to Jacek.

— No, robimy teraz kolejną Punk Arenę — rzekłem.

— To ja ci dam kasety.

Grał wtedy z Pawłem Orłem i Szymonem Mrożkiem, obecnie studentem warszawskiej ASP, tak jak on. Mieli pseudonimy: Bob Pałucha, Rita Orzeł i Peter Mrozek, bo słuchali reggae. Dał mi te nagrania. Był tam duży łomot, bas, bębny i strasznie histeryczny wokal Jacka. Spodobał mi się jeden numer pod tytułem „TSA to twój wróg, TSA to twój Bóg”, którego refren brzmiał: „Człowiek metalowy zagraża twojej społeczności, uciekaj, uciekaj, uciekaj”. Było to zdecydowanie krytyczne podejście do heavy metalu.

Potem spotykają mnie ludzie na mieście przed koncertem i pytają: „Będzie grała Formacja? Będzie grała Formacja?” No i zagrała Formacja. Jacek śpiewał i grał na trąbce, bo on lubił instrumenty dęte i czasem coś sobie trąbnął. Niewiele to miało wspólnego z muzyką. Zaskoczył wszystkich niesamowitym tańcem człowieka-gumy. Tak się zaczęło nasze kolegowanie.

Po sesji Formacji w studiu Pryzmaty Jacek podśmiewywał się z T.Love. Dał mi kasety z tymi nagraniami (w których jako wypożyczony gitarzysta grał na jednej strunie Janek Knorowski), dołączył do niej iysunek z facetem robiącym flaszkę i podpisem „Muniek Staszczik - alkohol zżera stare żelastwo”. Jacek nie pił wówczas nawet piwa, jadł natomiast czekoladę. Było to w czasach, kiedy akcje T.Love

w moim rodzinnym mieście nieco spadły, a kultową kapelą stała się właśnie Formacja. Wtedy to dowiedziałem się, że Jacek maluje. Malował nieśmiało, wówczas raczej rysował śmieszne obrazki, na których jego ulubionymi bohaterami byli cadyk z Radomska w różnych konfiguracjach oraz gruby Bułgar z wąsami, bo Jacek lubił także bałkańskie klimaty, wiejską muzykę z Jugosławii i Bułgarii, może w ramach kultuwanego przezeń etosu wieśniactwa.

Kiedy T.Love był już w miarę znanym zespołem, starałem się lansować Formację. Zagraliśmy razem parę koncertów, głównie w Warszawie, dzięki czemu Jacek i spółka zyskali sobie pewną undergroundową sławę. Bardzo udany był występ w Hybrydach wiosną 1984, kiedy to Formacja grająca jako support zdecydowanie nas przebiła. Był to w zasadzie duet; Jacek - wokal i Szczepan Ociepa grający na casio, tylko na koncertach wspierali ich Orzeł na basie i Wojtek Wierus na gitarze. Mniej więcej w tym samym czasie zrobili całe tony nagrań w Pryzmatach. Chyba spali w tym studiu. Szczepan był prekursorem house music. Wycinał taśmy, bębny np. z The Cure, klawisze z Joy Division, nie wiem jak to robił w takich warunkach. Z tamtych czasów pochodzi kilka utworów, które nagrane zostały później na płycie np. „Centrum wynalazków” (Za oknem burza..). Nie wiem czy te taśmy się do dziś zachowały, ale jak na tamte czasy były na swój sposób genialne.



Od lewej: Orzeł (legendarny gitarzysta), Szczepan (prekursor house music)

Formacja w swym wczesnym częstochowskim okresie była doskonałym zespołem artystowsko-progresywnym. Idolami Jacka i Szczepana był Kraftwerk. Szczepana w ogóle fascynowała niemiecka kultura i w tej chwili mieszka on w Niemczech. Przy każdej sposobności wykorzystywali język niemiecki, bo Szczepan lubił jego brzmienie - mieli np. taki numer „Wariatenhaus”.



*Formacja artystowsko-progresywna*

W 1985 r. dostali się do Jarocina, już bez Szczepana, na stałe do Jacka dołączyli Wierus i Olek Klepacz, klawiszowiec, również perkusista. Jacek coraz częściej przyjeżdżał do Warszawy, niebawem zdał na Akademię Sztuk Pięknych i słusznie, bo jest zdolnym chłopakiem (choć leniwym, w odróżnieniu od Janka Knorowskiego, który jest pracowity i został na ASP asystentem). Zaprzyjaźnił się z Pawłem Sito i Grzegorzem Miecugowem, nagrania Formacji zaczęły chodzić w Rozgłośni Harcerskiej, a później w Trójce, zaczynał się okres gwiazdorski, choć wciąż grali mało koncertów.

Największy przebój Formacji to jedyny w tym okresie śpiewany przez Jacka tekst mojego kumpla, Wojtka Płocharskiego. Wojtek, z którym mieszkałem przez całe prawie studia, napisał swój wiersz i wywiesił go na miejscu widocznym, tak żeby każdy przychodzący mógł zobaczyć, że to jest jego kolejny genialny utwór. Chciał żebyśmy zrobili to razem w zespole Jesus Puojarez (patrz rozdział „Płochar”), mnie to jednak się średnio podobało.

Przyszedł Pałucha, który już wówczas dobrze znał Wojtkę, przeczytał i mówi:

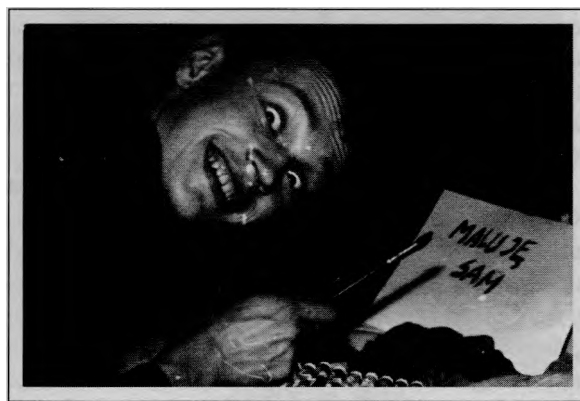
— Ale zajebisty numer! Ja to zaśpiewam!

Na to Płocharski:

— Tak, tak, ale ja muszę mieć kontrolę jaka to będzie muzyka, nic bez mojej wiedzy.

Jacek przyszedł potem z gotową muzyką i casio, grał Wojtkowi melodię, a on łaskawie ją zaakceptował. Podniecali się jaki to będzie hit. Słuchałem tego przez ścianę, chyba nawet nie przypuszczając, że aż taki.

Ruszyła maszyna. Formacja stała się kapelą grającą wszędzie. Połknęła ich rockmania. Jacka to zaczęło chyba męczyć, a jego koledzy byli szczęśliwi bo poznawali inne życie. W końcu Jacek odszedł i zostawił im nazwę, którą wymyślił w czasach, kiedy nikt z ówczesnego (i obecnego) składu Formacji nie grał w tym zespole. Myślał, że nie dadzą sobie bez niego rady. Postanowił działać na własną rękę, zakładając grupę Furmanka, której trzon stanowili Koniu (bas), jego narzeczona Karmila (klawisz, wokal) i Paweł Orzeł (gitarra). W tym składzie nagrali świetny materiał, wydany jednak za późno i pozbawiony należytej promocji. Furmanka dała tylko jeden koncert, ale już bez Karmili i Konia (na basie grał jego uczeń, Sergiusz), po czym Jacek postanowił rozstać się z muzyką i skoncentrować się na malarstwie. Ostatnio doszły do mnie słuchy, że



*Jacek maluje*

Jacek, Orzeł i Sergiusz próbują grać heavy metal z wokalem w stylu Michała Bajora. Tymczasem Wojtek Wierus i Olek Klepacz nie próżnowali. Kapitał jaki stanowiła nazwa wykonawcy największego hita lata 88 dawał chłopakom możliwość dalszej egzystencji. Wystąpili w Opolu i nagrali płytę, z piosenkami naśladującymi poetykę Pałuchy i Plochara. W różnych pismach ukazały się w zeszłym roku artykuły o Formacji, w których nie było o Jacku ani słowa, choć on wymyślił ten zespół.



*Jacek w akcji*

Myślę, że Jacek pożałował swojej decyzji pozostawienia Olkowi i Wierusowi znaku firmowego. Nawet raz rzucił butem na koncercie Formacji w Częstochowie. Szczególną pretensję kierował do Olka (swojego mlecznego brata), nazywając go złośliwie Dickiem Wredniakiem. Podobno niedawno nienawiść przygasła i stare rany się zagoiły, ale nie zmieniło to faktu, że najoryginalniejsza popowa kapela z Częstochowy rozmięła się na drobne i rozmyła w czasie.

Kilka razy Jacek występował z T.Love na scenie, m.in. na Róbrege 85, gdzie zaśpiewaliśmy razem piosenkę „Kontakt”, wykonaną tylko ten jeden raz. W jej tekst Jacek wplótł kawałek swojego numeru „Z nożem na ptaki”. Śpiewał też z nami na Kontroli 86. Miał również zrobić okładkę do „Miejscowych live”, ale na nim nie można polegać i sprawa się przeciągała. Jest jednak bardzo dobrym malarzem, a jego obrazki już teraz dobrze się sprzedają w galeriach. Będzie z niego coś, o ile nie odleci w przesadną chałturę.

## JAROCIN

Pierwszy raz znalazłem się w Jarocinie w roku osiemdziesiątym pierwszym wraz z Opozycją. Nie był to jeszcze wtedy festiwal gigant, impreza rozrastała się z roku na rok, w końcu zaczęła nabierać pewnego magicznego znaczenia. Jarocin, wymyślony i zrealizowany przez Waltera Chelstowskiego, stawał się miejscem gdzie można było zaśpiewać wszystko bez żadnej obawy przed cenzurą, przechodziły nawet najostrejsze, polityczne „kawałki”. Taka sytuacja wynikała z polityki władzy na początku lat osiemdziesiątych, której to, po „dziele” stanu wojennego bardzo na młodzieży zależało. Postanowiono więc nie przeszkadzać szarpiadutom i ich publice, a wręcz przeciwnie - dofinansowywać. Pieniądze na ten cel szły z kasy



urzędu miasta Jarocin oraz z dotacji ZSMP. Jasne było przecież, iż bez zgody odpowiednich oficjeli taki festiwal nie mógłby się odbywać. Mimo tego przez pierwsze pięć lat jego trwania nikomu z góry nie zależało na specjalnej inwigilacji. I w ten oto sposób w komunistycznej Polsce mieliśmy rockowy festiwal z prawdziwego zdarzenia. Poza muzyką Jarocin był dla niektórych oazą wolności. Początkowo akty przemocy nie miały takiego nasilenia jak później. Zawsze zdarzała się jakaś drobna zadyma, lecz z reguły było spokojnie. W roku 1982, na ostatnim przeglądzie MMG, po raz pierwszy pojawiły się kapele punkowe i postpunkowe. Rozpoczął się nowy, najlepszy okres w historii imprezy, trwający mniej więcej do roku 1986. Zakrawa to na paradoks, że podczas trwającego wciąż „stanu wojny” z estrady jarocińskiej płynęły najostrejsze kawałki. Od tej pory Jarocin stał się nie tylko największym festiwalem rockowym, ale również jedynym w Polsce miejscem szerszej prezentacji garażowego rock’n’rolla.

T.Love zadebiutował jako zespół konkursowy w sierpniu 1983 r. na pierwszym Festiwalu Muzyków Rockowych. Ze względu na ogromną ilość ludu postanowiono wtedy po raz pierwszy przenieść koncerty z miejskiego amfiteatru na miejski stadion. Oglądało nas ponad 20 tysięcy widzów, festiwal stawał się gigantem. Wiedział o nim już nie tylko każdy młody człowiek w PRL, pojawiali się również przybysze z krajów ościennych, głównie z Czechosłowacji. Debiut T.Love okazał się na tyle dobry, iż na następny rok zostaliśmy już zaproszeni jako goście.

Jarocin 1984 był festiwalem równie gigantycznym i równie udanym co poprzedni. Dopisała publiczność, dopisały kapele. Wzrastał poziom, wykonywano coraz inteligentniejsze kawałki, a wszystko jak na razie, odbywało się bez udziału cenzury.

Jarocin 84 przeszedł do historii również dzięki superprofesjonalnemu nagłośnieniu. Raz jedyny w historii imprezy szefem ekipy akustycznej był zawodowiec z prawdziwego zdarzenia. Jakość dźwięku z tego koncertu była na tyle dobra, że nagrania nasze stały się podstawą do wydania pierwszej chałupniczej kasyety T.Love zatytułowanej

„Nasz Bubelon”. Z tamtych czasów przypominam sobie specyficzną, bardzo pozytywną atmosferę panującą wśród muzyków i publiczności. My, jako „ludzie z zespołów” czuliśmy się wówczas zwartym pokoleniem mającym coś ważnego do przekazania tym, co nas słuchali. W 83 wszystkie bandy konkursowe mieszkaly na polu namiotowym koło basenu, co stanowiło czynnik integrujący. Wydaje mi się, iż nie istniał jeszcze wtedy tak popularny dziś model rynkowo-gwiazdorski. Bez problemów pożyczaliśmy sobie nawzajem instrumenty, a fanowie byli najczęściej naszymi rówieśnikami, myślącymi podobnie do nas. Bariera między sceną a widownią istniała tylko formalnie.



Pierwsze, nieznaczne jeszcze, objawy kryzysu dało się zauważyć już w roku 1985, kiedy to festiwal zaczął wzbudzać zainteresowanie władzy. Rozpoczęto cichą inwigilację.

Muzyka rockowa, będąca we wczesnych latach osiemdziesiątych wentylem bezpieczeństwa, stawała się z czasem dla „góry” równie niewygodna, co uczestnictwo w demonstracjach ulicznych, zresztą w latach 1985-87 coraz rzadszych. W Jarocinie wykonywano różne „nieprawomyślnie utwory”, a co najgorsze - impreza była czynnikiem zespalającym młodzież.

„Jarocin” jako festiwal wymykał się spod kontroli, czemu oczywiście należało przeciwdziałać. W roku 1985 trudno było zlikwidować tak wielki i powszechnie znany spęd, postanowiono więc go stopniowo rozmiękczać, kastrować, pozbawiać pazurka. Dziś można zapytać, coż mogło zaszkodzić silnej w połowie lat osiemdziesiątych ekipie rządzącej; banda szarpidrutów i ich niedomytych kibiców? Jak z drugiej strony wytłumaczyć fakt, iż w tymże roku byłem kilka razy rewidowany w hotelu, pod pretekstem poszukiwania narkotyków. Do mnie i do moich kolegów z zespołu (nota bene byliśmy gośćmi festiwalu) zwracano się wyjątkowo po chamsku. Dotyczyło to również towarzyszących nam dziewczyn. Ubole przeszukiwali nasze szafy, ubrania, mocno kurwując. Jak wytłumaczyć sprawę przesłuchiwania na jarocińskim komisariacie MO muzyków Armii w celu wyjaśnienia domniemych kradzieży i oczywiście narkotycznych podejrzeń? Czym tłumaczyć brutalność gliniarzy i wzmózoną aktywność cenzury, której do roku 1985 wcale w Jarocinie nie było (na

12 piosenek, które po raz pierwszy musieliśmy przedłożyć do kontroli w roku '85, zakwestionowano teksty dwóch - „Ogolone kobiety” i „Imperium”)? Jak w końcu odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w ramach tzw. dokumentacji festiwal zaczął być nagrywany od początku do końca przez panów niezupełnie związanych z rock'n'rollem? Chelstowski bezradnie rozkładał ręce mówiąc, że tak musi być i nic się nie da zrobić.

Jednak wszystkie te działania wpływały fatalnie na atmosferę imprezy, o czym od początku wiedzieli ludzie

związani z nią „od kuchni”, czyli muzycy i organizatorzy. Niedługo potem złe fluidy przeniknęły do publiczności. Chamstwo pijanych bramkarzy i częste rutynowe kontrole milicji nie wpływały pozytywnie na samopoczucie ludzi, co z pewnością spowodowało notowany od drugiej połowy lat osiemdziesiątych spadek festiwalowej frekwencji. Dla muzyków dotychczasowa wartość Jarocina polegała m.in. na całkowitej wolności słowa. W momencie pojawienia się cenzury czar prysł i wszyscy znaleźliśmy się zupełnie gdzie indziej.

Festiwal w roku 1986 był ostatnim zorganizowanym przez combo Waltera. Na pożegnanie brytyjska ekipa telewizyjna z BBC nakręciła 40 minutowy film zatytułowany „My Blood Your Blood” czyli „Moja krew, twoja krew”, gdzie i T.Love miał swoje 2 minuty. Wykonywaliśmy tam kawałek „Zabijanka” (patrz rozdział „Video”). Tym światowym akcentem zakończył się złoty okres w historii imprezy, przypadający na lata 1982-86.

Czas ten ukształtował całe pokolenie fanów, muzyków, a także młodych dziennikarzy o muzyce piszących. Każdy, kto w tamtym czasie interesował się rock'n'rollem, czy chciał czy nie chciał, musiał się otrzeć o Jarocin.

Jak to zwykle bywa po latach tłustych nadchodzą chude. Impas przerodził się w regres. Wprawdzie w roku 1986 był festiwal jarociński zdecydowanie największą imprezą tego typu w całym bloku wschodnim, to już w roku następnym rozpoczęło się jego powolne umieranie. Zdaje się, że wtedy to właśnie Ministerstwo Kultury i Sztuki postanowiło włączyć Jarocin w kalendarz imprez kulturalnych dotowanych przez państwo (a kto płaci, ten zamawia muzykę). O festiwalu zaczęto mówić jeszcze szerzej, reklamowano go nawet w DTV. Był to koniec jego swoistej niezależności. Niezależność tę, mimo istniejących również wcześniej komunistycznych dotacji impreza jarocińska starała się utrzymać głównie pod względem artystycznym.

Uczestniczyliśmy w pogrzebie imprezy występując na niej jeszcze dwa razy - w 1987 i 88 (szczególnie festiwal w 1988 był przysłowiowym gwoździem do trumny). Ranga Jarocina zaczęła maleć z roku na rok. Przyjeżdżało



coraz mniej ludzi, nie tylko ze względu na wzrost kosztów karnetów, ale głównie dlatego, że festiwal ten przestał być wyznacznikiem tego, co w polskim rock'n'rollu najlepsze i najświeższe. W kraju odbywało się coraz więcej rockowych spędów, jakościowo konkurencyjnych, choć o wiele mniejszych. Specyficzna, magiczna atmosfera zniknęła gdzieś po drodze. Nie było w niej już nic wyjątkowego. Festiwale z lat 1987-88 zaczęły przypominać spacyfikowane imprezy muzyczne w stylu socrealistycznym. Widoczne to było zwłaszcza w gorące lato 1988 roku, gdy przemoc osiągnęła w Jarocinie niespotykane apogeum. Pomimo zarządzanej na czas festiwalu prohibicji służby porządkowe wyjątkowo nadużywały gazu, bijąc kogo popadnie. Niespotykane też wzrosła aktywność gliny i służby bezpieczeństwa. Funkcjonariusze tej ostatniej zażądali od organizatorów wydania na ich potrzeby bodaj 100 identyfikatorów „obserwator” i „prasa”, przeznaczonych dla swoich ludzi. Zdobycie czołowej lokaty bądź wyróżnienia w Jarocinie w końcu lat 80., nie dawało zespołom praktycznie nic, poza wymienieniem ich nazwy w kilku gazetach. Zwycięzcy z lat poprzednich - TSA, Kobranocka czy Sztynwny Pal Azji po jarocińskim debiucie stawali się wkrótce znani.

W roku 1989 podjęto próbę reanimacji festiwalu - przywrócenia mu dawnego ducha i znaczenia. Nowym szefem został dziennikarz muzyczny z pr. III PR - Piotr Majewski, autor audycji Krajowa Scena Młodzieżowa. Miał on zamiar kontynuować najlepsze tradycje lat tłustych.

Decyzja Majewskiego o powierzeniu przyznawania nagrody jury doprowadziła do konfliktu na linii organizatorzy (a także zaprzyjaźnieni z organizatorami muzyki) - publiczność. Obrażona na to, że to już nie ona przyznaje główną nagrodę publika obrzuciła pomidorami zespół Closterkeller, zwycięzcę z roku 1989. Podobne trofea (kamienie, pojemniki z kefiern) uderzały w inne kapele, które kojarzono ze „stajnią” KSM czyli Piotrem Majewskim. Więż łącząca muzyków z jarocińską publicznością pękła, stosunek między sceną a widownią przypominał wojnę.

Źródłem tego był niezdrowy układ w światku

rock'n'rollowym, gdyż organizacją imprezy mającej ukazywać obiektywnie obraz polskiego rocka zajęły się osoby jednoznacznie kojarzące, się ze swoistą mafią, popychającą siebie nawzajem. Mafią, która zdominowała dostęp do najczęściej słuchanych w państwowym radiu audycji i czerpiącą zyski z organizacji koncertów swoich pupili.

Po trzech latach nieobecności w Jarocinie ponownie pojawiliśmy się na festiwalu w 1991 r., już jako nowy zespół o tej samej nazwie. Popularność „Pocisku miłości” i „Warszawy” spowodowała, że przyszło do mnie zaproszenie od Waltera Chelstowskiego, który pisał że bardzo chce nas widzieć jako jedną z kapel występujących w finale imprezy, która po raz pierwszy miała być transmitowana na żywo przez tv. Jarocinowi 91 towarzyszyła wielka pompa i całkiem skuteczna reklama. Pomyślałem sobie tak: zawsze byłem mocno związany z tym festiwalem - pojedziemy, zobaczymy czy coś się zmieniło. Tym bardziej, że Benedka podniecają spektakularne akcje - duży stadion, duży koncert - więc w Jarocinie wystąpić trzeba.

Wkrótce okazało się, że dla telewizji mamy zagrać tylko 5 kawałków - oznajmił nam to Chelstowski, który przyszedł na naszą próbę i niczym stary belfer przyglądał się czy prezentujemy odpowiedni poziom aby dostąpić zaszczytu pokazania się na szklanym ekranie. Zaczęły się słowne przepychanki, jako że pięć numerów nie satysfakcjonowało nas zupełnie. Było to coś w rodzaju kastracji. W końcu mieliśmy nowy program, z nowej płyty, który chcieliśmy zaprezentować w całości. Ponieważ bardzo zależało mi na pełnym koncercie dla ludzi, przyjęliśmy propozycję zagrania także dzień wcześniej na małej scenie - w amfiteatrze.

Przyjechaliśmy do Jarocina. Panował straszny bałagan organizacyjny, chociaż już od samego początku czuło się że publika dopisała i przynajmniej pod tym względem w tym roku impreza przypominała dawne dobre lata. Tak więc reklama poskutkowała, rzecz nie do pomyślenia dawniej, kiedy tego typu działania mogłyby tylko odstraszać i zniechęcać do przyjazdu. Zagraliśmy po raz pierwszy na małej scenie, czego bardzo chciałem. W dzień -

było widno i to było fajne. Teraz jak na to patrzę - to była taka otwarta próba, która wpłynęła ożywczo na naszą formę następnego dnia. Widzisz ludzi, wychodzisz i grasz. To było zupełnie nowe doświadczenie - nie występowaliśmy jako jakaś kapela uznana czy coś takiego. Chodziło

o to, aby trochę powalczyć z publicznością, która zresztą była bardzo krytyczna, a może trochę pozersko-krytyczna? W końcu zagraliśmy bardzo dobry koncert, solidny muzycznie i mimo, że nie było bisów, to mi prywatnie dało bardzo dużą satysfakcję - ludzie siedzieli skupieni i słuchali muzyki. Następnego dnia przyszedł czas na telewizję. Już na próbie pokłóciłem się z Benedkiem co do repertuaru. Ograniczeni limitem 20 minut musieliśmy dokonać ostrej selekcji. Janek chciał grać numery z angielskimi tekstami, co dla mnie wydawało się kompletnym samobójstwem. byłem za miksem sprawdzonych starych piosenek z nowymi sprawdzonymi - po polsku! Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że ta decyzja uratowała nas. Koncert rozpoczął się spokojnie, ale w momencie włączenia kamer tv posypały się na scenę upominki. Publiczność jarocińska walczyła o swoją niezależność - albo zapragnęła zostać dostrzeżona w telewizji. Oberwały Róże Europy, Big Cyc i inni. albowiem nie byli Defektem Mózgu, którego obejrzenia - nie uwzględnionego w programie - życzyła sobie co bardziej punkowa część widowni. Protest nasilał się i w końcu doprowadził do tego, że Defekt został zaproszony na scenę w przerwie transmisji, tak, aby nie zhańbiło go pokazanie w pudełkach widzów w całej Polsce. W takim to klimacie przyszło nam wyjść na scenę i odeprzeć ataki nadal zde gustowanej publiczności, która apogeum wkurwienia osiągnęła na występie grającego przed nami duetu Balcan Electrique (już po Defekcie Mózgu).

Po raz pierwszy moja kapela znalazła się w tak dziwnej sytuacji: wyjść do publiczności, która jej kompletnie nie chciała - nie chciała nikogo - w ogóle. Nie chciała telewizji. i tak dalej. Stałem na scenie, przywitałem się, zaczęliśmy grać. Pierwsze poleciało „Liceum”, podczas którego dostałem czymś w grdykę, chyba kapslem od piwa -i to był ostatni przedmiot jaki poleciał na scenę. Z numeru na numer zaczęliśmy się rozkręcać, publika również.

Wrogość mijala. Czulem się mocno nahajowany, coś zaczynało się przelamywać. W momencie grania czwartego utworu ludzie byli już kupieni. Na koniec zagraliśmy „Wychowanie”. To było piękne uczucie gdy schodziliśmy ze sceny - w zupełnie innej atmosferze - byliśmy pierwszym zespołem, który to przelamał, naprawdę mocna sprawa. Nie mogę dziękować ludziom, bo uważam, że była to nasza zasługa. To było niesamowite doświadczenie, bo z reguły jak wychodzę na scenę od tych paru paru dobrych lat, to ci wszyscy co przychodzą na koncert są nastawieni na tak... A tam było inaczej. Po koncercie zaczęło się poklepywanie po ramionach przez tych wszystkich facetów, Chelstowskiego i tak dalej. Pomyślałem sobie „nic takiego, po prostu dobry koncert”

Myszę wiele różnych rzeczy o publiczności jarocińskiej, to są ludzie, którzy się zmieniają, co parę lat przyjeżdżają nowi, mający z jednej strony wiele kłapek na oczach, lecz ich reakcja na koncercie finałowym pokrywała się zupełnie z moją. Bo kiedy leciały puszki to ja czulem to samo. Nie dlatego żebym nie lubił Balcan Electrique, ale chodzi o to, czy tego typu kapele akurat mają w finałowym koncercie swoje miejsce jako reprezentatywne dla festiwalu.

Uważam, że transmisja telewizyjna miała swoje plusy jak minusy. Dla mnie plusem była relacja na żywo i to, że ludzie w całej Polsce, zarówno ci lubiący rock'n'rolla jak i jego przeciwnicy, którzy do Jarocina pojechać nie mogli bądź nie chcieli, mogli zobaczyć jak naprawdę wygląda ten festiwal. Z drugiej jednak strony można by sobie zadać pytanie czy też zobaczyli prawdę? I tu zaczynają się minusy całego przedsięwzięcia. Relacja owa była moim zdaniem nieco przekłamana. Wyciszano wszystkie negatywne reakcje publiki domagającej się zejścia ze sceny kolejnych kapel i występu Defektu Mózgu. Wielkim nieporozumieniem była osoba prowadzącego koncert, młodego przystojnego chłopaczka, wyjętego jakby żywcem z festiwalu sopockiego. Wraz z syjącym swoje głodne kawalki Owsiakiem starali się udowodnić telewizjom, że wszyscy bawią się doskonale i w ogóle jest super. Chłopaczek ów

zapytał mnie przed wyjściem na scenę co powiem mu do mikrofonu gdy będziemy już na wizji. Wyglądało to mniej więcej tak:

— Słuchaj Muniu, ja ci zadam pytanie, a ty odpowiesz, tylko powiedz mi teraz co odpowiesz.

Poczułem się zażenowany, było mi wstyd za niego, szczególnie, że rozpoczął od głupawego stwierdzenia, które przeczytał tego dnia w beznadziejnej gazecie festiwalowej:

— Wy jako gazeta, pokolenia...

Kolejnym zgrzytem była dla mnie krótka wymiana zdań z Walterem, która miała miejsce również przed naszym graniem. Kiedy sytuacja była napięta i Fiolka bądź Starosta dostali petardę, Chelstowski oglądający transmisję na monitorze rzucił do mnie mimochodem:

— Zobacz Muniu jakie zawodowstwo, grają, nie reagują na prowokacje tych zwierząt. To tylko kilku gnojów próbuje rozwalić nam festiwal.

— Czy naprawdę jest ich tylko kilku? - zapytałem.

— To zwierzęta, nie zwracaj na nich uwagi - odpowiedział.

— W końcu dla tych zwierząt robisz tę imprezę - pomyślałem.

Rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych.

Jarocin'91 był moim zdaniem dosyć udaną próbą wskrzeszenia dawnych dobrych lat festiwalu. Inteligentna, choć nachalna reklama - rzecz w dzisiejszych czasach konieczna - zrobiła swoje, przyjechało znowu dużo ludzi, czuło się w związku z tym pewną wagę imprezy jako największej w Polsce. Z drugiej strony zaczynają jednak ewidentnie dominować sprawy kasowe i zespoły takie jak nasz są po części traktowane nieco instrumentalnie jako napędzające publikę. Kastrowanie programu do pięciu utworów, w związku z transmisją tv, która okazuje się najważniejsza, było dla nas krzywdzące. W Jarocinie gra się przecież tylko raz w roku i to głównie dla przyjeżdżających tu ludzi. Co do muzyki, to sam nie mogę się wypowiadać. Jako że imprezę potraktowałem towarzysko i nie byłem na żadnym koncercie, oprócz finałowego. Jednak nikt z moich znajomych nie mówił o żadnych rewelacjach

wśród nowych kapel. Niezły poziom techniczny i teksty po angielsku to nie wszystko, brakowało autentycznego feelingu. przekazu i iskry bożej. Najśmieszniejsze, że zespół Latawce, jeden z wyróżnionych przez jury, dwa miesiące wcześniej grał w rodzinnym Międzyrzeczu jako support dla Garów i Gitar.



*Jarocin 91 - amfiteatr*

## KARIERA

Jeśli chodzi o karierę, to należałoby się zastanowić, czy słowo to w ogóle ma jakieś znaczenie w naszych polskich warunkach i czy towarzyszy jemu należyty wątek finansowo-splendorowy. Po 10 latach grania spotykają mnie ludzie i mówią: „No teraz jest was dużo w mediach, mieliście jedynekę na liście »Trójki«, robicie karierę”. Ludzie tak myślą. Ja sądzę jednak, że przez ten czas w moim życiu naprawdę niewiele się zmieniło. Jedyna różnica, to to, że mogę sobie wymyślać jakie piosenki chciałbym nagrać na następnej płycie i wiem, że jestem w stanie to zrobić, bo jak na razie ludzie kupują nasze nagrania i wciąż otrzymujemy propozycje od firm fonograficznych. Na pewno jednak nie wiąże się to z żadnym wielkim ekwiwalentem pieniężnym - choć staram się żyć wraz z rodziną z tych dochodów.

Mieliśmy kilka faz „kariery”. Pierwszy raz gdy zaistnieliśmy jako gwiazda garażowa, a nasze utwory grano w Rozgłośni Harcerskiej i na tamtejszej liście mieliśmy jedynekę. Wchodziliśmy z kawalkami do „Trójki” - mówiono, że robimy „kariery”.

Rok 1987. o czym już wspominałem, był rokiem pięczętującym koniec tzw. pozytywnej alternatywy. Zespoły jeszcze niedawno „niezależne” zaczęły wchodzić w nie naoliwione trybiki polskiego szolbizu. Poprzez obecność radiową i prasową stawały się one coraz bardziej popularne. Dla tak zwanych zwykłych odbiorców byliśmy już wielkimi gwiazdami zarabiającymi krocie (no bo skoro radio i prasa...). Praktycznie jednak nasza egzystencja niewiele się zmieniła i wbrew ludowym mitom nie pływaliśmy w luksusach i marcepanach. Nie byliśmy również, jak sądzono, posiadaczami superprofesjonalnej aparatury nagłaśniającej. Różnica między niedawną przeszłością, a czasem teraźniejszym polegała jedynie na tym, że graliśmy nieco więcej koncertów w nieco większych salach i za nieco większe pieniądze, które i tak odpływały bardzo szybko z naszych kieszeni.

Po nagraniu „Miejscowych” zaczęliśmy sporo jeździć po kraju. Pociąg pośpieszny II klasy coraz częściej zastę-

powany był busem wożącym nas i nasz sprzęt. Zrobiło się profesjonalnie. Ludzie na koncertach odbierali T.Love dobrze, żeby nie powiedzieć bardzo dobrze. Atmosfera w kapeli w latach 1987-88 była niezła, choć zupełnie inna niż za czasów Słonia i Janka. Nie byliśmy już tamtym szkolnym zespołem, któremu na niczym nie zależy i który wykręca brzydkie numery. Mieliśmy troszeczkę więcej lat, skład personalny był przekształcony, wszystko to miało oczywisty wpływ na klimat wewnątrz orkiestry. W pewnym momencie postanowiliśmy skupić uwagę na tym, aby swoją rolę wykonać jak najlepiej, to jest zagrać i zaśpiewać w miarę przyzwoicie, unikając wpadek. Zaczynało się myślenie o muzyce w kategoriach warsztatowych. Bardziej „muzyczny” i bardziej dopracowany od pierwszego miał być też nasz drugi longplay (tym razem na szczęście studyjny). Po jego nagraniu nastąpiła kolejna faza „kariery”.

Graliśmy w klubach, ludzie przyzwyczaili się, że często nasze numery są w radiu. Pozycja T.Love na mapie polskiego rocka została ugruntowana. W latach 1987-89 plasowaliśmy się w dolnych rejestrach pierwszej ligi. Dla młodych, początkujących kapel byliśmy już weteranami. Czas biegł nieubłaganie do przodu. Okres, w którym przyszło nam robić karierę, nie przypominał w żadnym stopniu tłustych lat z początku dekady. Trzeba pamiętać, że lata 82-85 to czas wielkiego boomu, niosącego za sobą wielkie nakłady płyt, ogromne ilości koncertów, oraz - co za tym idzie - spore pieniądze. Zespoły mojej generacji pod względem nakładów płyt i przychodów finansowych nie dorastały nawet do pięt krezusom wczesnych lat osiemdziesiątych. Nakłady te - ze względu na zmniejszony popyt - znacznie zmalały. Załamał się również rynek koncertowy. Pieniądze, które zarabialiśmy w czasie największej prosperity starego T.Love były naprawdę nienadzwyczajne. Dalej trudno było nam traktować granie jako zawód, skoro wciąż całość przypominała jedynie zabawę wyglądającą na profesjonalizm.

Dwa ostatnie lata istnienia starego składu to było nasze apogeum jeżeli chodzi o ilość ludzi, którzy przychodzili

na koncerty. Graliśmy czasem po dwa koncerty dziennie, co dziś się już nie zdarza. Dla publiczności wyglądało to znów na „karierę”, a dla mnie był to schyłek, dusiłem się przez cały czas, myślałem o tym co zrobić - rozwiązać zespół? (patrz rozdział „Schyłek”)

Teraz, po „Pocisku miłości” mamy fazę trzecią - można rzeczywiście powiedzieć, że obecny T.Love robi karierę. Po „Warszawie” i trasie promującej „Pocisk” pojawiły się na koncertach piszczące trzynasto-czternastoletnie dziewczęta, masowe prośby

0 autografy. Trudno mi to porównywać, ale żal mi poprzedniej publiczności, która dorastała razem z nami i której zawdzięczamy najwięcej. Ja zresztą nie mam nic przeciwko hitom - chciałbym je pisać

1 śpiewać, pragnąłbym aby na następnej płycie było dziesięć piosenek takich jak „Warszawa”. Uważam też, że każda grupa, czy popowa, czy undergroundowa. powinna się sprawdzić i spróbować zrobić hit. My zresztą nigdy nie chcieliśmy być zespołem elitarnym, nasz underground miał raczej polityczne podłoże. Nie mam również nic przeciwko czternastolatkom, jednak powiem szczerze, że te reakcje na ostatnich koncertach trochę mnie zdeprymowały.

Zastanawiałem się nad tym, bo moja osobowość i sposób bycia zupełnie nie przystają do idolowania. Może rzeczywiście robimy piosenki po to żeby dzieciaki pokrzyczały sobie? Zadaję sobie czasem pytanie, co ja, prawie trzydziestoletni koleś, robię na tej scenie? Żałuję, że publiczność koncertowa tak się zmieniła. No tak, moi rówieśnicy i w ogóle ci urodzeni w latach 60. mają już swoje sprawy, może poszli do pracy, zarabiają pieniądze. Jak chcą posłuchać T.Love to może kupią CD. Ale brakuje mi ich na koncertach.

Ja chyba nie zmieniłem się tak bardzo. Człowiek zmienia się gdy pojawiają się pieniądze, duże pieniądze, a tu ich nie ma. Gdyby były - zacząłbym miewać dziwne zachcianki. może też stałbym się kapryśnym idiotą. Ja tego nie znam, może to dobrze, choć z drugiej strony chciałbym to poznać, jako że lubię wydawać kasę. Więc to do

czego doszliśmy nie jest chyba żadną karierą, najwyżej ułatwieniem - mamy możliwość dotarcia do słuchacza poprzez radio, telewizję, płyty, możemy mu przekazać naszą muzykę i teksty. Ale chyba nic więcej. Jestem wdzięczny Opatrzności, że robię to co lubię - to najważniejsze...

## KARUZELA

Przez pierwszy okres naszej działalności w Częstochowie wszyscy prawie ludzie przychodzący na występy T.Love znali mnie prywatnie. Właściwie koncerty wyglądały jak duże balangi. Krzyczano: „E, Muniek, ale masz spodnie”, albo „Eee. ale masz basówkę” - to było ciepłe i sympatyczne. Nauczyłem się rozmawiać z publiką. Potem zawsze umiałem odpowiedzieć na okrzyki z sali. Teraz koledzy z obecnego składu mówią mi „Olewaj tych palantów” -ja jednak lubię sobie pogadać. Zawsze przychodzi paru takich, co chcą sobie coś rzucić, myślą, że mnie sprowokują.

Później staliśmy się pupilkami „publiczności alternatywnej”. Ta publiczność to było pokolenie ludzi urodzonych w drugiej połowie lat 60., którzy przychodzili na koncerty do klubów z czarnymi magnetofonami Grundig czyli Kasprzak. Siadali w skupieniu na podłodze, prawie każdy na kolanach trzymał kaseciak, słuchali i nagrywali. Najbardziej zapamiętałem to z ostatniego Festiwalu Nowej Fali w Toruniu, w 1984. Las magnetofonów - i tylko w natężeniu braw czuło się reakcje publiki. Oni podchodzili do tego bardzo poważnie bo taki był wtedy Czas. To była prawdziwa alternatywa, w odróżnieniu od późniejszej „alternatywy harcerskiej”. Element ludyczny pojawił się rzadziej, choć do tańców również czasem dochodziło. Bardzo jestem wdzięczny tamtej publiczności, zapewne są to potencjalni nabywcy obecnie wydanej składanki.

Już wtedy pojawiała się pojęcie „hitów koncertowych” -jak „Karuzela” „Wychowanie czy „Garaż”. Zaczęliśmy sprzedawać własne kasety. W momencie wejścia naszej sztuki na fale eteru nastąpiło pewne przemieszanie publiczności. Dawna załoga zmieszała się z publicznością słuchającą Rozgłośni Harcerskiej. Zauważyłem większą rozpoznawalność piosenek T.Love, a było to zasługą radia.

•Mniej więcej od roku 1987 na koncerty przychodziło coraz więcej przypadkowej publiczności, znającej tylko hity z „Trójki”. Las magnetofonów przerzedził się, nowa

publiczność odbierała nas bezkrytycznie, a my wpadliśmy w samouwielbienie. Wcale nie było tak świetnie - stara publiczność zauważyła, że zatrzymaliśmy się w miejscu, zaczęła się od nas odwracać. Przez lata 1987-89 skądinąd słusznie mówiono „T.Love się kończy”.

Obecna widownia jest w 90% publiką medialną, na mediach wychowaną. Idą na koncert bo widzieli T.Love w telewizji, albo słyszeli w radiu. Zdecydowane preferencje mają hity, takie jak „Na bruku” czy „Warszawa” Numery, których nie było w radiu nie są w ogóle przez nich zauważane, dostajemy za nie najwyższą letnie brawka. Nikt specjalnie nie słucha tekstów. Myślę, że nie dotyczy to tylko nas. Niestety, karuzela się kręci.

## KIC

W legendarnym akademiku przy ul. Kickiego na Grochowie spędziłem pięć lat swojego życia. Było to bardzo aktywne pięć lat. poznałem oba budynki dokładnie, przemieszkując w przeróżnych pokojach, w zasadzie tylko pierwszy rok legalnie - resztę waletując. Kie posiadał przez lata swój specyficzny blask w Warszawie. Gdy pada hasło „Uniwersytet”, od razu przychodzi na myśl Kie. Krążyły opowieści o wielkich ludziach, którzy tam mieszkali bądź pojawiali się, choćby o tym jak Stachura czy też Janek Himilbach pili wódkę na Kicu i w dyżurnej grochowskiej knajpie „Osiedlanka”. dokąd przychodzili starzy budowniczości Warszawy i gdzie można było czasem dostać coś na kredyt. Przeszedłem na Kica jesienią 1982 jako nieopierzony żuczek, aby z czasem stać się wybitnym kicmenem. Wtedy starymi kicmenami byli przede wszystkim „ubabowcy” i „hybrydowcy”, (Gąsior. Lumbago. Kargul). Ja do ich tajemnic nie miałem jeszcze dostępu.

Najmilej wspominam swój pierwszy rok w akademiku. Dla początkujących studentów zarezerwowane było całe czwarte piętro. Byliśmy pierwszym rocznikiem, który przyjęto na studia po wprowadzeniu stanu wojennego. Starszym kolegom jawiliśmy się duchowymi kalekami, pozbawionymi etosu wynikającego z przeżycia NZS-owskiego strajku studenckiego jesienią 81. Funkcjonowaliśmy jako gówniarstwo i bardzo szybko nasze piętro zintegrowało się. Piętro przyjęło ustrój totalnej komuny: gdy komuś brakowało żarcia wchodził do pokoju obok i brał z lodówki, jedzenie było wtedy znacznie tańsze niż dziś. Łączyły nas dyskusje o polityce, imprezowanie i poker. Byliśmy bardzo hałaśliwi, co odbijało się na dwóch nieszczęsnych małżeństwach z dziećmi, którym wypadło również mieszkać na naszym piętrze. Zwłaszcza weekendy mieli przegrane. No, ale to normalny syndrom pierwszego roku - wszyscy wyrwali się z domów i musieli nasycić się wolnością osobistą. Kie stał się naszym domem, daliśmy się pociąć za jego sprawą, byliśmy jego obywatelami, dumnymi z tego, że u nas najwięcej się dzieje w całym mieście.

Przyłączyłem się do mafii pokerzystów. Na piętrze istniały pokoiki do cichej nauki. tzw. cichacze - sterroryzowaliśmy je. cichacze przeszły pod naszą okupację. Piliśmy wódkę i graliśmy w pokera, przez kilka miesięcy byłem nałogowym graczem. Poker trwał do czwartej w nocy, stawki rosły. Po pewnym czasie zacząłem wywozić z domu książki i sprzedawać je w Warszawie żeby mieć za co grać. Szczęśliwie ta moda po pół roku się skończyła.

Mieszkałem w bardzo dziwnym pokoju. Postacie zakwaterowane razem ze mną stały się z czasem legendami Kica. Pierwszym z nich był Generał, syn wojskowego z Bartoszyc. Uważał siebie za marksistę, studiował nauki polityczne, miał bardzo wojskowe nawyki, 25 lat. a ja 19 i bardzo go wkurwiałem. Przy okazji był alkoholikiem, z czym walczył narzucając sobie i pokojowi trepowską dyscyplinę. O 22.00 gasił światło, tłumacząc, że się musi wyspać.

Drugim współlokatorem, również z nauk politycznych był Kierownik, człowiek z Podlasia, żywcem wyjęty z „Konopielki”. biedny chłopak, sierota, który dopiero za szóstym razem dostał się na te upragnione „nauki”. Generał był dla niego przewodnikiem. Kierownik. zahukany, czuł się bardzo obco i samotnie w tej wielkiej Warszawie.

Generał i Kierownik stanowili więc jedną frakcję. Opowiadali się za czerwonymi, chwalili Jaruzelskiego, co mnie doprowadzało do szału. Drugą frakcję stanowiłem ja i niejaki Barber.

Barber dziś wydaje się być postacią zagadkową. Był kaleką, po heine-medynie, przedstawił się nam jako mężczyzna płockiej „Solidarności”, czym strasznie się chwalił. Poznałem go jako pierwszą osobę po tym jak przydzielono nam pokoje. Uwielbiał śmiać się z Kierownika, był inteligentny i cynicznie złośliwy. Bardzo zainteresował się mną jako rockmanem, po pewnym czasie stał się szarą eminencją zsympowskich „Hybryd”, pełniąc tam oficjalnie funkcję archiwisty. Dziś krążą o nim niepotwierdzone plotki, że był konfidentem. Wtedy jednak miał różne znajomości, które raczej na to nie wskazywały. Przedstawił mnie raz pisarzowi Markowi Nowakowskiemu.

któremu bardzo dużo opowiadał o Kicu, rocku i ludziach dookoła. Na podstawie opowieści Barbera Nowakowski popełnił następne dwa opowiadania. Jedno - bardzo dobre - nazywało się „Kierownik” i było o naszym koledze, a drugie zupełnie nietrafione o rockowych koncertach w Remoncie. Nowakowski nie znał się na tym zupełnie, opierając się na opowieściach Barbera napisał straszne bzdury, wymieniając, co ciekawe, z nazwy Formację Nieżywych Shabuf. W ogóle - Nowakowski miał straszliwe zaufanie do Barbera, zostawiał mu dom gdy była sesja żeby mógł się spokojnie uczyć... Ja byłem u Nowakowskiego tylko ten jeden raz. Barber opowiadał o imprezie u Nowakowskiego. na której byli Woroszyński i Ireduński. Woroszyński podobno strasznie rozpaczał, że stalinizm wróci - to był rok 1983 - i że właściwie już wrócił, a jako stalinista miał w tym rozeznanie. Natomiast żywy jeszcze Ireneusz Ireduński. zaprzagnął spróbować trawy, którą go poczęstował Barber. Zakichał się prawie na śmierć. Barber zresztą często brał ode mnie trawę mówiąc, że daje ją Nowakowskiemu, który podobno był nią wówczas bardzo zainteresowany.

Z takimi to osobami mieszkalem w pokoju. W końcu, nie mogąc wytrzymać kaprysów Generała, udałem się z Barberem do kierowniczkii akademika i wymusiliśmy jego przekwaterowanie gdzie indziej. Generał strasznie się obraził, uważał nas za kabli, ale po pół roku nastąpiło alkoholiczne zbratanie, bo odpuścił sobie dyscyplinę i znów zaczął pić. Potem brał dziekanki, urlopy i w końcu nie skończył tych studiów. Wpadł w dziwne związki z dziwnymi kobietami, między innymi z prostytutką z Pigałaka. utknął na II roku. To był bardzo dziwny facet, ciekawe, co się z nim teraz dzieje.

Jedną z bardziej barwnych historii związanych z Kicem był skok na aptekę na ul. Grochowskiej dokonany wiosną 85 przez mojego późniejszego przyjaciela i współlokatora Runię wraz z jego drugowym guru, niejakim Zbigniewem.

Zbigniew był typowym ćpunem z Pasażu, gdzie wówczas znajdował się centralny bajzel. Można dziś rzec, że reprezentował on bezpieczną, przedAIDSową generację

szprycerów. Nie wiem w jaki sposób stał się przyjacielem Runię, a także moim współlokatorem. Runio udzielił mi miejsca na podłodze. Mój stosunek do kompotu był zawsze na „nie”, szczególnie po dziewiczym jego spróbowaniu, być może spowodowany był on moją niechęcią do strzykawek, których bałem się od czasów szczenięcych. Runio natomiast przeżywał amok, wkraczając ze Zbigniewem w coraz mocniejsze klimaty. Miało to związek z jego sytuacją prywatną, niespełnioną love. My z Wojtkiem Plocharskim przeżywalismy wówczas grassowy karnawał i postać taka jak Zbigniew wydawała nam się czymś tak wspaniale groteskowym, że również stalismy się jego kolegami. W sumie to wszystko nie było takie śmieszne, w końcu koleśi wpuszczali sobie w żyłę nie oczyszczoną heroinę, ale gdy przypomnę sobie widok Zbigniewa czytającego „Na przelaj” po zażyciu działki: siedzi, zapala papierosa. czyta. Głowa na gazecie, śpi. podnosi głowę, czyta. Głowa na gazecie... Co najśmieszniejsze, Zbigniew wyglądał jak poppers. miał grzywkę, a la niedomyty Ciechowski, bo w tamtych czasach grzanie kompotu przestało być już sprawą hipisów. Runio był zawsze chłopakiem ulegającym wpływom i może dlatego postanowił dokonać rabunku w pobliskiej aptece, gdzie podobno, wedle zapewnień Zbigniewa, miała znajdować się... morfina.

Kiedy mi o tym powiedział, myślałem, że robi jaja. Nie traktowałem tego poważnie. Pewnego wieczoru przyszli ze Zbigniewem do pokoju. Runio rzucił: Dzisiaj działamy, tylko ani słowa. Pomyślałem sobie, że już kompletnie odleciał w krainę fikcji. Wyszli około dziesiątej. Byłem już w pieleszach, opowiadaliśmy sobie z Wojtkiem dowcipy po jakimś kolejnym dymie. Dowcipy na temat Zbigniewa i Runię, że niby. wiesz, poszli okraść aptekę. Myślałem, że zrobię kupę ze śmiechu. Po dwóch godzinach wpadają. Zbigniew trzyma jakieś paczki w ręku. Runio jest błądniczym konspirator nakryty na kolportażu antycarskiej bibuły. Byłem w świetnym humorze, pytam:

— Jak poszło, zrobiliście tę aptekę?

— Kurwa, nie było żadnej morfiny — odpowiedział roztrzęsiony Runio.

— A poza tym to chyba nas widzieli.



— Kto? — pytam dalej.

— No wiesz, po Grochowskiej jeżdżą ciągle gliniarze... Pewnie se tak jechali — rzucił Wojtek.

Zapytałem Zbigniewa co ma w tych paczkach. Zbigniew z typowym dla siebie ćpuńskim zwolnieniem frazy rzekł na wydechu:

— Reladorm... i relanium... (środki uspokajające).

Runio był przestraszony, ale z drugiej strony podekscytowany faktem, iż może nieświadomie stał się rabusiem. Bardzo lubił The Clash, a szczególnie piosenkę „Bank Robber”. To była męska przygoda. W pewnym momencie powiedziałem chłopakom żeby poszli spać. chociaż z drugiej strony widmo suki krążącej po Grochowskiej (a od Grochowskiej na Kie niedaleko) nie dawało nam spokoju. Poszliśmy spać.

Następnego dnia rano Runio ze Zbigniewem postanowili, że nie będą wychodzić z akademika, aby nie zostać rozpoznany. Łącznikiem między rzeczywistością za oknem, a gettem w pokoju miałem być ja.

— Wyjdź na Grochowską i zobacz co się dzieje — rzekł Runio. jako że Zbigniew nie miał wiele do powiedzenia, ściskając sobie żyłę kablem od magnetofonu Grundig.

Wyszedłem na ulicę. Poczułem się trochę odrealniony. Na Grochowskiej na szybie apteki ujrzałem kartkę „Nieczynne z powodu włamania”. Kurwa, oni naprawdę to zrobili - pomyślałem.

Zbigniew pomieszka! jeszcze w naszym pokoju parę tygodni. W pewnym momencie administracja akademika zajęła się inwigilacją Runią, jako czołowego narkomana na Kicu. Nie miało to oczywiście nic wspólnego ze skokiem, chodziło o to, że wszyscy w pokoju, oprócz Janusza, studenta I roku etnografii, mieszkaliśmy na waleta. W związku z tym przynajmniej Zbigniew musiał się wynieść. Wcześniej jednak postarał się upłynnić relanium i reladorm na Pasażu, specyfiki te były bowiem cenione jako tzw. dopełniacz.

Niedawno Runio powiedział mi, że ku mojemu zdziwieniu Zbigniew żyje.

Kie to także wiele legend muzycznych. W klubie

„Ubab” w podziemiach akademika debiutował podobno Kryzys, i na pewno debiutował Izrael - sam widziałem. W każdym razie, gdy przyjechałem na studia klub działał jeszcze dość prężnie, co sobota odbywały się dyskoteki z piwem, a piwo było wówczas rarytasem sprzedawanym przez starych kicmenów wyciągających od spragnionych okropne pieniądze. Od czasu do czasu odbywał się koncert. Gdy organizowano jakieś przeglądy zaglądał dawny kicmen Roman Rogowiecki (jeszcze nie był takim gwiazdorem) i zasiadał w jury. Taki przegląd był na przykład zimą 83 kiedy to wygrała grupa Lalki Kaliguli. w której wokalnie udzielał się niejaki Piotr Klatt.

Przez długie lata na Grochowie istniała (i chyba jeszcze istnieje) zgodna symbioza okolicznych meneli ze studentami. Miała ona swoje wyjaśnienie w usługach, jakie dzieci Grochowa świadczyły studentom. Do najsłynniejszych należała meta Pani Pułkownikowej koło Pewexu - kupowało się tam wodę i kwachy. Drugą melinę prowadził Ślepy Bronek. Należeliśmy do ich wiernych klientów, bo sklepów nocnych przecież nie było.

Bardzo miło wspominać te 5 lat spędzonych na Kicu, ale nie można całe życie mieszkać w akademiku. Poznałem tam jednak wielu ludzi, z którymi do dziś się spotykam i mam o czym porozmawiać. Większość z nich była już dawno z Kica, organizując sobie życie. Ponoć mieszka tam jeszcze Kierownik. Pije na umór i zapewne załamał mu się światopogląd, jako człowiekowi, który od szkoły średniej należał do PZPR. Myślę, że złożyłem hołd Kicowi w pierwszej zwrotce „Warszawy”, w której starałem się oddać jakiś klimat akademika w latach 80. Wpadam tam już bardzo rzadko, bo bardzo niewielu znajomych zostało.

## KOMUNA

Śmiem zaryzykować twierdzenie, że to komuna była matką chrzestną całej polskiej kontestacji rockowej w latach 80. Gdyby czas nie był taki jaki był. rock'n'roll nie miałby takiego charakteru jaki miał.

Działalność T.Love rozpoczęła się w momencie triumfu komuny nad „Solidarnością”, zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego. Ten zespół skończył się w tej postaci w czerwcu 1989. kiedy to komuna przegrała swój ostatni mecz. Nasza aktywność była w opozycji do komuny - a jednocześnie cały czas z nią związana. Najpierw jako wróg komuna dawała pewną intelektualną pożywkę do pisanania tekstów' - łatwo było być przeciw, pozwalała na uproszczone widzenie świata: czarne, czerwone, złe, dobre. Nie zależało nam jednak aby być wtedy jedną ze stron barykady, choć duchowo czułem się oczywiście związany z „Solidarnością”. Ani wcześniej, ani później nie zagrałem żadnego koncertu na rzecz „Solidarności” i jej dzieci. Jeżeli zaś chodzi o komunę - w pewnym sensie zdarzyło się dla niej grać.



*1 Maja 84 performance - promenada Częstochowa*

Zagraniczni goście w pierwszej połowie lat 80. bardzo chcieli widzieć polską rzeczywistość jako barykadową. Protestowałem przeciwko wrzucaniu nas do wora z komuną.

albo opozycją. Nigdy nie zgodzę się, że stan wojenny był OK, ale forma mojej negacji nie odpowiadała ani szablownikowi opozycjnemu, ani kłiszzy punkowej używanej w tekstach wczesnego Dezertera chociażby.

Nie chciałem zostać źle rozumiany, ale gdyby nie było zrywu solidarnościowego i stanu wojennego - nie byłoby tak szalonej popularności kontestującej muzyki alternatywnej. wszystkich tych Kultów. Armii. Tiltów czy Tilawów. Będąc ortodoksem niezależności można mówić, że zespoły wybijające się przez koncerty, a nie radio i płyty były „niezależne”, ale grały przecież w klubach studenckich prowadzonych przez ZSP czy ZSMP i od nich brały pieniądze za swoje występy. Trzeba było szukać jakichś wejść - do radia, do nagrań - bo przejmując się za bardzo należałoby wtedy raczej schować gitary i powiedzieć sobie „Do widzenia”. To był czas wspólnych uzależnień.

Na początku lat 80. komunie były potrzebne bardzo popularne grupy takie jak Perfect czy Republika do skanalizowania nastrojów młodzieży. Gdy dokonała się łagodna pacyfikacja - odsuwano rocka od mediów.

Nie będę z siebie robił kombatanta i mówił, że byliśmy zespołem przez komunę gnębionym. Tak jak prawie każda kapela z naszej fali mieliśmy kłopoty z cenzurą - jednak potrząć na wersy, które musiałem pozmienić, żeby móc cokolwiek nagrać, to nie jest ich tak wiele (patrz rozdział „Mysia Street”).

Staraliśmy się jednak omijać najbardziej nieciekawe propozycje. Nie graliśmy na festynach „Trybuny Ludu”, choć w 1986 proponowano nam to za niezłe pieniądze.

Największą jednak przygodą gwiazdorską mojego życia był przelot samolotem Il 62 M na trasie Rzym-Warszawa za pieniądze komuny. Wydarzenie to związane było ze słynnym Festiwałem Studentów PRL jaki odbył się w październiku 1987 w katowickim Spodku. Jednym z głównych magów dowodzących imprezą był Sławek Rogowski vel Gąsior, ówczesny szef Hybryd i przyjaciel rock'n'rolla. Byliśmy wtedy zespołem absolutnie Hybrydowym, w związku z czym na rozkaz Gąsiora mieliśmy wystąpić obok Armii i Kultu w widowisku, którego był reżyserem. Występ w Spodku na początku października był mi zupełnie

nie na rękę, ponieważ w połowie września udałem się wraz z Martą, Płocharem i jego ówczesną narzeczoną Anią na eskapadę po Europie z krajem docelowym słoneczną Italią. Był to mój pierwszy wyjazd na Zachód, nie miałem więc zamiaru przerywać sobie wakacji i zrezygnować ze słońca na rzecz zagrania trzech piosenek w spektaklu Gąsiora. Postanowiłem więc polecieć na bezczela à la Mick Jagger w średnim stadium kariery:

— Słuchaj Sławek, jadę na wakacje. Wiesz, będę podróżował autostopem, nie mogę więc dać głowy, że pojawię się w Katowicach na czas, no chyba, że zorganizujesz jakiś szybszy transport, na przykład samolot.

— Kurwa, chyba przesadzasz! Odbiło ci, czy co? – zareagował Gąsior.

— Powiedz szczerze Sławek, przecież to impreza w stylu gierkowskim, macie dużo szmalu, a jeżeli ci zależy – brałem go pod włos.

Minęło parę dni, widocznie mu zależało. Powiedział:

— No dobra, trudno. Będziesz miał bilet, na drugiego jesteś w Warszawie.

Na to posłałem mu kolejną petardę:

— Dobra, dobra, ale ja nie jadę sam.

— A co myślisz, że będę płacił za twoje narzeczone i kolegów?

— Nie obrażaj mojej długoletniej narzeczonej, lecz z nią, albo w ogóle – rzekłem jak Jagger w szczytowej formie kariery. Pomyślałem sobie, że pewnie na tym zakończymy rozmowę.

Gąsior popuł trochę, pokrzyczał w powietrze i do swoich adiutantów z Hybrid, jako że rzecz miała miejsce w klubie. Kiedy się pożegnałem, usłyszałem jeszcze zza zamkniętych drzwi: Artysta Staszczyk zupełnie pierdolnięty, pierdolnięty, słyszeliście co powiedział? A Gąsior miał ognisty temperament i w momencie zdenerwowania wypowiadał tysiąc słów na minutę niczym sprzedawcy pizzy, z którymi niebawem zetknęłem się we Włoszech.

Przez ponad tydzień, albo i dłużej nie ja, ale Marta była wrogiem numer jeden hybridowców, a także wyżej postawionych decydentów finansowych ZSP, których nie znałem. Gąsiorowi musiało jednak rzeczywiście zależać na

naszej obecności i wykonaniu kilku piosenek z „Wychowaniem” na czele, będącym dla niego hymnem pokoleniowym, albowiem w końcu otrzymałem dwa bilety lotnicze Rzym–Warszawa.



*Marta – wróg nr 1 hybridowczyków*

Po prawie miesięcznym pobycie w Italii, zresztą bardzo udanym i pełnym przygód znaleźliśmy się z Martą na rzymskim lotnisku Fiumicino. Niestety miłe nastroje szybko minęły, jako że samolot mający nas zawieźć do domu był 62 M. Takim jak ten, który kilka miesięcy wcześniej, w maju, rozbił się w Kabatach. Marta zbladła. Podjąłem męską decyzję:

— Trzeba się nawalić i nie myśleć.

Znaleźliśmy się na pokładzie, żelastwo ruszyło z wielkim hukiem, czekałem kiedy podadzą cokolwiek. Bardzo smutna stewardessa potęgująca nastrój katastroficzny zapytała:

— Wino, piwo, wódka?

— Dla mnie to ostatnie, a dla pani wino – zamówiłem.

Mniej więcej nad Alpami austriackimi było mi już wszystko jedno. Czuję się świetnie, myśląc o tym jak fajnym kolegą jest Gąsior. Po dwu godzinach wylądowaliśmy w zimnej Warszawie. Nie miałem wiele czasu na aklimatyzację, ponieważ już następnego dnia wsiadłem

w ekspres do Katowic aby wystąpić na koncercie przed premierem Messnerem. Podczas naszego występu spanikowany Gąsior podbiegł pod estradę, wykrzykując „Nie skacz tak z tym mikrofonem, wyglądasz jak nawalony” - co zresztą było prawdą. Widocznie Gąsior przestraszył się obecności premiera.

Po zakończeniu naszego krótkiego seta miało miejsce zdarzenie, które wspominam z dodatkowym niesmakiem. Trafiliśmy na bankiet dla szmacciarzy-muzyków w obskurnym klubie z tanim piwem, podczas gdy pijana wierchuszka rzucając kurczakami balowała na lepszej imprezie, gdzie nas nie wpuszczono. Weszliśmy tylko z Andrzejem

dzięki temu, że na chama wlaź tam nasz kolega George Bydlak, który zwykł chodzić w garniturze z krawatem i został zatem rozpoznany przez bramkarzy jako „swój”, a za nim wślizgnęliśmy się i my. Dane nam było wobec tego korzystać z lepiej zastawionych stołów i piwa „Pilsner”, wówczas rarytasu. Zaraz napatoczyliśmy się na jakiegoś działacza, który skrytykował nasz wygląd. Na to odpowiedzieliśmy mu: „A jak ty wyglądasz?” - wskazując na jego czerwony krawat. Obiecał nam, że nigdy już nie zagramy na całym Śląsku, ale czas wykazał, że się towarzyszył przeliczył. Nie zabawiliśmy długo, zabraliśmy piwo i poszliśmy sobie.



Messner party

## KONFLIKTY

Konflikt z moim przyjacielem Jankiem Knorowskim ciągnął się przez dwa lata. Był on gitarzystą, tak jak i ja Skorpionem, i najbardziej konfliktową osobowością w pierwszym składzie T.Love. Konflikt urodził się po Jarocinie 83, gdy zaczęliśmy jeździć, czyli dawać dwa-trzy koncerty miesięcznie. Janek objawiał się w różnych pokoncertowych. hotelowych, pijackich, drobnych zadykach. Myślę, że go wkurwiałem. Chciał mnie widzieć kimś innym i nie byłem dla niego dość odjazdowy w porównaniu do tego za jakiego mnie uważają. Tak mi to kiedyś po pijanemu powiedział, ja zresztą też byłem pijany.

Nigdy w życiu nie biłem się z nikim – z Jankiem pobiliśmy się chyba z sześć razy. Dzisiaj się z tego śmiejemy. Pierwsza potyczka musiała się odbyć gdzieś jesienią 83, chyba na festiwalu w Toruniu. Janek zachowywał się agresywnie, starał się ze mną rywalizować, sam nie wiem o co. To się objawiało i w alkoholu i w sytuacjach z kobietami. Nie wiem czy to robił żeby mi dokuczyć, ale na to wychodziło.

Stwarzał w zespole dziwną atmosferę. Tworzył w kapeli niepotrzebne obozy, podziały, co może było z perspektywy czasu miłe, młodzieżowe, ale wtedy walka z nim zabierała wiele energii. Zaczęło się psuć między nami. Było to jak w małżeństwie – wzloty i upadki, kochaliśmy się i nienawidziliśmy na przemian, potem jednak nienawiść zaczęła przeważać. Po raz pierwszy zobaczyłem, że jestem zapalczywy, zaczęły się rękoczynny, parę razy daliśmy sobie po nosie. Potem mówił: „Stary, byliśmy uwaleni, robiliśmy głupoty, chyba się pobiliśmy, pamiętasz coś?”, a ja wiedziałem dobrze, że Janek wszystko pamięta. On jest inteligentnym chłopakiem i myślę że robił to świadomie. Ktoś inny może znosiłby to rozrywkowo, mnie to jednak kosztowało wiele nerwów. Jak już było bardzo źle, to orientował się, że przegiął i mnie kokietował – był strasznie miły, stawiał mi wódki, wibrowaliśmy i wszystko przechodziło do porządku dziennego.

To narastało. Po pewnym czasie spotykaliśmy się już tylko na koncertach, nie mogłem na niego patrzeć, ale musiałem. bo w Warszawie chodziliśmy do jednej stołówki na ul. Kopernika za Teatrem Polskim do tzw. Ogrodników, gdzie było tanie domowe jedzenie.

Momentem krytycznym była zadyma na OPPIE (przeгляд piosenki autorskiej w Hybrydach). Tam występowali ci wszyscy kolesie od gitar klasycznych, tzw. nylony, śpiewający setną wersję „Obławy”. Jedyną garderobą dla wszystkich była kanciapa Izraela, gdzie na ścianach wisiały rastafariańskie malunki Brylewskiego. Z początku było kulturalnie. Nylony przychodziły, herbatka, aż nagle weszła załoga: pijany Janek, pijany Koni, pijany ja. pijany Zeńczewski i mniej pijany Słoni. Sam nie wiem dlaczego zaczęliśmy rozmawiać z tymi gośćmi, być wobec nich złośliwi. Znowu pijąc wódkę i rozbijając szkło w kanciapie w zamiarze wyrzucenia wszystkich z garderoby, wpadliśmy w nastrój sexpistolsowy. Janek zaczął zrywać i niszczyć rysunki Afy. Byłoby nawet OK, gdyby Knorowski nagle nie zaczął przekonywać Konia, że fajnie byłoby ukraść Izraelowi wzmocniacz. Tak po prostu dla zbytu. Koni był tak pijany, że gotów był wziąć pod pachę wzmocniacz, a pod drugą kolumnę. Janek mu wtórował. Powiedziałem: nie, to już jest przegięcie. W końcu przez Janka zacząłem bić się z Koniem. Słoni mnie osłonił gdy Koni złapał metalowe krzeselko, którym zamierzał uderzyć w moją głowę – gdybym dostał, byłby ze mną koniec. Janek jakby umywał ręce, ale wiedziałem, że to była jego robota. Miałem już naprawdę dosyć Janka i jego intryg. Może moje spojrzenie było zbyt subiektywne, ale po tym incydencie postanowiłem, że niestety trzeba go wyrzucić z grupy.

Powiedziałem o tym Andrzejowi Zeńczewskiemu, któremu to było w gruncie rzeczy na rękę. Janek Knorowski gitarzystą był dziwnym, wielu go do dziś pamięta, sam określał siebie jako muzyka rodem z konserwatorium leśnego. W zasadzie Janek na gitarze to tak za bardzo nie grał. ale był debilem muzycznym o genialnych pomysłach. Wiele pierwszych hitów T.Love to bazowe kompozycje Janka: „Gwiazdka”, „Zabijanka”, „Marzyciele”.

Bywało również tak, że po kilku sytuacjach alkoholowych niektórzy ludzie z kręgów katowickich jazzmanów (jak skrzypek Henryk Gembalski, który zobaczył pijanego Janka przez pół godziny grającego solówki w „Wakansie”) twierdzili, że gra on jak Hendrix. Zatem jego gra na gitarze była bardzo względna. Nazywaliśmy ją Gitarą Niebezpieczną. Janek nie nagrał żadnej partii w prawdziwym studiu, oprócz podziemnej kasety „Chamy idą”. Na żadnej płycie go nie ma. Po pierwsze dlatego, że przy „Zabijance” sam się wycofał, powiedział, że on tego równo nie zagra i jego partię zagrał Andrzej. Po drugie – przy singlu już go nie było w zespole.



*Janek – gitarzysta niebezpieczny*

Janek po oznajmieniu mu, że wylatuje z kapeli, przez długi czas nie mógł się otrząsnąć. Dziś mi dziękuje, że T.Love była piękną przygodą i na jej kredyt wypił później wiele wódek i poznał wiele kobitek, ale to dobrze, że odszedł. bo skupił się w końcu na malarstwie – tym co robi najlepiej.



*Janek – malarz: pracownia*

Właśnie Andrzej Zeńczewski miał stać się kolejną postacią konfliktową w zespole. Z Daabem poznaliśmy się podczas ich debiutu na imprezie „Kicka Wiosna 83”. Najbardziej skumpłowałem się właśnie z Andrzejem, który był wtedy gitarzystą i drugim wokalistą Daabu (a także autorem i kompozytorem ich pierwszego hitu „Przed nami wielka przestrzeń”), a dziś jest po przerwie jego liderem. Andrzej nagłośnił nas na imprezie w Hybrydach, co nam się spodobało, a na FAMIE 84, po rozstaniu z Daabem, zagrał po raz pierwszy z nami na gitarze, nie znając za bardzo formy. Potem przyjechał do Częstochowy na próbę i zgraliśmy się przed Jarocinem. Wtedy jednak funkcjonował on tylko jako gitarzysta – T. Love to byłem ja. Janek. Zając. Słoni. Koni. A Andrzej to był Andrzej. Początkowo nic nie mówił o swoich kompozycjach, dodawał tylko pomysły do numerów Janka – tak było z „Marzycielami”, „Zabijanką”, które Andrzej ucywilizował.

Pierwszą jego kompozycją w T.Love były „Ulice” i już zaraz przed odejściem Janka zaczęła się kompozytorska kariera Andrzeja. W zespole spadała rola Darka Zająca, dość mocno stały akcje Konia jako zawodowego muzyka. Kiedy przyjmowaliśmy następnych gitarzystów, Andrzej był już tym głównym.



*Andrzej - kolejna postać konfliktowa*

Gdy niewiele wiedziałem o muzyce wydawało mi się, że Zenchol potrafi dobrze grać na gitarze. Kiedy zjawił się w zespole graliśmy takie niby new wave. Nikomu nie przeszkadzało, że gra trochę kiurowo, trochę nie wiadomo jak. że to nie jest konkretne, bo T.Love nie był wtedy rockowym zespołem. Wydawało się, że Andrzej jest genialny, zwłaszcza wobec gry Janka. Nawet Koniu został omamiony jego magią i ustaliło się, że Andrzej jest dobrym gitarzystą. Ale nigdy nie był gitarzystą rock'n'rollowym, Andrzej się z tego śmiał, ja też się z tego śmiałem. Był to okres prześmiewczy. Śmiałyśmy się z tych co „umieli”, bo

my tu robimy nową sztukę, bo to inna estetyka, nie potrzebujemy wysublimowanych solówek. Z upływem czasu odczuwałem, że czegoś brakuje w gitarze Andrzeja. Kiedy próbował on zagrać riff Stonesów, to jakoś nie byli Stone-si, tylko Andrzejowe granie. Niby było czysto, ale nie tak. Zacząłem rozmawiać o tym z Koniem. A pod sam koniec stwierdziłem sam, że Andrzej jest nieodpowiednim dla nas gitarzystą, na dodatek rwały mu się struny i gitara mu nie stroiła. Dziś jest znacznie lepszym muzykiem, w końcu się za to zabrał, zadbał o brzmienie, kupił piec. W T.Love był jednak obiektywnie kiepskim gitarzystą i bardzo dobrym kompozytorem, a także dużą osobowością, bardzo inteligentnym człowiekiem.

Myślę, że zawiodłem się na Andrzeju (i wiem, że on to samo mówi o mnie). Chciał upiec na raz bardzo dużo pieczeni, zawsze miał na boku inną grupę – Niepodległość Trójkątów, potem znowu Daab. co samo w sobie nie było złe, ale odbijało się na T.Love. Nasz zespół był ciągle rozczłonkowany w różnych miastach i powinniśmy go byli mocno trzymać w kupie z Andrzejem, ale jemu ten nieład był w pewnym stopniu na rękę. Myślę, że chciał jechać nadal na popularności T.Love, będąc jednocześnie sercem bardziej w Daabie. Ponadto wytwarzał dziwną atmosferę w zespole. Doprowadził do silnych kompleksów Darka Zająca, który nigdy nie był dobrym klawiszowcem, a tylko dobrym człowiekiem. Z Andrzejem świetnie się piło, gadało, ale mieliśmy inne systemy wartości. Nie rozumiał mnie, gdy mówiłem, że sztuką jest granie prostej muzyki jaką tworzy np. Lou Reed czy Ramones. Jakoś tak się działo, że w końcowej fazie stało się tak samo z Andrzejem jak kiedyś z Jankiem – nie mogłem na niego patrzeć. Czary goryczy dopełniły koncerty wiosną 1989 roku. Jako gitarzysta skandaliczny nie przyjmował żadnej krytyki. Po graniu w Żyrardowie zdecydowaliśmy, że musi on odejść, mieliśmy jednak jeszcze pewne zobowiązania koncertowe. Na koncert z The Bolshoi w Spodku Andrzej spóźnił się (bo grał z Daabem w Warszawie), daliśmy okropną plamę. Ostatni raz zagraliśmy razem w Stodole na premierze filmu „Letnia zadyma”. Odejście Andrzeja spowodowane było więc głównie sprawami muzycznymi.

W międzyczasie był jeszcze konflikt z Koniem. Dużo pił, miał problemy z dziewczyną, ponadto czuł się pokrzywdzony, że bierze mniejsze tantiemy niż ja czy Andrzej. Ja mu mówiłem, że piszę teksty, a on mi, że jestem debilem muzycznym. No tak, ale ty Koniu nic nie skomponowałeś – odpowiadałem. To chyba źle wpłynęło na nasze stosunki. Potem mu to minęło, będąc w Londynie pomogłem Koniowi w jego planach emigracyjnych, załatwiłem mu pobyt w szkole muzycznej w klasie gitar<sup>1</sup> basowej. dzięki czemu otrzymał wizę do Albionu. gdzie przebywa do dziś.



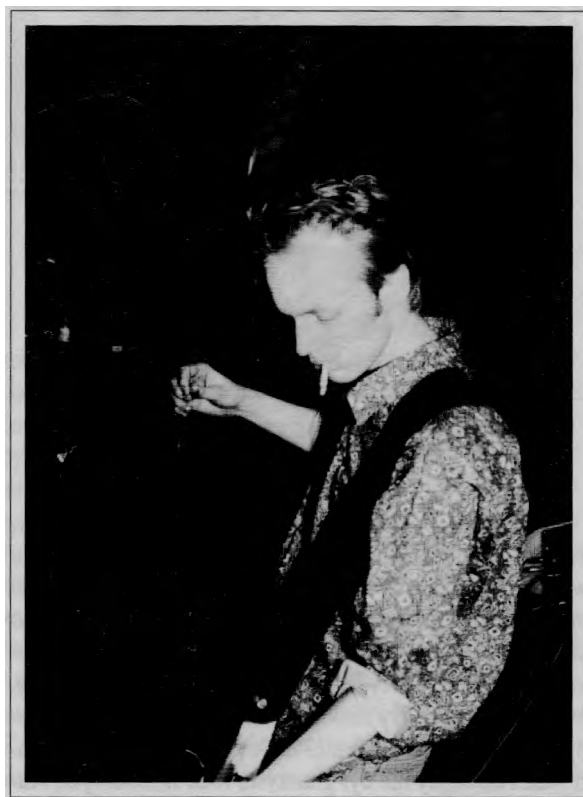
*Pokrzywdzony Koni*

Jan Benedek, gitarzysta i kompozytor wszystkich kawałków obecnego T.Love to też postać konfliktowa i to bardzo. On twierdzi, że ze mną się bardzo trudno pracuje, a ja mogę to powiedzieć o nim. Wynika to z tego, że jest on człowiekiem chorobliwie ambitnym i walniętym na punkcie perfekcji. Mnie jego niezdrowy perfekcjonizm początkowo doprowadzał do stresów, jako że jestem urodzonym improwizatorem. Dlatego też nasze osobowości strasznie się stały w momencie nagrywania „Pocisku”. Konflikt trwał bardzo długo, objawiał się zwłaszcza podczas pierwszych koncertowych wyjazdów. T.Love w nowym składzie. Janek był jakby wyalienowany, jest nadwrażliwy. Bardzo przejmował się swoją gitarą i graniem.

Ja z kolei jak zwykle olewałem szczegóły i niedociągnięcia. Podejście do pracy mieliśmy więc odmienne niż nasze preferencje stylistyczne, które są zbieżne.

Wiosną 91 doszedłem do wniosku, że dalsze granie z Jankiem jest niemożliwe, nie mogłem z nim rozmawiać nawet przez telefon. Janek czuł to samo, uważał, że jestem minimalistą rozpieszczonym przez komunizm. Janka ambicją było zostać najlepszym gitarzystą – nie tylko w Polsce, ale i w Europie, drugą zaś – grać z Maanamem, który dla niego jest symbolem perfekcji i elegancji. Tutaj.

Przed T.Love Janek tylko stosunkowo krótko grał w zawodowym zespole – Tilcie. Bardzo rozczarowała go konfrontacja jego wyobrażeń z rzeczywistością, na przykład



*Janek Benedek ~ nuci<sup>1</sup> s<sup>2</sup> ? ~ nim p<sup>1</sup> a < l<sup>1</sup> e ~*



to, że grając w pipidówkach nie można osiągnąć wymarzonego soundu. Pogłębiało to tylko jego frustracje na trasach. Na dodatek przestał wówczas w ogóle pić alkohol, przez co był w pewnym sensie osamotniony wobec pijącej reszty zespołu ze mną na czele. Jakoś przetrzymaliśmy to jednak. Starłem się wejść w jego sytuację, w końcu w lice 91, po występie w Jarocinie nastąpiła konsolidacja. W pewnym sensie zrozumiałem Janka, po prostu przegryźliśmy się. Myślę, że obecnie między nami jest wszystko OK. będziemy ze sobą pracować. Na pewno jestem o wiele bardziej zadowolony z dotychczasowych efektów muzycznych mojej współpracy z Jankiem, niż z czasu kiedy pisałem piosenki z Andrzejem Zeńczewskim. Z Andrzejem miałem jednak jakby lepszy kontakt intelektualny. Najprawdopodobniej to sprawa różnicy wieku.

Czy ciężko się ze mną pracuje? Konflikty, które tu opisałem były konfliktami z największymi osobowościami i głównymi muzykami zespołu. Na pewno jestem egoistą, ale musi być lider. W sztuce jest to zdrowsze niż demokracja. Mnie jest potrzebny partner. Praca w studiu nad „Pociskiem miłości” z Jankiem Benedkiem była pasmem konfliktów, ale jakoś z tego wyszliśmy. Zrozumiałem, że trzeba jednak więcej słuchać innych. Nie wiem czy Andrzej mnie słuchał.

## LITERATURA (I MUZYKA )

W dzieciństwie czytałem książki o Indianach. Mam nadzieję, że to jednak nie wpłynęło na mnie jako tekściarza rockowego. Pierwsze dzieła jakie mogły zaważyć na moim przyszłym pisaniu to były chyba lektury szkolne, a przede wszystkim literatura romantyczna. Zacząłem tworzyć w jej duchu pierwsze własne koszmarki, które na szczęście nie ujrzały światła dziennego, bo to straszny obciach. Głównym tematem był oczywiście bunt. Napisałem m.in. „Odę do wolności”, strasznie naiwne, rymy oczywiście częstochowskie. Romantyzm wydawał mi się bardzo odjazdowy, tajemniczy – wtedy mi to pasowało, dopiero na studiach nastąpiło pewne przewartościowanie.

Pierwsza fraza, a także rytmika, którą złapałem i przyswoiłem na poważnie, to była fraza skamandrytów i Broniewskiego. Chyba dlatego polubiłem potem teksty Tomka Lipińskiego.

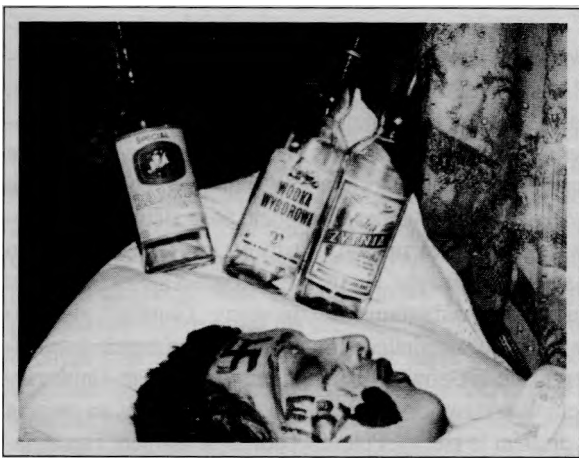
Także pod wpływem lektur szkolnych powstał jeden z najwcześniejszych numerów śpiewanych przeze mnie już w T.Love „Ogolone kobiety”. Napisałem go w IV klasie, trochę wiążąc to ze stanem wojennym, ale bardziej z lekturą „Medalionów” Nałkowskiej, a szczególnie opowiadań Borowskiego.

Generalnie pisząc swoje teksty chciałem przyjąć postawę obserwatora. Kogoś kto stoi z boku, patrzy i nie za bardzo się w to wszystko angażuje. We wczesnych tekstach jak „Marzyciele” zapragnąłem przemawiać głosem pokolenia. mówić za masy. Dziś kiedy patrzę na nie, widzę, że są to jednak teksty o mnie. W najnowszych piosenkach w ogóle staram się nie wychodzić poza siebie. Myślę bowiem, że najważniejsze jest to co się samemu poznało i samemu przeżyło. Nigdy nie uważałem się za poetę. Istnieje co prawda tomik zatytułowany „Gandza”, ale są to wiersze pozamedialne. Pisane one były po moich doświadczeniach grassowych na studium wojskowym Uniwersytetu Warszawskiego. Przychodziłem upalony na zajęcia i pisałem te rzeczy. Potem wpadłem w manierę i sprawiało mi to przyjemność. Ale jeżeli chodzi o rockowiznę. to jestem przede wszystkim tekściarzem. Nie chcę traktować

tekstów dekoracyjnie, bo one muszą coś znaczyć. Ale idealny przekaz według mnie jest wtedy, kiedy przy muzyce można byłoby jednocześnie tańczyć i słuchać słów, czegoś się dowiedzieć. Jak u takiego na przykład Marleya.

Pierwsze numery T.Love robiłem ze Słoniem. Grałem na basie, śpiewałem tekst. Słoniowi dokładał rytm. Do moich kulawych dźwięków Janek i Darek grali akordy. Było to o tyle łatwe, że korzystałem z jednego tylko schematu harmonicznego; moje kompozycje opierały się na trzech dźwiękach, z których pierwszy był brzmieniem dowolnej „pustej” struny, drugi dźwiękiem tejże struny przyciśniętej na piątym progu, a trzeci – na siódmym progu. Najlepszym przykładem grania tego schematu jest utwór „Wild Thing” z repertuaru The Troggs, innym, nieco zmodyfikowanym (pusta, siódmy i dziewiąty próg) – „Liceum”. Na tych funkcjach oparta była też moja kompozycja „Tropical Sands” (nieco przypominająca nieśmiertelną „Dianę” Paula Anki), natomiast kawałek „Moje miasto” został w warstwie muzycznej zerżnięty z „Telewizji” Kryzysu (pusta struna, progi: czwarty, piąty i siódmy).

Tekstów miałem nadmiar, kiedy dołączył do nas Koniu i zastąpił mnie na basie mogłem zająć się już wyłącznie nimi, układanie muzyki oddając w ręce Darka i Janka.



*Enk – pijacka dusza*

Początkowo utwory powstawały bardzo szybko. „Marzyciele” i „Radio Papa” urodziły się podczas jednej próby, „Garaż” – w ciągu kilku minut. Natchnienie wisiało w powietrzu. Z czasem trudniej było nim oddychać, stawało się duszno.

„Wychowanie” było pierwszą piosenką, której pisanie zajęło mi 2–3 dni. Zacząłem za to cyzelować formę. Przedtem bowiem byłem gotów śpiewać każdy utwór wychodzący spod pióra, teraz dłużej się zastanawiałem. „Wychowanie” nie jest do końca utworem T.Love. Pijacka dusza częstochowskiego środowiska, Eryk, miał zespół Barokowy Burdel, w którym śpiewał między innymi utwór ze słowami „Ojczyznę kochać trzeba i szanować”. Reszty tekstu nie pamiętam, ktoś puścił mi taśmę z tym nagraniem, Barokowy Burdel już nie istniał, zdanie wpadło mi w serce i dopisałem do tego jednego zdania zupełnie nową i zupełnie własną piosenkę. „Wychowanie” odczytywane jest dziś zazwyczaj jako pieśń narodowa (zwłaszcza skini upodobałi sobie ten kawałek), dawniej odbierano ten kawałek jako utwór antykomunistyczny. W rzeczywistości była to moja pierwsza próba liryczna, co dostrzegł dopiero Piotrek Bratkowski w „Eseju o miłości” w „Literaturze” w 1986 r. Śpiewam w tej piosence przede wszystkim o niezrozumieniu jakie może zaistnieć między dwojgiem ludzi wychowanych na schematach i o absurdalno–tragicznej niemożności ich przełamania. Z polityką ma to naprawdę niewiele wspólnego. Przyczyną coraz rzadszego powstawania nowych kawałków w drugiej połowie lat 80. było rozbitcie dzielnicowe T.Love – studiowaliśmy w różnych miastach, rzadziej odbywały się próby. Wtedy pisałem już głównie teksty do gotowych akordów Andrzeja nagranych na kasecie, a nie odwrotnie jak przedtem, kiedy do mojego tekstu dorabialiśmy muzykę.

Obecnie pracując z Jankiem Benedkiem również piszę teksty do gotowych akordów Janka, choć na przykład „Warszawa” najpierw zaistniała jako tekst. Dziś gotową piosenkę długo ogrywamy na próbach. Utwory, które zostały wydane na „Pocisku miłości” istniały początkowo w innych wersjach. Dość powiedzieć, że utwór „Sarah” był pościelówką w stylistyce tkwiącej

pomiędzy The Rolling Stones, a... Perfectem. Jeżeli początkowo graliśmy nakoncertach od razu pierwszą wersję piosenki, to dziśmija wiele czasu zanim z pomysłu urodzi się utwór.

Parę moich tekstów powstało jako reakcje na bardzo konkretne sytuacje. „Garaż” stanowił komentarz do stagnacji społeczno-politycznej w Polsce 1984 r i płynącej wówczas z radia muzakowej papki. Powstał dwa dni przed naszym prowokacyjnym występem 1 maja 1984. kiedy jako kapela klubowa z „Wakansu” wystąpiliśmy na promenadzie w Częstochowie. Graliśmy ubrani w szerokie krawaty, mieliśmy w repertuarze numery Smokie. „Szara młódź” z kolei to próba uświadomienia manipulacji i zmechanizowania reakcji „młodzieży rockowej”, w czasie gdy skóry stały się sezonowym strojem ludzi czytających „Razem” i „Na przełaj”.

Przez cały okres istnienia T.Love teksty pisałem sam. ale jest kilka wyjątków. Pierwszy przypadek skorzystania z cudzego tekstu i jego modyfikacji to „Gumka babalumka”, napisana przez Darka Gajewskiego, niedosłego gitarzystę T.Love i mojego kolegę. Dziś studiuje w szkole filmowej, ale kiedyś był literatem i dużo pisał; opowiadania, wiersze. Bardzo spodobał mi się surrealistyczny klimat „Gumki”, a Darek zgodził się na jego wykorzystanie. Pamiętam jak na łamach „Razem” zachwyił się nim Kamil Sipowicz, a tysiąc osób doszukiwało się w „Gumce” niewiadomo jakich podtekstów. Jedni mówili, że chodzi o prezerwatywę, inni. że o gumiaka–robota. jeszcze inni bredzili o zagrożeniu totalitarnym. Nigdy bym na to nie wpadł. Sądzę, że Darek napisał „Gumkę” któregoś poranka na kacu po prostu dla żartu. Ja dopisałem jedną zwrotkę: „Gumy. gumy coraz więcej / z gumy nogi, z gumy ręce”.

Napisane na maszynie kilka zwrotek późniejszej „Karuzeli” przyniósł mi na II roku studiów Płochar. nazywając je punkową głupotką. Mnie się to spodobało i dopisałem jeszcze parę. Jednak większość produkcji Wojtka nie pasowała do stylu T.Love i swoje teksty dawał Jackowi Pałusze. Jeszcze jeden jego – mało dotąd znany utwór „OK” czyli „Robotnicy” – graliśmy po wybuchu strajków w maju 88, grała go zresztą także Formacja Nieżywych Shabuf.

„Don't Go Paul” z „Pocisku miłości” jest natomiast tekstem Pawła Dunin-Wąsowicza. Robił on kiedyś ze mną wywiad i okazało się, że mieszka w sąsiednim bloku na Przasnyskiej. Paweł kończy dziennikarstwo na Uniwersytecie, był honorowym managerem Garów i Gitar, wydaje w 400 egzemplarzach pismo „Lampa i Iskra Boża”. „Don't Go Paul” to tekst o tyle znamienity, że jego autor nigdy nie uczył się angielskiego, zna tylko słowa i zwroty z różnych piosenek. Utwór jest żartem o fascynacji prezydentem radiowym. Pawłem Sito, który był jego kolegą ze studiów. Z drugiej strony „Paul” z piosenki to marzenie o własnej karierze radiowej i własnej popularności PDW, który po paru piwach mówi czasem jak wspaniałym byłby DJ-em gdyby miał własną rozgłośnię.

W moich fascynacjach literackich nie będę odkrywczy: Witkacy, Gombrowicz, Schulz, ostatnio także Miłosz – stąd, Szekspir, Dostojewski – stamtąd. Witkacego wolę prozę od dramatów. Sztuki wydają mi się zbyt użytkowe. W prozie samego Witkacego jest więcej. To strasznie tragiczna literatura i martwi mnie, że odbiera się ją tak płytko. Widzi się w nim jedynie wariata, za granicą wręcz „szalonego Polaka”, a pomija się ten egzystencjalny tragizm. Wiedziałem, że w końcu przyjdzie czas na Witkacego, w latach 80. stał się atrakcyjny aż do przesady.

Miłosza odkryłem dopiero niedawno, pod wpływem mojej koleżanki Ingi. która pisała o nim pracę magisterską. Przedtem kojarzył mi się on z Poetą Strasznie Zaanżowanym, wręcz romantycznym; mickiewiczowskim i polskim, a jednocześnie nie polskim, bo litewskim. On jednak okazał się być kimś zupełnie innym, obdarzonym dystansem, atakującym tak wiele rzeczy, które wydawałoby się, że powinien kultywować. Kiedyś znałem tylko te najbardziej eksploatowane jego wiersze: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego” i inne takie. Jeżeli chodzi o niego – też wolę prozę, szczególnie „Rodzinną Europę” i „Widzenia znad zatoki San Francisco”, gdzie bardzo ładnie i trafnie pisze o Ameryce.

Bruno Schulz to najbardziej plastyczna literatura z jaką się zetknąłem, tak czujna, tak zmysłowa. Jest niepowtarzalny,

odbiera się go wszystkimi zmysłami, nawet węchem. Zrobił na mnie niesamowite wrażenie jeszcze w liceum, potem wiele razy wracałem do „Sanatorium pod Klepsydrą” i do „Sklepów cynamonowych”. Przewertowałem również całego Gombrowicza, szczególnie „Dzienniki”. Jest mi bardzo bliski intelektualnie i naprawdę myślę, że wiele rzeczy widzimy podobnie.

Choć sam się wcześniej nad tym nie zastanawiałem, to jednak z tego, co tu piszę wynika, że jestem raczej fanem prozy niż poezji. Ostatnio odszedłem nieco od literatury (brak czasu, rocknienia?). Najwięcej czytałem w liceum, wtedy człowiek jest najbardziej chłonny. Na studiach już prawie nie wychodziłem poza obowiązkowe lektury.

## MENADŻERIA

Pierwszym menadżerem T.Love został – raczej z przypadku – mój kolega Bobesz. Czy się do tego nadawał – to inna sprawa. Był to człowiek z równoległej klasy w naszym liceum, wielki fan The Beatles. Z rozpędu został menadżerem Opozycji, a potem T.Love Alternative. Na menadżera był w ogóle zbyt delikatny, nie potrafił rozmawiać z ludźmi płacącymi pieniądze za koncerty, ale wtedy, na samym początku, nie było to ważne.

W mojej pamięci Bobesz przetrwał bardziej jako producent naszych kaset niż prawdziwy menadżer. Posiadał on bowiem wielki w owych czasach rarytas, jakim był dwukieszeniowy magnetofon, co dawało mu możliwość łatwego kopiowania, czynił to zatem w domu. Tak powstawał nakład naszych dwu chałupniczych kaset. Bobesz wyegzekwował od Janka Knorowskiego projekt okładki, powielił ją, kopiował kasety, wreszcie sprzedawał je na koncertach, rzetelnie wypłacając nam należne tantiemy. Były to prawie żadne pieniądze, które wydawaliśmy na piwo, ale ważny był uczciwy układ. Satysfakcjonowało to również Bobesza. Niestety, jak już wspominałem, był chłopcem za dobrze wychowanym na pertraktacje z chamami organizującymi koncerty, drzwi nie umiał wyważać. Tak więc rozstaliśmy się w zgodzie, na jego życzenie, w czasie gdy T.Love stawał się zespołem bardziej niż półprofesjonalnym. około roku 1986. Poza kasetami Bobesz zapisał się także w historii kapeli jako autor pierwszego plakatu i znaków firmowych T.Love. Plakat był w kolorze niebieskim, nazwa na czerwono, pod tym hasło „Bobesz” i jego adres.



*Dobrze wychowany Bobesz*

Następnym związanym z nami człowiekiem był niejaki Marek Kurenda, wieczny student wyglądający na lat osiemnaście, a liczący sobie w rzeczywistości trzydzieści parę. Poznałem go na FAMIE w 1984 r., kręcił się w środowisku i pomyślałem, że może on będzie się nadawał. Marek się w ogóle nie nadawał, ale przez krótki czas funkcjonował jako nasz menadżer. To funkcjonowanie polegało głównie na tym, że dużo mówił, ponadto często przechodziliśmy do niego. Mieszkał przy placu Zbawiciela na strychu, paliło się tam tony trawy. Kiedyś upaliłem się tak, że myślałem, iż walczę w Powstaniu Warszawskim i strzelam do wroga ze strychu Kurendy. Potem przez trzy godziny szukałem na placu Zbawiciela kiosku „Ruchu”... Po pewnym czasie, kiedy okazało się, że z naszej współpracy nic nie wyjdzie, przeprowadziliśmy z Markiem zasadniczą rozmowę. Na Kicu, przy ukradzionym przez Zbigniewa i Runię ze szpitala w Otwocku spirytusie, oznajmiliśmy mu, że jest do dupy.

Następny menadżer to pomysł Andrzeja Zeńczewskiego – była to dziewczyna, Viola Woźniak, pracująca z nami w najbardziej skandalicznym okresie, a dokładniej podczas Rock Areny i Opolą w 1985 r. Miała bardzo dobre chęci, do tematu podeszła dość zawodowo, ale trafiła na nas. Jednak afera z Rock Areną to także w znacznym stopniu jej wina – nie zadbała o to, żeby autokar zawiózł nas z hotelu na Arenę, do hali. Viola bardzo się przejmowała tą sprawą. Podobnie w Opolu – gdy zachowywaliśmy się agresywnie wobec akustyków próbowała tuszować konflikty, w końcu jednak nie wytrzymała i tak się skończyła nasza współpraca.

Po tych doświadczeniach postanowiliśmy z Andrzejem wziąć menadżerowanie kapeli we własne ręce. Trwało to przez dwa lata. W międzyczasie pragnąc aby wszystko zostało w rodzinie, Andrzej wpadł na pomysł aby kapelą zajęła się Kasia, jego żona. Dziewczyna była wtedy w ciąży, kolejna sprawa bez sensu.

Łączenie śpiewania w zespole z jego menadżerowaniem było udręką. Nie miałem telefonu, zdany byłem na psujące się automaty wrzutowe. Też byłem zbyt dobrotliwy i za mało stanowczy do rozmów o pieniądzach, było to

koszmarne. Sami z Andrzejem załatwialiśmy wszystkie sprawy związane z nagraniem „Miejscowych”, być może odbiło się to też na ich jakości. W końcu zajęł się nami Gąsior, czyli Sławek Rogowski, ówczesny szef Hybryd.

Był on postacią kontrowersyjną. Gąsior to człowiek o wielkich zdolnościach dostosowawczych. Myślę, że równie dobrze mógł wpasowywać się w klimat zebrania partyjnego, jak rautu w ambasadzie USA. Niektórzy nazywali go czerwonym pająkiem, inni twierdzili, że robi dla Hybryd i zespołów rockvrollowych wspianałą robotę. Ja go wspominam miło. Na pewno musiał dawać dupy będąc na stanowisku, z drugiej strony dzięki niemu w klubie działy się rzeczy bardzo ciekawe. Był na pewno związany z nomenklaturą działaczy młodzieżowych, ale wyróżniał się spośród nich inteligencją i sprytem. Kiedyś przeraził Mirka Pęczaka, człowieka z drugiej strony barykady; gdy ten wpadł na naszą próbę i zobaczył z nami Gąsiora, pod krawatem (widać wyskoczył z jakiejś balangi z przewodniczącym Kwaśniewskim, z którym znajomością zawsze się chwalił). Mirek nie mógł się nadziwić z jakimi ludźmi się zadajemy... rozpoznał od razu w jego fizjonomii „działacza”. A Gąsior „działaczem” musiał być wybitnym, bo w 1988 dostał nawet jako prezes Alma Artu nagrodę Wyspiańskiego i pojechał z artystą Ciechowskim do Japonii.

Muzycy traktowali Gąsiora jak ojca – od Dezertera po Roberta Brylewskiego – i byli zachwyceni, że klub jest enklawą gdzie można swobodnie palić trawę na przykład. Jako menager Gąsior związany był z nami dość krótko, tylko przy produkcji płyty „Wychowanie”, doprowadzając do jej organizacji, zaś przy okazji jako szef „Alma Artu” sfinansował za pieniądze firmy teledysk do tytułowej piosenki.

Następnym naszym menadżerem – do dziś – został Robert Witkowski. Robert jest drobny, spokojny, o indiańskiej powierzchowności i indiańskim sposobie mówienia – bardzo powoli się wypowiada. Aż trudno uwierzyć, że w pierwszej połowie lat 80. był jednym z największych punkowych zadymiarzy spod „Remontu”: z tych którzy pili kwachy, zbijali szyby i startowali do bójki przy pierwszej okazji.

Poznałem go w połowie lat 80. już jako menadżera Kultu. Skąd się wzięły menadżerskie talenty Roberta? Otóż bodaj w roku 1982 Andrzej Ludew, niebawem menadżer Republiki prowadził otwarty dom. na ulicy Goszczyńskiego na Mokotowie. A że miał dużo szmalu i kłopoty rodzinne, zbliżył się do młodzieży punkowej z „Remontu”. bo chciał się odmłodzić i zalać robaka. Ludzie przychodzili do niego, pili jego alkohol, czasem robili demolkę i było wesoło. Wśród tych ludzi był Robert, którego Ludew, gdy został menadżerem Republiki, zatrudnił jako człowieka do sprzedawania znaczków i innych koncertowych gadżetów w czarno-białe pasy. W pół roku Ludew z niepozornego studencika Ciechowskiego (jakiego pamiętam z festiwalu w Toruniu z 1981 r) zrobił gwiazdora, a i Robertowi przy Ludewie podobno szło niezłe.

Spotkałem więc kiedyś Roberta w przejściu na Marszałkowskiej – pamiętałem skądś tę twarz – przybiłem piątkę, zapytałem skąd my się właściwie znamy. Potem graliśmy z Kultem chyba najwięcej na wspólnych imprezach. zaprzyjaźniłem się i z kapelą, i z Robertem. Połączyła nas bania i to, że lubiliśmy dziewczyny. Okazało się też, że Robert chodził do podstawówki z Andrzejem Zeńczewskim...

Jesienią 1988 Kult dał pożegnalny koncert. Andrzej wymyślił, że Robert zostanie naszym menadżerem, zwłaszcza, że był jego sąsiadem. Pewne „ale” mieli Tomek Pierzchalski i Rafał Włoczewski. którzy uważali, że menadżer to powinien być facet w krawacie, a nie długowłosy facet w skórze. Od stycznia 89 Robert zaczął więc z nami pracować, przez pół roku do rozwiązania kapeli w czerwcu.

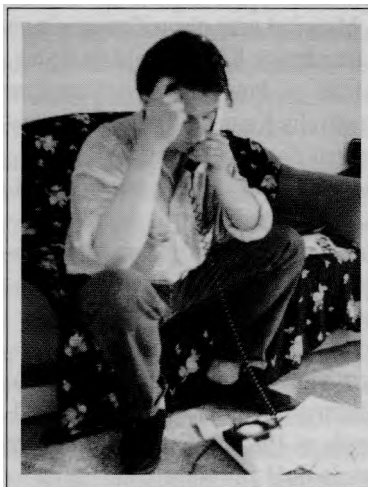
Wyjeżdżając do Londynu powierzyłem mu nadal prowadzenie interesów zespołu. Jak to wychodziło, tak wychodziło – Robert ma swój czas i wszystko robi trzy razy wolniej, ale po powrocie odnowiliśmy współpracę. Myślę, że Roberta trzyma z T.Love raczej nasza przyjaźń, bo na pewno nie sprawy finansowe, które są niespecjalnie ciekawe.

Być może moje kumpelstwo z Robertem spowodowało pewne konflikty w nowym T.Love. Wyglądało na to, że jest on moim prywatnym menadżerem i dba tylko o moje interesy. Chłopcy wysnuli teorię, że stanowimy mafię.

Zapewne Benedek chciałby mieć swojego Roberta. A to już naprawdę nie moja wina. że znam Roberta najdłużej, ma tyle lat co ja i mamy wiele wspólnych tematów.

Robert jest więc bardziej moim kumplem niż menadżerem. co jest i dobre, bo szanuje nas i nie pcha w koniunkturalne maliny za wszelką cenę, i złe – bo mógłby wkładać w swoją pracę trochę więcej inwencji i być po prostu lepszy.

Jako roadie jest natomiast niezły – potrafi rozmawiać z chamami i wyciągać od nich kasę. Ma swoje wady – nie zna angielskiego. Przez długi czas nie miał telefonu, co powinno go w zasadzie eliminować z tej profesji. Ale jak dotąd wciąż jest najlepszym człowiekiem jaki nam się przydarzył.



*...prze: długi czas nie miał telefonu*



*Lubi pogadać o dzieć zynai li*

## MOŁDAWIA

Pierwszy nasz wyjazd zagraniczny – na Węgry – załatwił w 1987 r. dawny basista Dezertera – Stępa, nasz kumpel, który kiedyś podarował mi nawet basówkę marki Jolana, pamiętającą stare punkowe czasy. Instrument ten jest wart wspomnień o tyle, że wybrzdąkałem na nim prototyp „Warszawy”, a także używany był przez różnych basistów supergrupy Gary and Gitary (patrz rozdział „Stach”). Niestety w Wielkanoc 91 gitara padła łupem złodziei amatorów, którzy skroili kwadrat niejakiej Luizie, usiłującej na niej grać. Włamywacze wynieśli również m.in. lodówkę i kilkunastoletni czarno-biały telewizor, co można uznać za symptom postępującej pauperyzacji społeczeństwa. Wracając do wojaży T.Love, to żona Stepy studiowała wtedy w Budapeszcie, a on z sympatii do nas postanowił załatwić nam tam jakieś granie. Miał dobre chęci, wyszło tak sobie.

Wylecieliśmy z Warszawy rozklekotanym Ił-em 18 kilka dni po katastrofie w Lesie Kabackim, bardzo nas trzęsło fizycznie i psychicznie. W gazetach, które otrzymaliśmy na pokładzie pełno było ostatnich słów pilota i innych szczegółów tragedii. Strasznie zestresowaliśmy się, musieliśmy to wyrównać alkoholem, którym zdążyliśmy się upić przez te 40 minut lotu. Stewardessy patrzyły na nas z przerażeniem.

Stępa już na lotnisku poinformował nas, że z 6 koncertów są tylko 4, ale nie ma się czym martwić. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami mieliśmy grać w klubach studenckich. Zakwaterowano nas w akademiku tamtejszej politechniki w okolicach Góry Gellerta. Tam też miał się odbyć pierwszy koncert, na który... nie dowieziono bębnow, zaistniała nawet perspektywa grania z automatem. Wszyscy, oprócz Stonia, który stwierdził, że mu to nie przeszkadza, byliśmy mocno podłamani. Myślę, że wówczas Stonia męczyło już granie w T.Love i olewał to. Były to ostatnie jego koncerty w kapeli. W ten oto sposób pierwszym zagranicznym wojażem pożegnaliśmy macierzystego pałkera.



*Slonin - macierzysty pałker*

W końcu perkusja się znalazła i mogliśmy zagrać. Przyszło z 60 osób, głównie studiujący w Budapeszcie Polacy, znający i śpiewający nasze numery. Występ raczej beznadziejny, po części zawiniony brakiem sprzętu – graliśmy na czymś w rodzaju Eltronów.

Wyplacono nam coś po 700 forintów na łeb, co nie było wielką sumą. musieliśmy oszczędzać, a sklepy kusily. Konni, który pierwszy raz w życiu znalazł się zagranicą, po otrzymaniu gaży udał się do pobliskiego marketu. W sklepie policzył wszystkie gatunki piwa jakie w nim były, coś około 17 (rzecz wówczas w Polsce nie do pomyślenia) po czym kupił po jednej butelce każdego i rozpoczął degustację. Siedzieliśmy w pokoju w akademiku, narzekaliśmy na organizację koncertu lecząc się węgierskimi trunkami.

Kiedy wszyscy odpadli z gry, postanowiłem wybrać się z Koniem na nocny spacer po mieście. W akademiku na górze był całodobowy sklepik z towarami od prezerwatyw po dwulitrowe flaszki wina (rzecz na Kicu nie do pomyślenia). Tam jeszcze dodatkowo się zaopatrzyliśmy. W końcu wylądowaliśmy nad Dunajem, który tamtej nocy przypominał mi równie brudną Wisłę z okolic piwiarni „Pod Rurą”. Dyskutowaliśmy z Koniem na temat skażenia wód rzecznych. Eskapadę zakończyliśmy na jakimś studenckim disco, gdzie grająca na żywo kapela wykonywała hity mojej młodości – z repertuaru Locomotiv GT i Ome-gi. Byłem bliski płaczu ze wzruszenia. Koniecznie chcieliśmy nawiązać jakieś kontakty męsko-damskie ale zaistniały kłopoty językowe. Angielski bowiem okazał się na Węgrzech językiem niezrozumiałym. Dziewczyny postu-giwały się jedynie niemieckim.

Następny koncert odbył się w małym klubie w centralnej, szpanerskiej dzielnicy miasta. Musieliśmy sami przewieźć tam sprzęt z akademika i w ogóle sami zorganizować nasz występ. Szefowa klubu, przystojna czarnowłosa kobitka, powiedziała, że się nie wtrąca, ale też nie będzie nam pomagać. To jest nasz koncert i nasz biznes. Wpływy z biletów miały także należeć do nas. Przyszło 18 osób: 1 Holender, 2 Wło-szki, 1 Rosjanin, 2 Węgrów, reszta Polacy. Zagraliśmy na peł-nych obrotach, wytworzył się świetny klimat, kameralny acz czadowy, ludzie to złapali. Holender twierdził, że znaleźliby-śmy pracę w Amsterdamie, bo tu, na Węgrzech nie ma zbytu na taką muzykę. Byliśmy bardzo zadowoleni.

Dwa ostanie występy odbywały się na dyskotekach z bajerami, na kilkaset osób. Trzy czwarte sobie tań-czyło w drugiej sali, reszta nas słuchała. Zapowiada-łem po angielsku, najbardziej podobało się „Impe-rium”, może ze względu na elementy ruskiego folklo-ru. Po zakończonej trasie największego kaca moralne-go miał Stępa. Było mu przykro, że nie wyszło tak jak sobie wyobrażał. Uspokoiłiśmy go, że nikt do nikogo nie ma pretensji, wręcz przeciwnie, przecież dzięki niemu zwiedziliśmy jedno z ładniejszych miast Euro-py. Nie powiem żebyśmy podbili Budapeszt, ale zali-czyliśmy tam fajny tydzień.

Wyjazd do Mołdawii zorganizował Andrzej Zeńczew-ski, który grał już od pewnego czasu z powrotem w Daa-bie i miał rozwinięte handlowo-muzyczne kontakty z Kra-jem Rad. T.Love stanowią przyczepkę do Daabu, a poje-chaliśmy w składzie sztukowanym specjalnie na ten wy-jazd. Musieliśmy znaleźć zastępców dla Wysola i Zająca, którzy z różnych powodów nie mogli się ruszyć z Polski. Na bębnach zagrał Stopa, na klawiszach – Karmiła, dziewczyna Konia, a na drugiej gitarze dodatkowo – Krzysiek Zawadka, wówczas gitarzysta Daabu.

Potrzebowałem pieniędzy – tak jak zwykle. Zostałem namówiony przez Andrzeja na zrobienie wspaniałego in-teresu. Jako doświadczony handlowiec na szlaku polsko-sockim poradził mi, abym zaopatrzył się w magneto-wid, na którego sprzedaży zarobię 200 dolarów. Magne-towid kosztował w Polsce 400 dolarów – to były w 88 r. spore pieniądze i musiałem się zapożyczyć na jego za-kup, średnia pensja wynosiła wtedy 30 dolarów. Aspekt handlowy przyćmił aspekty muzyczne wyjazdu, choć zrobiliśmy nawet parę prób w tym okazjonalnym składzie.

Do pociągu wsiedliśmy z magnetowidami – cały Daab plus ja. Koledzy z T.Love nie mieli doświadczenia handlowe-go i postanowili nie ryzykować, a więc okazali się mądrzejsi ode mnie. Już w Grodnie wszystkie nasze magnetowidy zo-stały namierzone przez szcwanego sowieckiego celnika i wpisane do deklaracji. Wcześniej Andrzej, jako przewodnik stada, pouczał mnie jak mam się zachowywać przy kontroli, byłem jednak zbyt spięty i celnik to wykrył. Początkowo jak na radzieckiego funkcjonariusza państwowego był bardzo miły, sprawdził nasze papiery i poszedł dalej. Jednak dosłow-nie po kilku minutach wrócił z zupełnie inną miną i kazał nam wyjść na korytarz aby w przedziale dokonać rewizji. Posiadanie przez nas sprzętu motywowaliśmy chęcią nagry-wania naszych występów. Andrzej był bliski dania łapówki, ale kasę – 1000 rubli – miał ukrytą w kanapce i obawiał się, że celnik weźmie wszystko. Najśmieszniejsze było to, że w sąsiednim przedziale, gdzie podróżowała reszta daabow-ców, znajdowało się jeszcze pięć wideomaszyn. Uznano nas za grubych przemytników. To była totalna wpadka,



odwróciliśmy więc uwagę Sowietów od innych polskich handlarzy, którzy tym razem mogli spać spokojnie.

Tak więc aspekt handlowy naszej wycieczki stracił nagle swój blask. Wszystkie magnetowidy musieliśmy wpisać do tzw. deklaracji celnej, co w praktyce oznaczało, tyle że nie mogliśmy się ich na terenie CCCP pozbyć. Oczywiście, można było zgubić deklaracje i sprzedać gdzieś towar, ale wówczas czekałaby nas w drodze powrotnej szczególnie rewizja, w której na pewno znalazłoby się dolary, jakie otrzymalibyśmy za poszukiwany zapadny sprzęt.

Z Moskwy poleciliśmy nocnym samolotem do Kiszyniowa, gdzie mieliśmy realizować aspekt artystyczny podróży. W Kiszyniowie na lotnisku powitali nas organizatorzy – jak się później dowiedziałem od Andrzeja – ludzie tamtejszej mafii. Zaprosili na wino do omszałej piwnicy i rozpoczęli rozmowy o sztuce. Od początku ścieniali z kasą – mieliśmy dostawać na głowę za występ po 200 rubli, które potem bardzo trudno było nam wyegzekwować.

Ulokowano nas w niezłym nawet hotelu. Zaczął się handelek z etażowymi – tusz do powiek, bielizna damska i prezerwatywy. Przede wszystkim nasz pobyt składał się jednak z picia, picia i jeszcze raz picia.

Koncerty odbyły się bodaj cztery, z tego trzy w samym Kiszyniowie w muszli na jakimś festynie. Daab grał jako gwiazda, T.Love robił za support. Początkowo spodobaliśmy się publicznie tak sobie, w końcu ująłem jednak widownię tekstem komplementującym mołdawskie wino, czym pobudziłem nastroje nacjonalistyczne, mimo, że mówiłem po rosyjsku. Na ostatnim z tych występów mieliśmy już nawet grupkę fanów – były to zarówno małolaty jak i 40-letni facet, który przyjechał na rowerze, a potem przywiózł do hotelu wino własnej roboty. Był robotnikiem i fanem Boba Marleya, rozmawialiśmy dużo o muzyce i dużo o polityce. Marley wydawał mu się pieśniarzem walczącym z uciskiem społecznym.

Ostatni koncert zagraliśmy w miejscowości poza Kiszyniowem jako rozgrzewacz jakiejś ruskiej topowej kapeli, na stadionie. Impreza w biały dzień, stadion na 20 tysięcy, przyszły 3 tysiące, tak po prostu po pracy, na im-

prezę artystyczną w mieście. Początkowo nie wiedziałem o co chodzi, kiedy podczas grania na murawę stadionu wskakiwały panienki wręczające nam kwiaty. Myślałem, że to jakaś odgórna decyzja z Komsomołu, albo czegoś takiego, dopiero później okazało się, że to taki sowiecki zwyczaj poszanowania artystów.

Koniu w Kiszyniowie nie zrobił najlepszego interesu w życiu, bo nie sprzedał swojej basówki. Instrument był bardzo kiepski, zrobiony w Skierniewicach, źle brzmiał, nie stroił – ale robił wrażenie na rosyjskich rockmenach, bo wtedy modne były właśnie takie basy prawie bez dechy i bez główki, ze stroikami na końcu gryfu.

Dużo roboty miał Andrzej bo musiał ciągle ścigać mafioza z neseserem, w którym ten nosił należne nam pieniądze. W końcu udało się wydusić od niego kasę. Mafioso ciągle namawiał nas do sprzedaży magnetowidów, chciał wziąć hurtem osiem. Decyzję musieliśmy podjąć jednak kolektywnie i podjęliśmy negatywną. Grubas był zmarłwiony, ale wyjaśniliśmy mu, że sprzedaż sprzętu to dla nas więcej kłopotów niż szans na zysk.

Tak więc wyjazd mój okazał się pierwszą i ostatnią próbą robienia przeze mnie biznesu. Magnetowidy staniały w Polsce, swój co gorsza sprzedałem później w Polsce za jakieś nędzne ruble, które wkrótce potem totalnie się zdevaluowały. Miałem 400 dolarów długu i był to jeden z głównych powodów, dla których udałem się niebawem na pół roku do Anglii aby tam uczciwą pracą fizyczną zarobić trochę pieniędzy.

## MUNIEK FOREVER

Zdrobnienie „Muniek” wymyślił mój profesor od śpiewu w liceum, Mr Krawczyński. Nie był to jednak perfidnie zaplanowany pseudonim artystyczny. Kiedyś po prostu czytał listę obecności i zapytał:

— Na ciebie jak mówią w domu? Muniek. Munio?

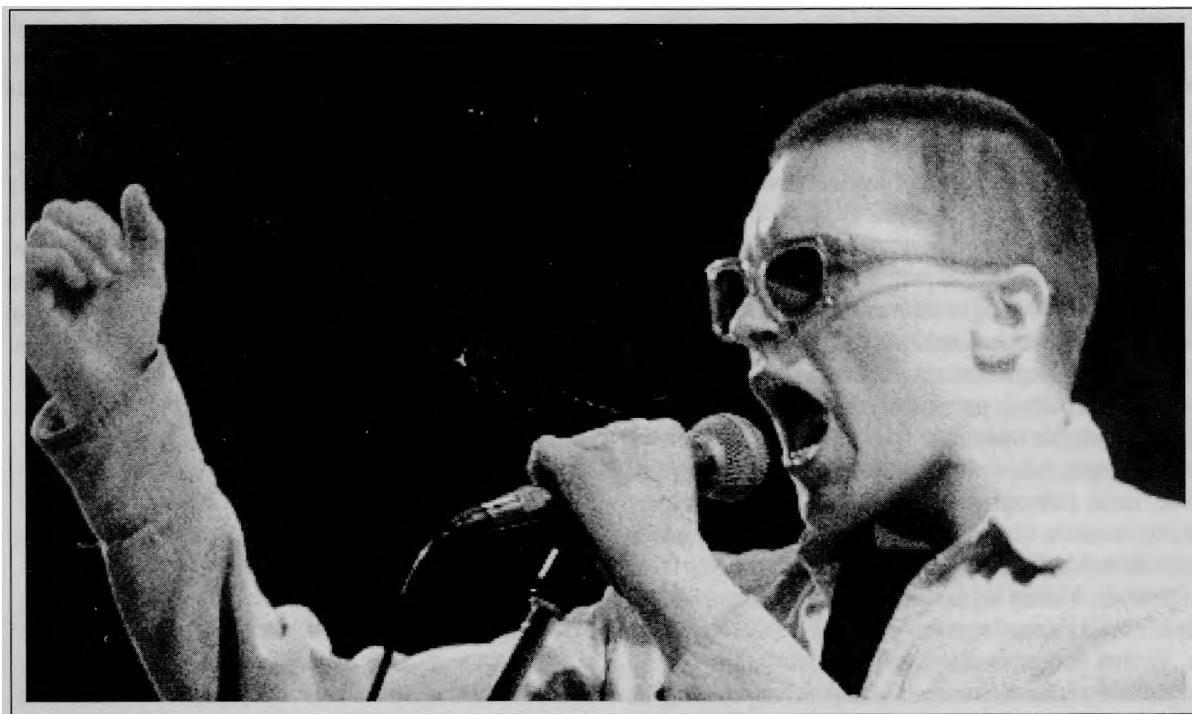
Byłem zdziwiony, bowiem nikt wcześniej tak mnie nie nazwał.

I tak już zostało. Ten Muniek przyjął się początkowo jedynie w klasie, a potem zrósł ze mną na długie lata wypierając zupełnie moje prawdziwe imię. To „Muniek” jest raczej zdrobnieniem od Edmunda niż Zygmunta, zresztą raz Rogowiecki pisząc recenzję z naszego koncertu tak mnie niechący ochrzcił – Edmund Staszczuk – też może

być. Kiedy ludziom przedstawiam się jako Zygmunt, myślą, że się wygłupiam, na zasadzie „Cześć, Zygmunt jestem” — „A ja Czesław”.

Zygmunt, imię podobno germańskie (może skandy-nawskie?), kojarzy mi się ze starszym, lekko podpitym menelem. Dać tak na imię dziecku to perwersja. Wymyślił to ojciec, bo dziadek był Zygmunt, więc chciał żeby zostało w rodzinie.

Po latach grania „Muniek” stało się w pewnym momencie hasłem rozpoznawczym kapeli. Ludzie na koncertach krzyczą „Muniek. Muniek”. Owszem, jestem frontmenem, tekściarzem, ale nie całym zespołem, bez moich kolegów bym sobie nie poradził. Inna sprawa, że zmieniały się składy – w końcu z dawnego T.Love zostałem sam jeden.



*Muniek forerer!*

## MYSIA STREET

Pierwszy nagrany przez nas kawałek, „Zabijankę” wprawdzie udało się przepchać bez żadnych poprawek, ale po długiej walce. Tekst ten nie spodobał się jakiemuś oficerowi, nazywał się chyba Bednarowicz, pełniącemu wtedy (1985) funkcję cenzora w Tonpressie. Zostałem wezwany. Chcąc uniknąć konfrontacji przy spotkaniu twarzą w twarz postanowiłem zadzwonić. Przedstawiam się grzecznie, pytam o co chodzi, głos ze słuchawki zaczyna wyjaśniać, że słowa są do kitu, głupkowata rymowanka, a poza tym to dekadentkie wzorce z zachodnich komiksów (Superman, Tarzan) oraz kult przemocy i gwałtu. Ja mu na to, że jestem pacyfistą od urodzenia, że to piosenka antywojenna (atomowy elementarz zaprowadzi cię na cmentarz). Nie przekonałem go, zaczął opowiadać, że już wiele takich kawałków przepuścił, czego żałuje. Przytoczył fragment piosenki Shakin' Dudi, którego tekst brzmiał *„Mam dwie lewe ręce i nie mam pieniędzy”* – widzi pan jakie to są szkodliwe treści dla społeczeństwa, które przecież słucha radia – motywował oficjel – Do czego to prowadzi – kontynuował – do bumelanctwa, warcholstwa.

Ja broniłem swojego i obroniłem. Tekst „Zabijanki” leżał na biurku (pana Bednarowicza) długi czas, być może miał się tylko tak odleżeć, bowiem kawałek bez cięć znalazł się na płycie.

W czerwcu 1986, w celu nagrania pierwszego singla, po raz drugi weszliśmy do studia Tonpressu. Był to singiel mocno spóźniony, miał bowiem zawierać trzy znane już numery: „Marzycieli”, „Liceum” i „Garaż”, tyle że w wersjach studyjnych i minimalnie ugrzeczniczonych. Taki był warunek postawiony wobec nas przez szefa Tonpressu, Proniewicza, który wówczas po wydaniu singli Dezertera i Śmierci Klinicznej był bardzo przestraszony.

Nie spodobało się niebezpieczne słowo „rewolucja” z „Marzycieli”, zaśpiewaliśmy z „r” na wydechu i wyszło – „ewolucja” (*dzieci rewolucji pijące mleko | dzieci ewolucji pijące mleko*). Nie wzbudził zachwyty również obrazoburczy „szalet” z „Liceum” (*lecz my możemy to zrobić*

*w szalecie*), który to pod naciskiem cenzora zmieniony został na „gdzie indziej” (*lecz my możemy to zrobić gdzie indziej*). Powyższe dwa przypadki kastracji tekstów piosenek nie zmieniły w sposób zasadniczy ich sensu, choć szaletu z „Liceum” długo nie mogłem odżałować, pierdołę, dlatego też mając do wyboru singiel albo nic, poszliśmy na ugodę.

Przed nagraniem „Miejscowych” udałem się na ulicę Mysią w Warszawie na dywanik bieglego od lat w pracy cenzorskiej sześćdziesięcioletniego pana G., który to z 12 utworów mających znaleźć się na płycie zakwestionował aż 6, w tym jeden całkowicie. Numer „Idą żołnierze” okazał się być nie do zaakceptowania pod żadnym względem. Jak poinformował mnie mój „opiekun artystyczny”, biegle od lat w pracy cenzorskiej pan G., piosenka „Idą żołnierze” nie mieściła się w żadnej z wówczas dozwolonych konwencji śpiewania o wojsku. Dozwolone były konwencje panegiryczne a'la Kołobrzeg (*„jak to w wojsku jest wesoło i pięknie”*), oraz konwencja soc-pacyfistyczno-punkowa tj. krytykująca wojnę jako zjawisko światowe bez wskazywania konkretnie „gdzie, kiedy i dlaczego”. Pan G. stwierdził, że mój tekst jest po pierwsze kiepski artystycznie, a po drugie nie ma pozytywnego przekazu, ukazuje bowiem beznadziejność i nudę codziennej służby wojskowej (i tu słusznie wychwyił moje intencje biegle od lat w pracy cenzorskiej sześćdziesięcioletni pan G.). Poza tym nie spodobał mu się bardzo wers o kiblach, to znaczy o tym, że czasami w wojsku zdarzają się samobójstwa popełniane z różnych powodów. Tak więc na jakiś czas z „Żołnierzami” musieliśmy się pożegnać. Nie było to rozstanie długie, bowiem rok później (1988), podczas nagrywania studyjnego „Wychowania” ten sam pan G., być może przeczuwający bliski koniec komuny-żywicielek, okazał się być liberałem i bez żadnych problemów przepuścił utwór, tyle że bez kibli i pod zmienionym, moim zdaniem znacznie lepszym tytułem „Idą kołnierze”. A oto 5 pozostałych fragmentów moich tekstów, zakwestionowanych w 1987 roku przez pana G.:

1. Sugestia zmiany niebezpiecznego słowa „broń” na „coś” w tytule utworu „Mamo, kup mi broń”.

2. Usunięcie prawomyślnego wersu nie *deptać flagi i nie pluć na godło* z refrenu „Wychowania” (nie rozumiejąc decyzji pana G. próbowałem go przekonać, że jako prawdziwy Polak wcale nie zamierzam namawiać do deptania flagi i plucia na godło, niestety bezskutecznie. Widocznie biegły od lat w pracy cenzorskiej pan G. wyczuł we mnie cynika).

3. Jednoznacznie brzmiący wers *produkt systemu w zniewoleniu* z utworu „Szara młódź” zmieniony został na bezpieczny *produkt systemu mody*. Mistrzostwo pana G.

4. Obrazoburcze *zabijemy nasze matki* z piosenki „Funk” zostały zmienione na *ukarzymy nasze matki*.

5. Ogólne wątpliwości co do treści i wymowy „Ogolonych kobiet”, którą pan G., mimo moich tłumaczeń, że to numer antywojenny, słusznie odczytał jako antytotalitar-ny. Początkowo nie chciał przepuścić w ogóle, aż w końcu zelżał, kastrując tylko jedną zwrotkę:

*Ja mam nad głową dach, ty masz nad  
głową dach  
a jednak coś nie tak, a jednak coś nie tak  
policyjne pałki — trach, trach, trach  
policyjne pałki — bach, bach, bach.*

Także w związku z nagrywaniem drugiego albumu wiosną 88 po raz kolejny sumiennie zjawiłem się na dywaniku na Mysiej. Z ust biegłego od lat w pracy cenzorskiej pana G. dane mi było wysłuchać paru dygresji dotyczących mojej ostatniej twórczości tekściarskiej. Gospodarz przywitał mnie bardzo serdecznie. Powiedziałbym nawet – w stylu ąsasimłodzieżowym. Potem rozpoczął swoje kazanie. Na wstępie pochwalił się tym, że jest profesjonalistą, albowiem skończył polonistykę i na literaturze się zna. Opowiadał o swojej pracy, spotkaniach z młodymi nieuświadomionymi autorami tekstów ze zbuntowanych zespołów rockowych, którzy muszą jeszcze wiele pracować zanim staną się prawdziwymi poetami, a także o tym, że w swoich cięciach zawsze kierował się względami artystycznymi, a nie politycznymi. Udawałem, że mu

wierzę. Materiał na płytę „Wychowanie”, w przeciwieństwie do poprzednich produkcji musiał bardziej jakoś przypaść do gustu panu G., skoro na 10 utworów zażądał jedynie 3 niewielkich cięć:

1. Wspomniana już zmiana tytułu w piosence „Idą żołnierze” na surrealistyczne „kołnierze”

2. Wers z refrenu *Moja kolacja to imitacja brzmiący A moje prawo to imitacja* musiałem wycofać. Pan G. zaproponował znacznie lepszy jego zdaniem, brzmiący *A moja szansa to imitacja*.

3. Najbardziej problematycznym kawałkiem okazała się „Taczanka na stepie”. Był to utwór zainspirowany radzieckimi filmami o gerojach rewolucji kręconymi przed II wojną światową (Czapajew itp.). Podejrzliwy, biegły od lat w pracy cenzorskiej pan G. doszukał się w tekście motywów antyradzieckich, a w końcu stwierdził, że jest to historia o powrocie z Afganistanu żołnierzy Armii Czerwonej (był to wówczas temat na czasie). Po długich tłumaczeniach udało mi się obronić „Taczankę”, kosztem jednej małej korekty: *złudne dni pokoju* zostały zastąpione *naszymi dniami pokoju*. Argumentem, który przeważał w sporze z biegłym od lat w pracy cenzorskiej panem G. było to, że muzyka „Taczanki” jest skoczna, szybka i optymistyczna, z wykorzystaniem instrumentów dętych w aranżacji. Gdyby bowiem brzmiała ponuro i pesymistycznie, biegły od lat w pracy cenzorskiej pan G. z pewnością utwór odrzuciłby.

## NAGRANIA

Pierwsza sesja nagraniowa T.Love odbyła się latem 82 w studiu „Pryzmaty” na Politechnice Częstochowskiej. To był po prostu uczelniany radiowęzeł. Liczyliśmy, że na podstawie kasyety dostaniemy się do Jarocina, niestety, przeliczyliśmy się.

Realizatorem był niejaki Fazi, ówczesny duch towarzysstwa częstochowskiej kultury studenckiej. Wyposażenie studia pochodziło chyba z lat 50., nie pamiętam już ile było śladów, najwyżej osiem. Było to bardzo dla mnie trudne – nagrywać wokale osobno, słyszeć było wszystkie fałsze... Tuszowałem to echem czy pogłosem. Sesje trwały 2–3 dni, nagrania miksowaliśmy pijani: ja, Fazi i Słoni. Zarejestrowaliśmy „Ogolone kobiety”, „Moje miasto”, „Wietnam”, „Wojnę”, „Wild Thing” i wysłaliśmy to potem do Jarocina. Pamiętam, iż w tamtych czasach Słoni nie wiedział co to jest hi–hat. Kiedy Fazi poprosił go „Uderz w hi–hat”, Słoni odrzekł „W co?” „W hi–hat” – powtórzył Fazi. „Fazi, mów kurwa po ludzku, chodzi ci o brekmaszynę?” – skumał Słoni.

Bohaterem głównym drugiej, słynnej sesji, była kamera pogłosowa, która stała się wówczas piątym członkiem zespołu. Nagrania odbywały się wiosną 83 w MDK w Częstochowie (jeszcze w stanie wojennym) nielegalnie. Interweniował partol milicji. Idące ulicą gliny zauważyły zapalone światło na ostatnim piętrze domu kultury i postanowili sprawdzić co się dzieje. Nagrywaliśmy akurat „Licium”, nagle wchodzi mundurowi. Akustyk, Dariusz Morkwa gęsto się tłumaczył, my również byliśmy przestraszeni, nakazano przerwać sesję i zmykać do domu, albowiem tworzyliśmy zgrupowanie większe niż 3 osoby. Po kilku dniach, już legalnie, w dzień, dokończyliśmy sesję.

Kamera pogłosowa pokryła wszystkie nasze instrumentalne niedociągnięcia, głównie moje i Janka. Wyszło na to, że jest on kapitalnym gitarzystą, brzmienia pływały tak piękne, że tym razem w Jarocinie się na to nabrali. Zapewne myśleli, że to taka koncepcja artystyczna. Koncepcja rzeczywiście to była, ale wynikająca z niemożności. Nagrania dziś kojarzą się z twistem z lat 60., ale wtedy

niektórzy ludzie, doszukiwali się w naszym brzmieniu zbieżności z Pink Floyd.

Na saksofonie grał wtedy Jarek Woszczyzna (znany później z wielu formacji, m.in. Daabu i Ya Hozny), który w ogóle tę kamerę przyniósł na próbę. Jeden z utworów, „Kabaret”, nagrał z nami na bębnach nieżyjący już Artur Kuciak z Bolletz Bolls.

Był to też okres mojego apogeum instrumentalnego. Niektóre numery grałem aż na trzech strunach, bardzo skomplikowane pasaże. Wówczas świetnie czuliśmy się ze Słoniem jako sekcja rytmiczna. Później, jak doszedł Koni, Słoni najpierw stwierdził, że robi po gryfie za dużo ruchów palcami i on, Słoni, przez to gubi rytm. Podszep tywał mi żeby wyrzucić Konia. Potem jednak i edukacja muzyczna Słonia osiągnęła wyższy poziom, aż powiedział mi kiedyś, że byłem słabym basistą.

Aż dwa lata musiały upłynąć zanim znów znaleźliśmy się w studiu, tym razem prawdziwym. Tonpress nagrywał składankę z nowymi zespołami pt. „Jeszcze młodsza generacja”. Zestaw dosyć dziwny i przypadkowy – chcieliśmy nagrać „Wychowanie”, ale nie przeszło przez cenzurę. Padło na „Zabijankę”, nagrywaliśmy ją w pochmurnym marcu 85 w studiu Tonpressu na Wawrzyszewie, w takim betonowym bunkrze. Na górze był sklep, w którym kupowaliśmy brow.

Interesował się nami wówczas manager Republiki, Andrzej Ludew. Czuł, że coś w nas jest, choć wiedział, że takiego interesu jak na Republice nie zrobi, bo to już nie te czasy. Sponsorował nam często alkohol i klepał po plecach. Ściągnął do studia Jerzego Rzewuskiego, dziennikarza „Magazynu Muzycznego”, i zaczął go przekonywać: „Zobacz, zobacz jak chłopaki grają, prawie jak Clash”. Na to nasz saksofonista, Piotrek Malak, będąc na haju, rzucił: „No wiesz to taki Clash z Mińska Mazowieckiego” i dalej kiwał się siedząc z zamkniętymi oczami. Przyszedł Marek Proniewicz, wyperfumowany szef programowy Tonpressu, pyta: „No jak chłopaki? Numer nagraliście na składankę, będzie się kręcić, będziecie grać na większych imprezach”, a Malak znów się obudził: „Wiesz co? Ja tak naprawdę chciałbym grać głównie w małych województwach”.

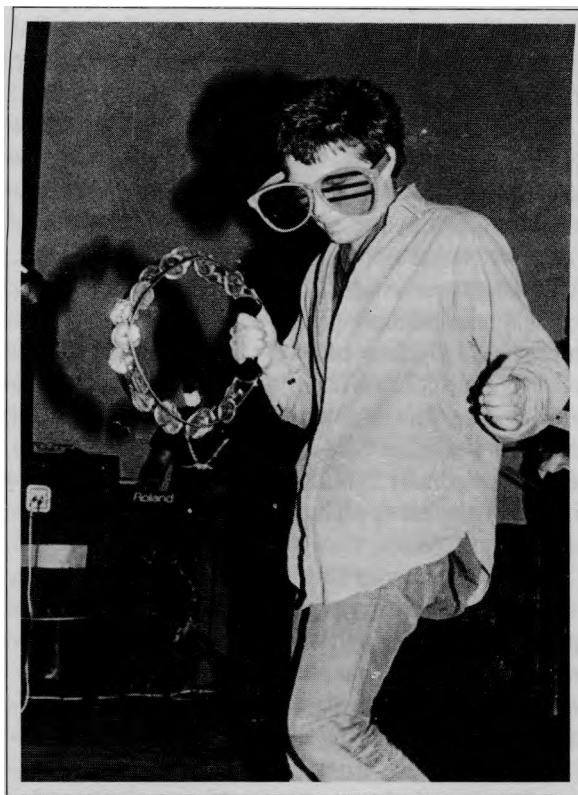
Potem Piotrek miał niesamowite szczęście, bo gdy AIDS doszedł do Warszawy, to akurat on rąbał drzewo resocjalizując się w Bieszczadach, przestał grać kompot, a teraz wziął za jakieś interesy, kupił nysę i w ogóle żyje.

W studiu Słoniu strasznie się denerwował, bo grał nierówno. Nie wiedzieliśmy, czy uda się Zającowi, ale jakoś dał radę i cichy ślad piana jest w nagraniu. Janek Knorowski w ogóle zrezygnował i jego partię nagrał Andrzej.

Dzień później Ludew namówił nas, żeby dać realizatorowi 15000 zł i nagra nas prywatnie (po cichu). Zrobiliśmy zrzutkę i szybko nagraliśmy na żywo materiał na drugą naszą podziemną kasetę „Chamy idą”. Ludew przyprowadził na zgrzywanie jakiegoś dziennikarza z Niemiec, który się trochę speszył, bo najpierw usłyszał „Ogolone kobiety”, z Ravensbrückiem i Stutthofem. a potem zupełnie pijany Koniu zaczął go obejmować bełkocząc coś o przyjaźni polsko-niemieckiej. Później muzyk Sliwczyński położył się na stole mikserskim i zębami przesuwiał suwaki domagając się więcej basu. W końcu Koniu zasnął i był spokój, miksowałem ja z Andrzejem i Jankiem.

Sesja singla odbyła się była w czerwcu 86. Piękna letnia pogoda, mistrzostwa świata w piłce nożnej w Meksyku. przeżywałem erotyczne uniesienia z moją obecną żoną, Martą. Tonpress zafundował nam hotel „Vera”, dokąd ją uwiodłem, co zdenerwowało jej mamę. Bardzo miło wspominam ten czas. byliśmy bardzo aktywni – zaraz po nagraniu singla zagraliśmy dobry koncert w Remoncie z amerykańską dziewczęcą kapelą U.T., powstawał nowy repertuar. Andrzej przyniósł nowy numer i kazał mi napisać szybko słowa, bo chciał go zagrać już następnego dnia na koncercie. Zamknąłem się w pokoju w hotelu – tak powstał „Śpiewam bęben”, kawałek bardzo optymistyczno-witalistyczny. Sam singiel jest taki jak okładka, którą powtórzyliśmy teraz na składance i tej książce. Te dwie główki to idylla, miłość, a pieski to zgrzyt, coś ostrego, na przykład rock'n'roll. Ogólnie bardzo kolorowo i wiosennie. Chodziliśmy po piwo do sklepu nad studiem i realizator Włodek Kowalczyk ciągle nas prosił, żebyśmy mu kupowali lilichipsy, które namiętnie spożywał. Kiedy nagrywaliśmy „Garaż”, brzęk butelek i pijacki chórek na zakoń-

czenie były jak najbardziej autentyczne. Myślę, że te nagrania świetnie oddały czas, moment, w którym ich dokonaliśmy. Dziś jestem z nich bardzo zadowolony.



*Nagrywam płytę*

Szkoda tylko, że wyłoczono tak mały nakład (tylko 5 tysięcy). Do ludzi to prawie nie dotarło. Rok temu sprzedawaliśmy jakieś resztki na koncertach – wszyscy myśleli, że to nowy singiel.

Pomysł nagrania płyty koncertowej T.Love wymyślili ludzie z Klubu Płytkowego „Razem”. „Razem” było wtedy potężną „młodzieżową” gazetą i wydawało dziwne płyty w małych nakładach. Powiedział mi o tym Andrzej, pomysleliśmy trochę i zgodziliśmy się. Rzeczywiście,

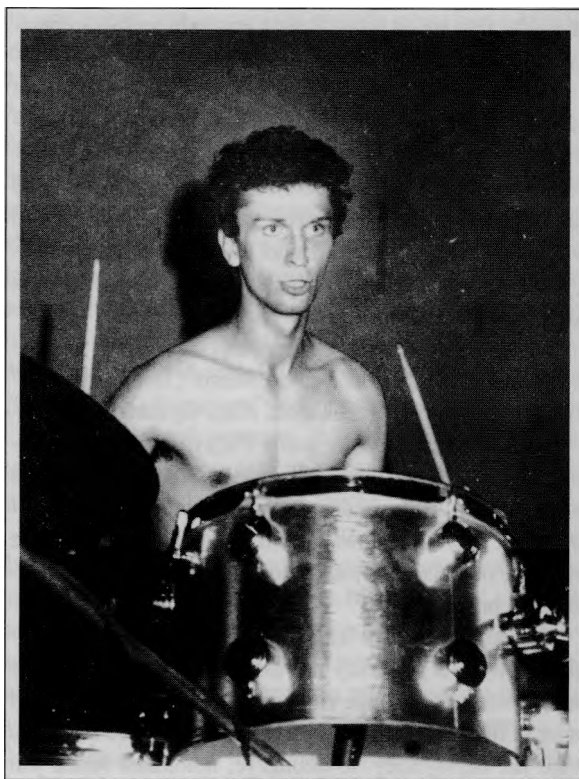


*Nagrywamy płytę – Miejscowi live*

byliśmy wtedy głównie grupą koncertową, tylko zapominano o tym, że do wydania takiej płyty na świecie wybiera się nagrania rejestrowane podczas trasy koncertowej trwającej tygodnie, a czasami miesiące, potem obrabia się to w studiu, powstaje materiał i tego można słuchać. A tu zaproponowano nam, że magnetofon będzie włączony podczas dwóch koncertów w Rivierze, która na dodatek jest miejscem pozbawionym klimatu do odbioru rock'n'rolla, bo to sala kinowa i nie mając tańczyć. Żeby było już zupełnie beznadziejnie, odszedł od nas Słoniuk, który został magistrem, ożenił się ze swoją dziewczyną – Cebulą – i postanowił rozpocząć karierę dyrektorską. Koniu przypomniał sobie o perkusie który mógłby z nami grać – Piotrze Wysockim (znanym z Kobranocki między innymi). Zaprosiliśmy go. Rozpoczęliśmy próby do płyty w liczbie czterech. Koniu uczestniczył tylko w dwu, bo miał egzaminy na Akademii Muzycznej w Katowicach. Ja na dodatek miałem problemy z gardłem, piłem masę jajek i nie pomagało. W takich warunkach nagraliśmy płytę, która wyszła tak, a nie inaczej.

Po nagraniu niechlujnych „Miejscowych” chcieliśmy nagrać płytę „chlujną” i trochę z tym przedobrzyliśmy. Nagrania z „Wychowania” wyszły wręcz klinicznie i laboratoryjnie, przede wszystkim za sprawą realizatora. Jarrek Reguński słuchał innej muzyki i nie do końca zrozu-

miął nasze intencje, zamiast gitar na pierwszym planie znalazły się klawisze i saksofony. Nie mam zastrzeżeń tylko do utworów „Wychowanie” i „Bęben”, w innych zabrakło płynącego ze sprzężonych wzmacniaczy „brudu”. Tomek Tluczkiewicz, który był wówczas szefem artystycznym Polskich Nagrań, jedyną osobą na swoim miejscu w tej firmie, umożliwił nam nagrywanie w bardzo dobrym studiu S-4 na Woronicza. Obiektywnie mieliśmy super warunki do pracy. Rozbiło się to jednak o nieporozumienia z realizatorem – było sztywno i to na płycie słychać. Studyjna produkcja „Wychowania” rozmyła się zupełnie w delikatnych smaczkach, nie mających nic wspólnego z ostrym koncertowym brzmieniem kapeli.



*Wysol – następca Słonia*

Do tych kłopotów dołożyły się moje kłopoty prywatne. Psychicznie nie byłem obecny podczas nagrywania, dziś sam się dziwię, że udało się mi w tym dołowym nastroju nagrać nawet taką płytę, bo były wszelkie dane aby powstało coś w rodzaju „Closer”. Moje myśli były aż tak mroczne z powodów egzystencjonalno-uczuciowych. W pewnym momencie nagranie „Wychowania” stało się swego rodzaju cierpieniem ale i wybawieniem dla mnie.

Materiał na „pocisk miłości” powstał wiosną 1990 w piwnicy Janka Benedka przy ulicy Czarnieckiego 59 na Żoliborzu. Podstawowy skład to był wtedy: ja, on oraz Robert Szambelan na bębnach. Robert był bardzo zdolnym perkusistą, który w pewnym momencie zagubił się w restauracjach, jednak mieliśmy nadzieję, że będzie z nami grał. Zaczęło się od picia. Potem przyszły próby. Po pewnym czasie mieliśmy wyjściowy materiał.

Sytuacja się zmieniła. Rynek okłapł, T.Love właściwie nie istniał, nikt nie wiedział co jesteście warci. Musieliśmy nagrać demo z nowymi utworami. Robert, który programował kiedyś bębny Różom Europy, przez dwie noce zaprogramował je do naszych piosenek. Robiliśmy to w piwnicy u niejakiego Maziego. Pogłos uniemożliwił nagranie wokali, które dołożyłem dopiero w studiu Piotra Kokosińskiego.

Demo trafiło do naszych znajomych i rekinów szolby-znesu. Nie było za dobre, choć wersja „Don't Go Paul” była chyba wtedy lepsza. Całość różni się nieco od płyty.

Jesienią weszliśmy do studia Puczyńskiego, żeby nagrać płytę. Podczas sesji „Pocisku” działy się straszne walki. Zmieniło się bodaj czterech producentów. Pierwszym był Igor Czerniawski, z którym Janek w ogóle nie mógł się dogadać. Wojna wybuchła już w momencie miksu „Na bruku”.

„Pocisk miłości” to także wojna pomiędzy mną a Jankiem. Chyba z pięć razy mu mówiłem, że już nigdy nie będę z nim grał. Ogólnie chodziło o to, że sesja przedłużała się, a fundusz nagraniowy był ograniczony. Ja chciałem więc jak najszybciej to skończyć, natomiast Janek jest perfekcjonistą i potrafił przez sto godzin ustawiać brzmienie gitary. Walki w zasadzie ustały gdy produkcją zajął się

Robert Brylewski. Jest on gitarzystą i dobrze rozumiał się z Jankiem, który dziś zresztą twierdzi, że najlepiej byłoby gdyby on sam zajął się produkcją i wtedy dopiero płyta byłaby doskonała.

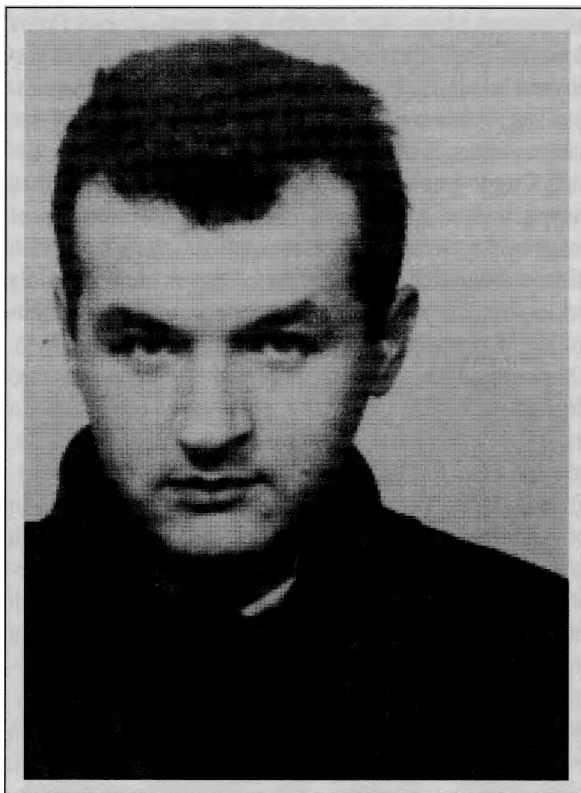
Na dodatek mieliśmy problemy z automatem perkusyjnym, ale tak już jest z wynalazkami białych ludzi. Mimo tych wojen sesję wspominam bardzo przyjemnie, choćby dlatego, że po raz pierwszy nagraliśmy mniej więcej taką płytę jaką chcieliśmy. Jedyna ważna rzecz jaką zmieniłbym to bębny – brzmiały sztucznie i teraz wiem już, że taką muzykę należy nagrywać z żywą perkusją. W odróżnieniu od innych płyt T.Love „Pocisk” jest jedyną, której mogę dzisiaj słuchać w całości.

Remiksowanie starych piosenek i nagrywanie sześciu nowych wersji naszych hitów na składak „Dzieci rewolucji” miało dla mnie charakter nostalgiczno-rozrywkowy. Na krótko powróciłem do współpracy z Andrzejem i w składzie wzmocnionym o muzyków sesyjnych (Stopa – dr, Leszek Biolik – bas, Romek Kunikowski – kbds) postanowiliśmy dograć na nowo parę dawnych kawałków, które z różnych względów nie mogły znaleźć się na tym kompacie. Premierowy utwór „Prawdziwi kochankowie” zrobiliśmy natomiast w obecnym, oficjalnym składzie T.Love. Sesje odbywały się znów u Puczka, tym razem w 15 stopniowej mrozie, w styczniu 92. Siedzieliśmy w studiu głównie nocą, ze względu na brak dziennych terminów, co było bardzo męczące. Aby nie zasnąć speedowaliśmy się haszowo-alkoholowymi mikсами. Całość realizował Brylu, niestety tym razem w znacznie gorszej niż na „Pocisku” formie.



## PŁOCHAR

Po Barberze moim największym kicowym kumplem stał się Wojtek Plocharski (Kaczor, Hrabia), którego poznałem w pokoju Runia.



*Plochiar*

Runio był wówczas hipisem i słuchał Johna Lennona, teraz jest psychobilowcem i słucha The Cramps. Któregoś dnia przyszedł więc pijany Plochiar i zaczął śpiewać Beatlesów, zachwycając się swoim wspaniałym głosem, czym mnie wkurwił strasznie. Pomyślałem – co za głupek. Potem jednak połączyły nas długie chłopaków rozmowy

w cichaczku, związane z dziewczętami i skomplikowanymi sytuacjami jak to kto się w kim zakochał i kto kogo nie chciał, albo ktoś chciał i ktoś nie wiedział. Staliśmy się kumplami, przez następne pięć lat mieszkaliśmy zazwyczaj razem. Plochiar pochodzi z Olsztyna, bardzo przywiązany jest do swej ziemi warmińskiej. Studiował dziennikarstwo, zresztą stosunkowo szybko je skończył. Zaczęły się wspólne zainteresowania literacko-witkacowskie, mieliśmy wtedy bardzo podobne widzenie świata. Połączyła nas również muzyka – Wojtek miał za sobą parę lat szkoły muzycznej i doszło do wspólnego grywania w akademiku – on grał na pianinie, a ja na gitarze i basie. Parę naszych utworów miało nawet charakter muzyczny. Niestety jedyną kasetę z tamtymi nagraniami Plochiar skasował w okresie gdy odbiło mu na punkcie muzyki poważnej i nagrał sobie jakąś operę, bo zapragnął zerwać z przeszłością. Wojtek jeździł też z T.Love na koncerty jako nasz kumpel. Paliliśmy razem dużo grassu, o który było wtedy łatwo. Ewolowały nasze zainteresowania i wtedy wreszcie Plochiar pokazał mi „ekspreski”, które sobie wymyślał, formy literackie pomiędzy krótkim opowiadaniem, a przypowieścią filozoficzną. Zostałem jego fanem, a także kimś w rodzaju agenta. Starłem się go reklamować, wmawiając wszystkim jaki on jest wspaniały. Chyba go to rozkaprysiło trochę i sam uwierzył za bardzo w swoje posłannictwo. Po jakimś czasie Piotrek Bratkowski wepchnął nawet do „Tygodnika Kulturalnego” parę jego ekspresek.

Wojtek pisał też piosenki. Powstał pomysł założenia kapeli, gdzie miałbym grać na kongach. Nazwaliśmy ten projekt Jesus Puojarez (Dżizus Plocharez).

Wystąpiliśmy tylko raz, była to OPPA 87 w „Hybrydach”. Wcześniej zrobiliśmy sesję zdjęciową i wsadziliśmy o sobie tekst do „Magazynu Muzycznego”. Artykuł napisał właśnie Plochiar, a został podpisany „Marek Sławiński”, czyli rodzowym nazwiskiem naszego kolegi Majkowskiego. Wykłócaliśmy się o zamieszczenie tego artykułu z red. Butrymem na kilka dni przed jego śmiercią. Był on zdania, że takie teksty nie powinny być drukowane, bo nikt nie zrozumie tego w Pułtusk. W końcu red. Butrym zakwalifikował tekst do druku i umarł.

## SCHYLEK

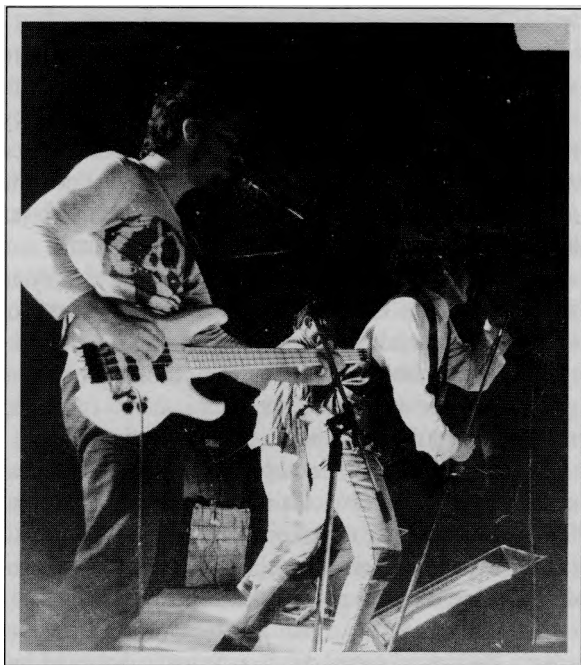
Do występu w ramach konkursu na Ogólnopolskim Przeglądzie Piosenki Autorskiej zaangażowaliśmy jako akompaniatorów połowę T.Love. Palucha pożyczył Wojtkowi casio, opracowaliśmy 3 numery, ale zagrać udało nam się tylko dwa, po czym komisja artystyczna (z artystą Gintrowskim na czele) odrzuciła nas. Kaseeta nie zachowała się, a szkoda bo nie ma już żadnego śladu, że taki zespół był. Można i dziś wrócić do tych piosenek, ale nie byłoby to już takie świeże – poetykę Płochara wykorzystał już Jacek Palucha (patrz rozdział „Jacek”), a w okaleczonej wersji powieliła na dodatek Olek Klepacz.

Największą bowiem – choć krótkotrwałą – sławę przyniosła Płocharowi właśnie znajomość z Jackiem, który zauroczył się tekstami Wojtka i sam zaczął pisać pod niego. Najśtywniejszy przebój Formacji Nieżywych Shabuf – „Klub wesołego szampana” – to tekst Płocharskiego. Potem Płochar napisał także połowę tekstów na nie docenioną płytę Furmanki.

Dziś Wojtek jest wciąż moim kumplem. Po skończeniu studiów i odbyciu służby wojskowej (jak na prawdziwego mężczyznę przystało) pracuje w Polskiej Agencji Prasowej. Niedawno wpadliśmy na pomysł zrobienia wspólnie gazety (tygodnika, miesięcznika?) popowo-artystowskiej i znowu nic z tego nie wyszło. Może nie potrafimy działać razem, przecież każdy z nas jest zajebistym egoistą. Mimo tego Płochara lubię dalej.

Po nagraniu dwóch płyt T.Love leciał na pozytywnej opinii fanów i prasy. Byliśmy przecież jednym ze starszych, wciąż jeszcze istniejących zespołów postundergroundowych z początku lat osiemdziesiątych. Mimo tej opinii wewnątrz kapeli nie działo się nic pozytywnego. Próby dojazdowe na dłuższą metę nie mogły owocować wyraźnymi efektami, odbywały się bowiem bardzo rzadko. Panowała totalna stagnacja, od paru lat odgrywaliśmy ten sam repertuar, a nowe utwory rodziły się w ciężkich bólach. Ciągłe granie koncertów zaczęło pachnieć niezdrową rutyną, a co najgorsze były one wciąż dobrze odbierane przez bezkrytyczną publiczność, wpadającą w trans na dźwięk kilku radiowych hitów. Działo to demoralizująco na całą orkiestrę, „bo jeśli gramy i się podoba, to chyba wszystko jest w porządku”. W porządku jednak wcale nie było. Od pewnego czasu czułem, że zespół powoli umiera choć do prawdziwej śmierci T.Love było jeszcze daleko. To, co dawniej było naszą siłą, zniknęło gdzieś po drodze, rock'n'rollowy „kop” został zastąpiony rutynowym odgrywaniem programu. W końcu 1988 roku, mimo dużej popularności, T.Love nie należał już do kapel kipiących koncertową energią, stawał się natomiast zespołem sześciu zmęczonych, znudzonych facetów, tyle że pijących nieco powyżej przeciętnej krajowej. To, co parę lat temu było naszym atutem, teraz stawało się groteskową deformacją. Szczególnie ze strony publiczności, a także i prasy, pojawiły się słuszne zarzuty, że gramy od paru lat ten sam program. Kryzys repertuarowy rozpoczął się w 1987 roku, kiedy powstał tylko jeden utwór („Moja kolacja to imitacja”). W roku 1988 powstały 4 piosenki, natomiast w roku 1989 – ostatnim roku istnienia „starego” T.Love – pod tym względem nie działo się już nic. Nie mając własnych świeżych pomysłów podpieraliśmy się standardami rock'n'rolla. To, co widziałem było dołujące. Od roku 1982 graliśmy w prawie niezmiennym składzie (poza odejściem Janka i Słonia), budując mit kapeli koleżeńskie. Mit ten upadł, kiedy okazało się, że tak naprawdę zawodowstwa z koleżeństwem pogodzić się nie da. Jeżeli

chce się grać dobrze, to trzeba maksymalnie pracować na próbach. Praca ta jednak nie była możliwa przez długie lata właśnie ze względów koleżeńskich. Nie mogliśmy spotykać się często, ponieważ nie mieszkaliśmy w jednym mieście. Teoretycznie można było dokonać zmian kadrowych, ale przeszkadzał w tym właśnie sentyment i układ koleżeński. W latach 1988–89 nie byliśmy już nastolatkami, niektórzy z nas pozakładali nawet rodziny. Tak więc trudno było porównywać beztrudną sytuację z liceum z położeniem ówczesnym. Należało dokonać jakiegoś wyboru. Albo odgrywać jeszcze parę lat ten sam stary repertuar, w celu zarobienia paru groszy, albo zespół zawiesić. Ja osobiście, zmęczony zaistniałą sytuacją, wybrałem wariant drugi. Postanowiłem poczekać jednak na odpowiedni moment, kiedy wszystko będzie można rozwiązać w sposób naturalny.



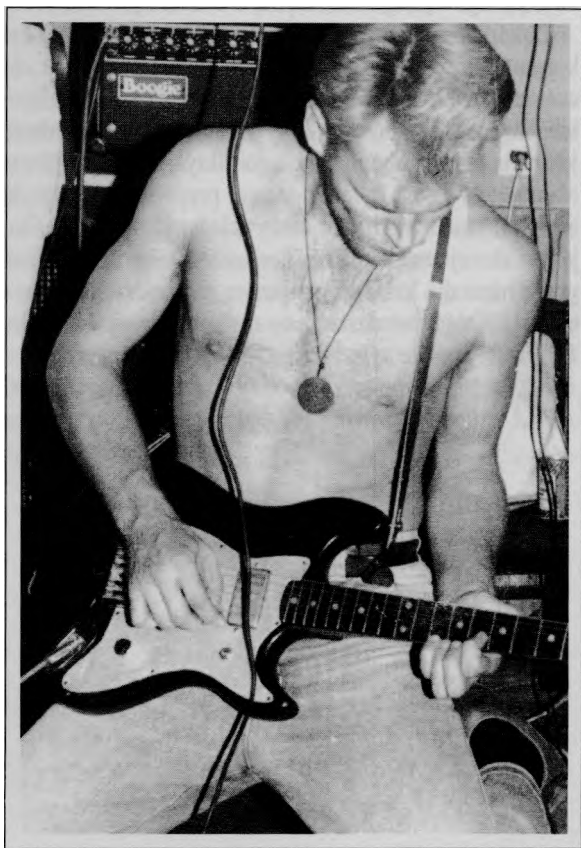
*ROCKATAK - W-wa Cyrk Intersalto, czerniec 89  
Jeden z ostatnich koncertów Starego TLove*

Rok 1989 okazał się ostatnim w historii „starego” T.Love. Był to czas, kiedy spotykaliśmy się prawie wyłącznie na koncertach. Próby nie odbywały się, no może poza kilkoma wyjątkami. Zespół był już martwy, trzymał się jednak ostatkiem sił. Ówczesny T.Love przypominał układ koleżeńsko–pieniężny, bowiem wszyscy z nas utrzymywali się już wyłącznie z grania, traktując kapelę jako główne źródło swoich dochodów. Przed rozwiązaniem tego niezdrowego układu zagraliśmy jeszcze sporo koncertów, z których kilka było całkiem niezłych, a kilka, łagodnie mówiąc – kompromitujących, jak np. występ w Spodku z III ligową angielską kapelą Bolshoi.

Ostatnim graniem (bez Andrzeja, Wysola i Zająca) był koncert w domu kultury na Próchnika na Żoliborzu, 25 czerwca 1989, sponsorowany przez Towarzystwo Zapobiegania Narkomanii, za który otrzymaliśmy rekordowe jak na owe czasy honoraria – po 50 tysięcy zł na głowę. Mimo, że wejście było za darmo, przyszło tylko ok. 30 osób – nikt nie wiedział o naszym występie, przypominającym raczej otwartą próbę. Perkusista Robert Szambelan grał z nami dla ludzi po raz pierwszy (i jak się okazało – ostatni). Ktoś powiedział, że teraz naprawdę brzmimy nieźle, czadowo. Ale to był koniec starego T.Love.

## STACH

Czekanie na rozwiązanie starego T.Love umiliło mi wejście w skład megarock'n'rollowej orkiestry Gary and Gitary. Założyli go moi młodszy koledzy z akademika na Kickiego – Stach, Max i Majakowski. Zostałem przez nich zaproszony do gry (na gitarze basowej) już w styczniu 1989 roku, gdy mieli swój pierwszy koncert na zamkniętej imprezie „połowinkowej” ówczesnego III roku dziennikarstwa. Niestety – nie mogłem wtedy przyjąć ich propozycji, wybrałem zarabianie pieniędzy z T.Love



*Stach – człowiek-zwierzę na scenie*

w katowickim Spodku. Jednak chłopcy ponowili propozycję wiosną i tak zjawiłem się 20 maja w klubie „Ubab”, wyposażony w swoją basówkę od Stepy. Na miejscu okazało się, że nie ma perkusisty, Maxa. Znając swe zamiłowanie do wystukiwania rytmu (jeszcze z czasów liceum), postanowiłem w potrzebie zasiąść za bębnami, bas przekazując niejakiemu Krzyškowi Typie. Po krótkiej próbie okazało się, że możemy zagrać koncert. Całość przypominała mi pierwsze występy T.Love w latach 1982–83 i przywróciła mi radość grania. W tej muzyce był punkowy duch, którego zabrakło w odgrywanych mechanicznie koncertach w końcowej fazie T.Love. Publiczność stanowili praktycznie sami znajomi, pierwszego dnia oglądało nas około 20 osób, następnego może 40. Graliśmy standardy („Wild Thing”, „All Day And All Of The Night”, „Passanger”, „With Or Without You”, „Should I Stay Or Should I Go”) a także piosenki T.Love („Liceum” i „Kowalski”), które śpiewał lider Garów – Stach.

Stacha, studenta dziennikarstwa, poznałem dopiero w wynajmowanym przeze mnie mieszkaniu na Madalińskiego jesienią 88. Byłem czynnym kolegą i wszyscy tam mieszkali, a więc m.in. Dorota, jego narzeczona, a co za tym idzie – i on. Wprowadzał niesamowity burdel. Nie jestem pedantycznym człowiekiem, ale Stach był już kompletnym niechlujem. Jakoś jednak się w końcu z nim skumplowałem, rozmawialiśmy o Hemingwayu i życiu zgodnym z naturą. Gdybym miał go scharakteryzować powiedziałbym: polakoirlandczyk–katolik. Człowiek–zwierzę – najpierw zabije, potem będzie się modlił. Polubiłem go bo ciekawie opowiadał o rybach i morzu (pochodzi z Ustronia Morskiego), a ja lubię takie opowieści.

Po występie na Kicu uznaliśmy nasz zespół za rewelację. Zaraz po drugim koncercie w combie przyjaciół udało się na popijawę do pokoju Stacha. Dorota stwierdziła, że jesteśmy najlepsi na świecie, wszyscy się z nią zgodzili. Kasetę nagrałą podczas koncertu przesłuchaliśmy chyba z 10 razy. Doszedłem do wniosku, że T.Love to gówno. Piszący wówczas do „Non Stopu”, obecny na imprezie nasz kolega Miras Soliwoda rozkręcił maszynę prasową i parę miesięcy potem Jesienią w ciągu jednego

tygodnia w „Magazynie Muzycznym”, „Non Stopie” i „Na przelaj” ukazały się notki i artykuły o Garach i Gitarach, wszystkie pisane przez znajomych z Kica. Wpędziło to podobno w kompleksy Anję Orthodox, której Closterkeller właśnie zwyciężył w Jarocinie, a nikt o tym nie pisał.

Wyjeżdżając do Londynu z Majakowskim zabrałem ze sobą nagrany na kasecie koncert Garów, którego oporowo słuchaliśmy. Po moim powrocie postanowiliśmy kontynuować wspólne granie, Majakowski pozostawał jeszcze w Anglii. Wiosną 90 nie skompletowanemu jeszcze T.Love’owi zaproponowano występ na juwenaliach w Białymstoku. Przekonałem organizatorów, że mam nową, rewelacyjną grupę i że z nią wystąpię.

Ponieważ Stach, będący nie tylko dziennikarzem, rockendrolowcem, rybakiem ale i championem, rzucał oszczepem na mistrzostwach uniwersytetów w Poznaniu, próby przed koncertem odbyły się bez niego. W Słupach pod Olsztynem w domu Krzyśka, z jego bratem Jarkiem jako basistą przećwiczyliśmy naprędce nowy, bardziej popowy (wpływ Krzyśka) repertuar.

Teksty do standardów (nie udało się zdobyć oryginalnych) Krzysiek pisał dopiero w pociągu, by po 3 godzinach Stach zaśpiewał je z kartki.

Występ nasz był wielką prowokacją artystyczną, zwłaszcza, że narabialiśmy się piwem „Herbowe” jak T.Love w najbardziej gazerskich czasach. Dość powiedzieć, że Stach przegryzł mikrofon, pękły mu spodnie i dał się na scenie kopnąć Krzyśkowi. Krzyśka spotkała za to zasłużona kara, bo wleciał do studzienki kanalizacyjnej. Fałszyż przekroczyły stukrotnie normę. Organizatorzy zapowiedzieli, że nigdy już nie wystąpimy w Białymstoku, a grać powinniśmy w zakładzie dla głuchoniemych. Skądinąd Stach dopiero po koncercie dowiedział się, że niepotrzebnie tak się wydzierał, bo jeżeli chciał się usłyszeć, to mógł to zrobić poprzez skorzystanie z odsłuchów, o których istnieniu nie miał dotąd pojęcia.

Łagodny repertuar („Baby Don’t Look Back”, „Like A Hurricane”, „Bank Robber”) zaproponowany przez Krzyśka ewidentnie nie podpasował Stachowi, który jako

lider postanowił wyrzucić go z zespołu. Będąc prawdziwym mężczyzną, zresztą spod znaku Lwa, zapragnął grać prawdziwie męską muzykę, a nie jakieś tam pitu pitu. Wrócił z Anglii Majakowski, dołączył drugi wokalista – transowy Blondey oraz basista Furmanki – Sergiusz (tak jak ja absolwent IV liceum w Częstochowie). Po kilku próbach, z nowym, bardziej rockowym a nawet trochę rave’owym repertuarem zagraliśmy 8 grudnia 90, w 10 rocznicę śmierci Lennona. Naszym supportem był zespół SWAT, z którego liderem, Jackiem Judyckim pracowałem w Londynie – jako medyk i działacz klubu umożliwił nam przygotowanie się do tego występu na swoim sprzęcie. Na koncert przyszli fani w lenonkach, zwabieni rozklejonymi plakacikami. My natomiast zwierzęco zagraliśmy punkowy koncert. Oprócz kolejnych standardów („Peaches”, „No More Heroes”) pojawiło się parę numerów spółki Stach-Majakowski – nie do końca własnych, ale dość oryginalnych („Happy Mother”, „Dostojewski”). Pamięci Lennona (duch jego hamburskich występów unosił się podczas grania) zadeedykowaliśmy „Anarchy In The U.K.”, przechodzące w „Johny B.Good” Berrego. Żadnych numerów Beatlesów oczywiście nie zagraliśmy. Potem w „Wyborczej”



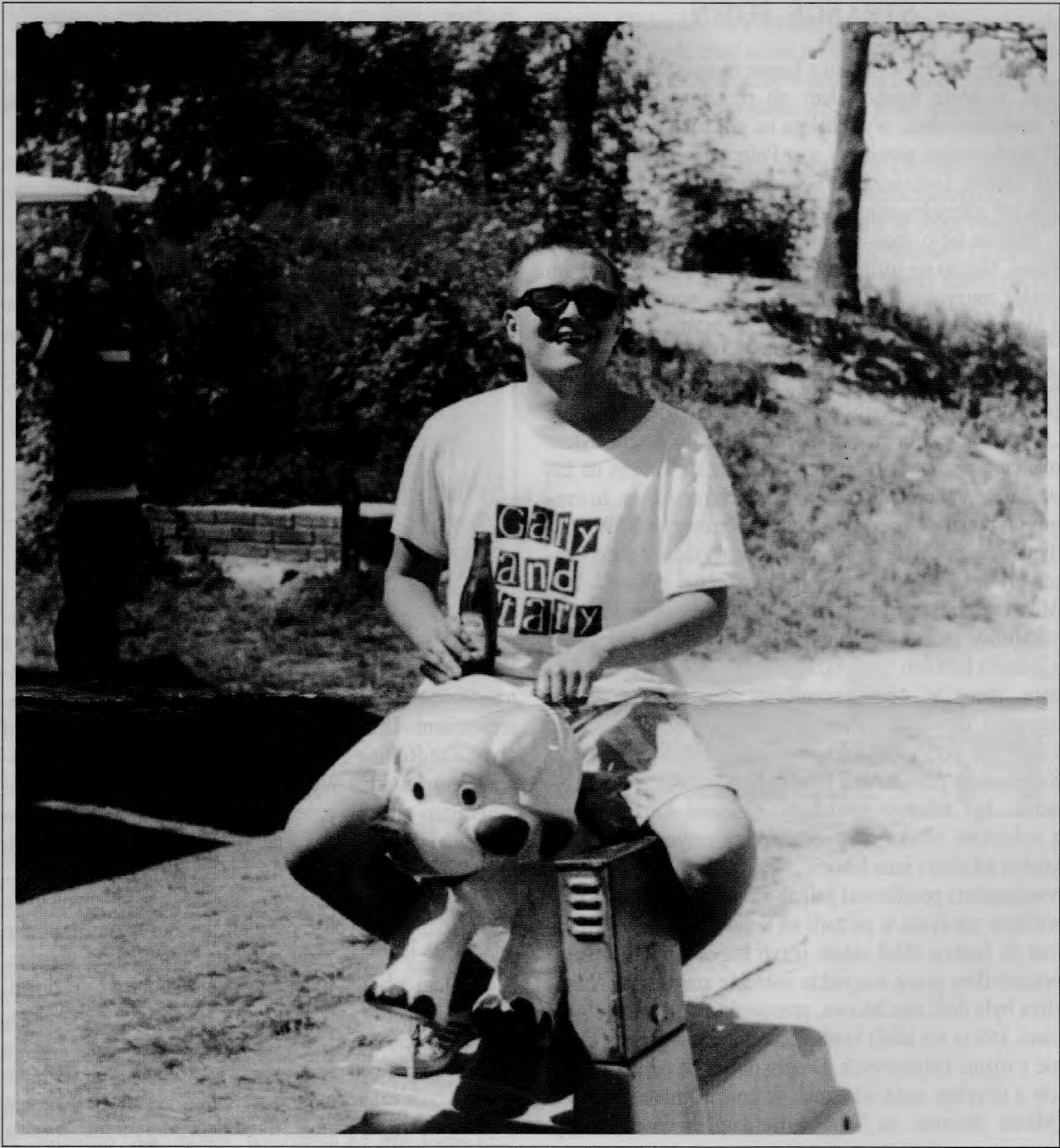
*Gary and Gitary - złoty skład*

ukazała się złowroga notka jak bardzo sprofanowaliśmy pamięć Johna.

W tym złotym składzie (Stach – voc., g, Blondey – voc., perc., Majakowski – g., Sergiusz – b., vocs i ja – dr., vocs) zagraliśmy następnie wiosną 91 znów na Kicu, w Międzyrzeczu Podl. (z Latawcami) i w Częstochowie, gdzie załatwiłem koncert, a całe miasto oblepiono wielkimi sztrajfami GARY AND GITARY. Przed nami grał zespół Pędzle, z moim kumplem Pędzlem (dawniej śpiewającym w grupie Sergiusza Kwiat Jabłoni) na wokalu. W Filharmonii wypłoszyliśmy 3/4 publiki (za sprawą obłąkanego saksofonu niejakiego Mietka), natomiast na drugim koncercie, w małym klubie „Liliput” przebiliśmy kończący się SzPal i nie dopuściliśmy do występu Formacji Nieżywych Schabuf. Były to najlepsze koncerty Garów. Zespół zgrał się w miarę możliwości, rapujący Blondey świetnie uzupełniał się z ryczącym Stachem, swoje wokalne wejście miał Sergiusz („Love For Sale”), a Marko Majakowski, co do którego było wiele sporów wyrobił się zarówno pod względem image’u (szorty) i jako gitarzysta rytmiczny.

Latem, w improwizowanych składach opartych na moim duecie ze Stachem, daliśmy jeszcze dwa koncerty na Wybrzeżu, m.in. z Apatią. Ostatni raz wystąpiliśmy (ja, Stach i... Krzysiek Typa znów na basie), na otwarciu pubu „Marylin”, w lipcu 91 w Warszawie. Sztukę zorganizował Robert, menago T.Love, obiecując właścicielce knajpy, swojej znajomej, że będzie dobra zabawa, bo kapela gra standardy. Za jednym kursem przewiozłem tam w maluchu całą perkusję, spory piec i gitarę dla Stacha (nigdy nie posiadał własnego wiosła). Po rozwaleniu przeze mnie bębnow już w trzecim numerze kobieta słysząc rzęch idącej z pieców załamała się kompletnie. Publiczność jak zwykle nie wiedziała czy jest to happening czy naprawdę jesteśmy tak beznadziejni. Nasz szef został na ten koncert przywieziony przez osobistego drivera z Ustronia trzydziestoletnim mercedesem, po czym narąbał się. zagrał, dopił – zaś o pierwszej w nocy obudził śpiącego w samochodzie kierowcę i odjechał z powrotem nad morze. Niestety, następnie zmuszeni zostaliśmy do zawieszenia działalności

– Stach zaciągnął się na rok jako marynarz na grecki statek. Mam nadzieję, że gdy wróci reaktywujemy Gary and Gitary, zwłaszcza, że czad w tym zespole był niezmierny, a indywidualność Stacha i głos – wielkie. Graliśmy też coraz lepiej (kierownictwo muzyczne objął Sergiusz, który nawet zna nuty), ale nie dokonaliśmy żadnych nagrań. Szkoda wielka byłaby gdyby po Garach zostały tylko fotografie i artykuły. Gary and Gitary były dla mnie esencją rock’n’rolla, odtrutką na przerost ambicji i chorobliwy profesjonalizm. Profesjonalizm bowiem to według mnie rzecz względna, a bardzo istotny jest klimat, którego czasami brakowało mi na scenie w T.Love. Czułem, że Gary to prawdziwy zespół, złożony z kumpli i to było istotne.



## STRANGE TOWN

Latem 1989 w związku z koniecznością spłacenia długów, w które wpakowałem się przez próby handlowe z magnetowidem, wyjechałem na pół roku do Londynu. Potrzebowałem pieniędzy, a w Polsce nie byłem w stanie ich zdobyć, zwłaszcza, że T.Love padł. Tak więc cel wyjazdu był zdecydowanie gastarbeiterski. choć – nie powiem – otarłem się o show business chodząc na występy paru kapel. Mocno się rozczarowałem Londynem jako centrum świata muzycznego – panował zastój, oprócz zespołów z Manchesteru nic ciekawego wówczas w Anglii nie było.

To miał być też okres pewnego oddechu i przemyśleń życiowych. T.Love w zasadzie został rozwiązany, choć piosenki nasze chodziły w radiu, to powiedzieliśmy sobie „Cześć” przed moim wyjazdem. Jadąc do Anglii byłem niemal przekonany o pożegnaniu z rock’n’rollem na zawsze. Jednak po tych paru miesiącach poczułem, że czegoś mi brakuje i że po powrocie wrócę do grania. W Londynie napisałem piosenkę „Warszawa”, która dała początek płycie „Pocisk miłości” (patrz rozdział „Warszawa”). Moim towarzyszem w gospodarstwie był Majakowski. Mieszkailiśmy razem, wynajmując jakieś najtańsze pokoje z jednym łóżkiem, w związku z czym ciągle brano nas za parę, rzecz w Anglii normalna. Zresztą Marek miał ogromne powodzenie wśród gayów, ja nieco mniejsze. Ciągłe go podrywali, składając małżeńskie propozycje. Szczególnie powszechne było to w pracy, gdzie staff kelnerski był totalnie spedalony. Czasami korzystaliśmy z wdzięków Marka, jako że chłopcy przynosili nam do kuchni alkohol i inne łakocie. Marek jako absolutny heteroseksualista pozostawał jednak zimny na te zaloty. Zmywaaliśmy naczynia w pizzerii na Soho i zanim awansowałem do funkcji chief salade (czyli kogoś kto kroji sałatki) przeszedłem przez wszystkie szczeble zmywarek. Atmosfera była dość nieciekawa, pracowaliśmy głównie z Arabami, którzy nie lubili Marka. Konflikty te wynikały głównie z różnic kulturowych. Doszło nawet do paru incydentów z użyciem noża włącznie. W końcu zmieniłem pracę (Marek pozostał na Soho) i trafiłem do innej knajpy,

w okolicy stadionu Arsenalu, gdzie przychodzili jego kibice – pić piwo i klepać kelnerki po pupach. Tam było przyjemniej, zarabiałem większe pieniądze i byłem już kimś – pomocnikiem kucharza; kroilem ziemniaki, warzywa i inne produkty.



*In London*

Trzy rzeczy towarzyszyły mojemu pobytowi w Londynie. Pierwsze hasło to „Strange Town” – piosenka Paula Wellera (The Jam), mówiąca o wyobcowaniu w „zimnym” mieście. Londyn Wellera pokrywał się z *moimi* obserwacjami. Drugie hasło to „Sticky Fingers”. To tytuł płyty *The Rolling Stones* oraz nazwa knajpy, której właścicielem jest Bill Wyman. Pracowałem tam cztery dni i zostałem po tych czterech dniach wyrzucony, jako że podałem się za kogoś o długim doświadczeniu w pracach kuchennych – kimś takim nie byłem. W „Sticky Fingers” trzeba było dobrze i szybko pracować, a ja byłem na to za słaby. Irlandczyk będący szefem kuchni rozpoznał moje prawdziwe umiejętności – za często zaciniałem się w palce. Nieźle tam płacili, był to w ogóle snobistyczny lokal. „Sticky Fingers” przy High Street Kensington rywalizowała ze słynną Hard Rock Cafe, miejscem o długiej tradycji. Bill co prawda się w swojej knajpie nie pojawiał, ale w ciągu tych czterech dni mojej pracy gościła m.in. grupa Queen ze świętej pamięci Freddie Mercuryem. Wyman



był jednak obecny duchem: ciągle ktoś podrzucał gazety z relacjami z trasy „Steel Wheels” ze Stanów, mówiło się też ciągle o jego pożyciu z Mandy Smith, z którą właśnie się w końcu ożenił (wesele odbyło się właśnie w tym lokalu). Knajpa była droga, żarcie raczej normalne, różniło się tylko ceną i nazwą – np. deser nazywał się „Brown Sugar”, a cocktail „Honky Tonk Woman” i kosztował trzy razy więcej niż gdzie indziej. Na ścianie wisiały jednak złote płyty Stonesów i ich stare plakaty – za to się płaciło. No, ale na pracownika „Sticky Fingers” byłem za słaby, firmowej koszulki nie dostałem, spławiono mnie po tych czterech dniach, za które jednak uczciwie zapłacono.



*In London*

Trzecie londyńskie hasło to „Shane McGowan”. Dostałem odjebu na punkcie The Pogues, których zacząłem oporowo słuchać. Obok Clashu i Slade są oni ukochaną kapelą londyńskiego proletariatu. Puby zdominowane przez Irlandczyków rozbrzmiewały piosenkami The Pogues, których teksty i mi bardzo się spodobały. Niestety nie trafiłem na ich występ. Szkoda, bo obecnie Shane McGowan nie śpiewa już w The Pogues, jak wiadomo powszechnie zastąpił go Joe Strummer z The Clash.

Z koncertów, które widziałem największe wrażenie zrobili na mnie The Cult i Aerosmith. Bardzo zawiodłem się natomiast na Ramones. Widziałem też Big Audio Dy-

namite Micka Jonesa i Havana 3 am Paula Simonona, ale nie był to Clash, choć udało mi się usłyszeć „Guns of Brixton” w oryginalnym niby wykonaniu – teraz zresztą gramy go z T.Love. Obejrzałem też The Jesus And Mary Chain.

W sumie był to kształcący wyjazd. Chętnie wróciłbym tam jeszcze kiedyś, bo pomimo przygniatającej nudy Londyn poprzez swój kosmopolityzm ma w sobie coś niepowtarzalnego, coś co jednak ciepło wspominam. Co do muzyki, to trafiłem widać na taki moment gdy nawet prężne indies niewiele miały do zaproponowania, może poza gwiazdką z Manchesteru jaką byli wówczas Stone Roses. No cóż, ja zarobiłem trochę pieniędzy, kupiłem telewizor, sprzęt grający i na dwa tygodnie przed urodzeniem przez Martę Janka zjawiłem się z powrotem w Polsce.



*Ja & Janek*

## SZMALCZYK

W pierwszym okresie istnienia T.Love podziałowi pieniędzy przyświecał jasno duch egalitaryzmu. Nie nagrywaliśmy jeszcze wtedy płyt i nie było problemów z podziałem kasy. Pieniądze za występy dostawaliśmy wszyscy takie same. W 1982 r. 400 złotych na głowę za koncert w „Remoncie” wydawało się nam przyzwoitą sumą, zawodowe zespoły brały wtedy po kilka tysięcy...

Będąc studentem żyłem z pomocy rodziny, początkowo muzyka nie była na pewno moim źródłem utrzymania, zresztą nie mogła nim być.

Studiowałem w latach osiemdziesiątych, które były okresem rozkwitu spółdzielni studenckich. Przez cztery godziny pracy na „zlecenie” z takiej spółdzielni zarabiał się trzy razy więcej niż wynosiła wówczas dniówka w normalnym zakładzie pracy. Jako jednak nie otrzymywałem stypendium, przez długi czas utrzymywałem się z pieniędzy, które dawali mi rodzice, jednak po paru latach musiałem się usamodzielnic. Najdłużej (w r. 1987–88) pracowałem jako stróż w cieciovce na Targówku. Pilnowałem bazy transportowej, zajmowałem się głównie podnoszeniem łańcucha aby przepuszczać prowadzone przez pijanych kierowców ciężarówkę. Do moich obowiązków należało zapisywanie numerów rejestracyjnych wpuszczanych samochodów, była to mimo wszystko wkurwiająca praca, bardzo odmóżdżająca. Przynosiła ona jednak niezłe pieniądze, parę razy stróżował tam również Kazik Staszewski.

Kiedy pojawiła się perspektywa nagrania czegoś, postanowiliśmy, że pieniądze nam należne podzielimy równo, albowiem domyślaliśmy się, że to właśnie ten problem mógłby nas poróżnić. Tak stało się gdy zarejestrowaliśmy „Zabijankę” na składankę; piosenka została zgłoszona do ZAiKS-u jako dzieło zbiorowe sześciu osób, choć w rzeczywistości tekst był mój, a muzyka Janka i Andrzeja.

Podobnie działo się przy nagraniu singla. Nie stanowiło to jednak jeszcze problemu, bo i pieniądze były nadal niewielkie. Jeżdżąc na koncerty nikt z nas nie miał wtedy ambicji odłożenia czegoś z zarobionej kasy na później. Na

koncert jeździło się tak jak na balangę. Honoraria za występy rosły razem z inflacją i wzrostem naszej pozycji w muzycznej branży. Kiedy w 1984 r. zarobiłem za koncert w „Gwarku” w Gliwicach 2500 zł mogłem już przez trzy dni szlajać się po knajpach w Krakowie. Rekordową stawkę 6000 zł na głowę dostaliśmy za występ na Rock Opolu 85. Pieniądze wydałem w Kazimierzu Dolnym na Festiwalu Kapel Ludowych z Andrzejem, Jankiem i Koniem.

Festiwal Kapel Ludowych to była wspaniała impreza. Przyjechali muzycanci z całej Polski, karnawał trwał od rana do nocy w potokach piwa. Koniu nawet zagrał z jakąś chłopską kapelą (bodaj spod Łowicza) na kontrabasie i wszyscy byli bardzo zadowoleni. Szczytem zabawy było zakupienie przez nas korkowców i wkroczenie z nimi do knajpy „Rynkowa”, gdzie zaczęliśmy z nich strzelać. Kierownik lokalu nie miał jednak dość poczucia humoru i wezwał milicję. Trafiliśmy na komisariat, gdzie zdecydowano się skierować naszą sprawę na kolegium. Jankowi udało się jednak wykupić nas obrazkiem. Myślę, że dziś komisariat w Kazimierzu ma bardzo ładną już galerię obrazków Janka i innych artystów o nieokiełznanym temperamencie. Nam groziło bodaj jakieś zaostrome kolegium do 50000 zł, taka była wtedy siła nabywca.

Poważne myślenie o śpiewaniu jako głównym źródle utrzymania zaczęło się u mnie dopiero dwa lata później. Mieliśmy coraz więcej lat, pojawiały się dookoła rodziny, wreszcie w 1988 r. po nagraniu „Wychowania” skończyliśmy z egalitaryzmem, wprowadzając podział pieniędzy mniej więcej zgodny z wkładem w dzieło. Pojawiła się spółka Zeńczewski–Staszczyk, która skasowała największe honoraria. Mieliśmy już pewne doświadczenia po „Miejscowych–live” (materiał sprzedaliśmy latem 87 „Razem” za pół bańki) kiedy zróżnicowaliśmy wypłaty dla „trzonu” stałych członków zespołu i muzyków grających gościnnie. W każdym razie Zając i Koniu dostali za „Wychowanie” już mniej ode mnie i Andrzeja, co stało się później powodem rozżalenia Konia, mającego skądinąd słuszne mniemanie o sobie jako jedynym zawodowym muzyku w zespole.

Pieniądzy za „Wychowanie” nawet nie zobaczyłem. Odebrała je moja żona Marta, jesienią 1989, kiedy ja przebywałem w Londynie. Szalała inflacja, Marta kupiła regał i chyba tapczan, tak więc pieniądze nie zmarnowały się.

Kiedy po powrocie założyłem z Jankiem Benedkiem nowy T.Love wprowadziliśmy dyktaturę finansowo-artystyczną, traktując siebie jako bezwzględnych szefów. Jest to układ zawodowy, my stanowimy trzon oficjalnie. Pozostali muzycy muszą się zgodzić na naszą dyktaturę, mówimy im to na początku. Demokracja była niestety na dłuższą metę niezdrowa.

Teraz jakieś pieniądze są, jakoś utrzymuję się z grania. Jednak będąc liderem jednego z popularniejszych zespołów w Polsce nadal żyję dość skromnie. Mity o wielkich pieniądzach w polskim rock'n'rollu są niestety fałszywe. Muzycy są i będą oszukiwani przez wydawców, a na dodatek okradają nas piraci nie płacący tantiem od nielegalnie kopiowanych kaset. Być może dla kogoś pieniądze rzędu 900 tysięcy na głowę za koncert (marzec 92) są duże. Jednak będąc na trasie trzeba się za nie utrzymać, spać w hotelu, jeść w knajpie, a poza tym ile można zagrać tych koncertów w miesiącu? Cztery – sześć – maksimum, to już nie jest rok 1982, kiedy zespoły grały 300 koncertów rocznie, jak np. Lady Pank. Obecnie przychodzi na nas przeciętnie 300–400 osób (raz więcej, raz mniej), może przychodziłoby więcej, ale nasilenie debilnej przemocy i wysokie ceny biletów odstrasza. Jesteśmy dość drogim zespołem: sześciu muzyków, menadżer, własny akustyk – bo chcemy dobrze brzmieć na żywo. Kiedyś było łatwiej bo do imprez w klubach studenckich dopłacano – z puli państwowej i dyskotek. Ale komuna się skończyła, więc pieniądze też są inne.

Czasem pada pytanie w wywiadach „Tekściarz? A, no tak, skończyłeś polonistykę”. Z tą polonistyką wyszło tak, że napisałem podobno najlepszą maturę z polskiego w szkole – wybrałem wolny temat, mogłem łąć wodę, to się chyba nazywało „Niepokoje w literaturze XX w”.

Wybierając się na studia miałem do wyboru dwa kierunki: – historię bądź polonistykę – i dwa miasta. Miałem 19 lat, mieszkalem z rodzicami w małym M3 w bloku. Prowadziłem już bardzo balangowy tryb życia i pomyślałem, że na odległość będziemy się z rodzicami kochać bardziej. Mogłem studiować w Krakowie, albo w Warszawie. Z Krakowem nic mnie nie wiązało, oprócz tego, że pojechał tam zgłębiać ekonomię Słoniū, który bardzo mnie namawiał abym mu towarzyszył. Warszawę znałem jednak lepiej, poza tym kojarzyła mi się z większą aktywnością muzyczną – tu były kluby, koncerty, firmy nagraniowe, redakcje. Moze nie myślałem o tym, aż tak mocno, ale była to na pewno istotna przyczyna. Padło więc na Warszawę i w lipcu 82 zdałem na polonistykę na UW.

Byliśmy pierwszym rocznikiem, który rozpoczął studia po wprowadzeniu stanu wojennego. Na wydziale panowały klimaty bogoojczyźniano-polonistyczne. Istniała moda na podziemie, a idolem był oczywiście Jacek Kaczmarski, a nie rock'n'rollowcy.

Dla mnie przez prawie całe studia Uniwersytet znajdował się gdzieś na dalszym planie. Żyłem głównie kapelą i życiem towarzyskim w akademiku. Studentem byłem o tyle o ile. Ważny był pierwszy rok, trzeba było pozdawać wszystko, żeby nie wylecieć, kiedy się to udało mogłem sobie odpuścić. Odtąd zawsze miałem problemy z zaliczeniami kolejnych sesji i lat, choć przyznam, że egzaminy kierunkowe z literatury traktowałem bardzo poważnie, a u nieżyjącej już pani prof. Grabowskiej zdałem romantyzm na cztery plus.

Mój rok był nudny. Przeważały panienki (syndrom polonistyki), kujony. Nie były specjalnie lotne, ale miały perfekcyjne notatki. Moje koleżanki dziś uczą zapewne w szkołach, albo są dobrymi żonami i matkami dzieciom.

Poza panienkami studiowało ze mną też paru smutnych kołesi. Planowo doszedłem do III roku, na którym utknąłem na trzy lata. Od tego czasu trudno było powiedzieć, na którym roku jestem, stałem się trochę „wolnym strzelcem” i chodziłem na wykłady różnych lat, gdzie spotykałem młodszych kolegów, ciekawszych od tych z mojego roku. To już nie byli łącznicy AK pijący wódkę, słuchający Kaczmarek czy Perfectu i rozdrapujący martyrologiczne rany, wchodziło pokolenie grassowo-kontestujące, bardziej rock'n'rollowe.

Wtedy też poznałem Mirka Pęczaka, socjologa kultury, choć na zajęcia z kultury na I roku chodziłem do przeszłego ministra, Michała Boniego. Usłyszałem, że jest na polonistyce asystent, który chodzi na koncerty rockowe i w ogóle jest bardzo wyluzowany. Mirek przypominał wtedy hipisa, chodził w zielonym płaszczu, czerwonym szalik i punkowych ciężkich butach. Któregoś dnia zaczepił mnie na korytarzu i poprosił żebym przyniósł mu kasetę ze swoimi nagraniami, bo jest u niego kolega z Francji, no i żebym w ogóle do niego wpaść. Wpadłem do niego, wyszedłem chyba rano i tak się nasza przyjaźń zaczęła. Trwa ona do dziś. Później na Katedrze Kultury, której Mirek jest pracownikiem, napisałem pracę magisterską, promotorem był prof. Roch Sulima.

Co do Mirka, to sporo mu zawdzięczam. W zeszłym roku Mirek pełniący wówczas funkcję zastępcy red. nacz młodzieżowego dwutygodnika „Atak” zaproponował mi tam pracę. Zadebiutowałem jako gryziopiór, piszący oczywiście o muzyce. Dzięki Mirkowi miałem więc przez jakiś czas względne spoko finansowe. Niestety pismo padło, po części z winy wydawcy, niejakiego Larrego. Na uniwersytecie Mirek służył mi często pomocą w sprawach dziekanatowo-zaliczeniowych, jako że angażując się głównie w kapelę nie byłem dobrym studentem.

Oj, nie byłem dobrym studentem. Dwa razy zostałem skreślony z listy studentów, raz na dwa miesiące, raz na rok. Stosunki z paniami z dziekanatu miałem początkowo wojenne, aby wreszcie, po ośmiu latach przejść w co najmniej przyjazne, tak, że na koniec przynosiłem im nawet swoje płyty, szczególnie pani Basi.

W gruncie rzeczy wspominam polonistykę ciepło. To nie jest jakiś konkretny wydział, nie daje żadnego konkretnego zawodu, poza możliwością uczenia w szkole. Ludzie studiujący tam w swej masie też byli tacy niepoważni, naiwni, ale dawało to jakiś sympatyczny klimat: kolesie z płonącymi oczami gotowi polec za chwilę na jakiejś barykadzie i bardzo dużo ładnych dziewcząt, które chciałyby zostać sanitariuszkami w jakimś powstaniu. A propos – bardzo dużo znajomych zyskałem przy okazji Studium Wojskowego, do którego zaliczenia podchodziłem trzy razy, rok po roku. Była to czysta groteska.

Przez studia obracałem się w dwu środowiskach. Kiedy miałem dość atmosfery uniwersytetu i przechwalania się kto co ostatnio przeczytał, szedłem do Hybryd, co na dłuższą metę męczyło swym rockowym schematyzmem: pijemy piwo i palimy trawę, więc wracałem na uniwersytet żeby sobie pogadać o książkach. Czytałem zatem ich dużo więcej niż ci, którzy siedzieli ciągle w Hybrydach, oraz gazowałem i grassowałem więcej od kolegów intensywnie studiujących polonistykę. Udane połączenie przyjemnego z... bardzo przyjemnym.

Największe problemy miałem z przedmiotami gramatycznymi. Z gramatyki opisowej dostałem dwóję, którą poprawiłem dopiero na IV roku (oczywiście znowu za wstawienictwem Mirka). Udręką były dla mnie też przedmioty pedagogiczne, a już najbardziej obawiałem się obowiązkowych praktyk w szkole, jako że miałem ciągle kłopoty z tzw. metodyką nauczania. Obejmowała ona przygotowania do zawodu nauczyciela – polonisty. Czuliłem się tylko w pewnym sensie polonistą, a już zupełnie nie przyszłym nauczycielem. Myśl o zbliżających się nieuchronnie praktykach męczyła mnie strasznie, nie byłem w tym odosobniony, jako że moi znajomi podzielali moje obawy. Praktyki były rzeczą, której w żaden sposób nie udało się ominąć.

Pierwsza faza obejmowała szkołę podstawową. Przydzielono mnie do podstawówki położonej dwa kroki od Kica, gdzie miałem nauczać dzieci Grochowa, dla których wcześniej grałem tylko koncerty. Największą zgrozą była dla mnie tzw. lekcja pokazowa, która miała stanowić finał

praktyk – polegający na ocenie umiejętności studenta przez uniwersyteckiego belfra. Początek praktyk okazał się jednak całkiem przyjemny. Przed pójściem do szkoły, a ten dzień pamiętam, było to we wrześniu i świeciło słońce, wypaliłem dużą ilość jointów z Runiem na ławce w okolicach knajpy „Osiedlanka” i niczym skowronek rozchadzany od ucha do ucha pobiegłem nauczać. Kobiety w pokoju nauczycielskim przywitały mnie bardzo serdecznie, być może dlatego, że byłem jedynym mężczyzną w gronie praktykantów. Przyjąłem zasadę: będę poważny i będę udawał mocno zainteresowanego tematem, choć naprawdę, teraz mogę to powiedzieć, miałem to gdzieś, a głównym moim marzeniem był dzień kiedy otrzymam wpis do indeksu zaliczający mi praktyki. Spodziewałem się co najwyżej trójki, byle to zaliczyć. Grassik pomógł, wyluzowałem się nieco i konwersacja z paniami nauczycielkami szła niezle. Strzeliłem kilka barwnych opowieści z podwórka UW na zasadzie „znam tego, miałem z nim zajęcia”, o co panie skwapliwie wypytywały. Grochowska podstawówka okazała się całkiem liberalna – pierwszego dnia nie musiałem w ogóle prowadzić żadnej lekcji – był to poranek zapoznawczy. Następne dni zeszyły na złapaniu kontaktu z dziećmi. Na szczęście w szkole podstawowej jeszcze tak wiele się nie czyta i moja znajomość historii literatury okazała się wystarczająca. Dzieciaki nie przejawiały większego zainteresowania przedmiotem, co z jednej strony nawet mi pasowało, lecz z drugiej nastęczało pewnych kłopotów. Nie mogłem okiełznać wszechobecnej anarchii polegającej na puszczaniu samolocików z papieru i kompletnym – choć powiem szczerze, że sympatycznym – olewaniu mojej osoby. Przyjąłem taktykę niesrogiego luzaka:

— Słuchajcie, musimy sobie pomagać. Ja będę tutaj tylko dwa tygodnie, potem sobie pójdę, zależy mi jedynie na tym żebyśmy sobie nie przeszkadzali. Nie będę taki zły.

Po tym tekście już po zakończonej lekcji zostałem nieco zbesztany przez panią nauczycielkę, która asystowała mojemu wykładowi. Podstawowym zarzutem był brak stanowczości. Według niej powinienem był ostro zareagować na figle i zdecydowanie skarcić uczniów. Powiedzia-

łem jej parę słów o mojej hipisowskiej naturze i, że muchy bym nie skrzywdził, a także o tym, że co jak co, ale karce nie kogokolwiek nie leży zupełnie w moim charakterze. Wytłumaczyłem jej także to, że nauczycielem nie zamierzam być w przyszłości na pewno, a zależy mi aby nie było większych zgrzytów między mną, nią, a dziećmi. Myślę, że zrozumiała, co pokazały następne dni. Kiedy byłem już traktowany z przymrużeniem oka jako pan Zygmunt – nauczyciel niezupełny.

Po pewnym czasie zdobyłem sobie sympatię klasy, nie wiem czy wynikała ona z piątek i czwórek, którymi siarczyście obdarowywałem uczniów, czy też po prostu z mojego podejścia do zawodu. Szczególnie pamiętam jedną lekcję, dotyczącą września 39 i wojny w ogóle odzwierciedlonej w literaturze. Mieliśmy przecież wrzesień. Co wiązało się z obowiązkową lekturą martyrologiczną. Wojna naprawdę mało obchodziła moich studentów. Przy temacie „obozy koncentracyjne” jeden z chłopców wywołany przeze mnie do odpowiedzi wstał i rzekł, że słyszał coś nieco o obozach koncentracyjnych, na co wszyscy wybuchli śmiechem i poleciały tradycyjne samolociki. Moja opiekunka tym razem również nie była zadowolona. Jej czary goryczy dopełnił mój nagły śmiech, wynikający z reakcji na nieprzeciętny neologizm dziecięcia Grochowa.

— Panie Zygmunco, to już przesada, przecież wojna to poważny temat. Nie można się śmiać z takich rzeczy — powiedziała mi na przerwie

Odpowiedziałem, że zareagowałem zgodnie z duchem klasy, a poza tym, to czy konieczne jest od lat zatruwanie dzieciakom mózgow tymi wszystkimi okropieństwami? Przecież i tak na siłę nie da się wytworzyć nabożnego stosunku do tematu.

Praktyki odbywały się pod zdecydowanym wpływem dyma. Byłem wtedy w okresie intensywnego smakowania zieleńki, idąc za proroczym songiem Boba Marleya Brylewskiego „Ziele uzdrowieniem narodu”. W pewnym sensie czułem się rzeczywiście uzdrowiony, jako że praktyki szybko zbliżały się ku końcowi. Czekala mnie jeszcze tylko jedna, ostatnia stresogenna próba. Ale Jah raczył aby

szczęście łaskawie uśmiechnęło się do mnie. Okazało się bowiem, że moją wizytatorką będzie pani dr Bartol, chyba najpiękniejsza pani doktor z Wydziału Filologii Polskiej. Miałem z nią wcześniej zajęcia i okazywała mi wiele przychylności.

Tematem lekcji pokazowej, pamiętam, były zdania pojedyncze i złożone. Cały bajer polegał na tym, iż jako morder teacher należało sobie wymyślić patent na wskroś nowoczesny na przeprowadzenie operacji. Powycinałem karteczki ze zdaniami pojedynczymi i złożonymi, rozdałem je dzieciakom. Nie pamiętam co było dalej, dostałem piątkę. Pani dr Bartol powiedziała, że mam bardzo dobry kontakt z dziećmi, co mnie bardzo zdziwiło, jako że nigdy nie byłem fanem dzieci. Poza tym dodała, że merytorycznie było całkiem OK. Pomyślałem sobie, że muszę podziękować Jah wypalając kolejne tony zielska z kapłanem Runiem. Praktyki zakończyły się mini bankietem w pokoju nauczycielskim, który później przeniósł się do pokoju moich koleżanek z Kica. Towarzyszyły nam dwie panie nauczycielki, pączki i pewne ilości mołdawskiego wina deserowego „Lidia”, albowiem wina radzieckie pojawiły się jesienią 86 na fali pieriestrojki w warszawskich sklepach.

Podczas rauciku moje koleżanki niechcący zdradziły paniom nauczycielkom, iż tak naprawdę to ja szarpidrut. Wywołało to duże zainteresowanie. Akurat wtedy „Marszyciele” do radia wchodzili, a nazwa T.Love w mediach funkcjonować zaczynała. Już zupełnie wyluzowany sprzedałem długi monolog na temat dualizmu jaki narodził się w mojej duszy, z powodu bycia studentem i rockmenem, dodając zresztą nie do końca szczerze, że na obu rzeczach zależy mi tak samo. Finał moich praktyk zbiegł się z bardzo dobrym koncertem T.Love na Róbrege.

Następnym etapem zdobywania zawodu nauczyciela języka polskiego miały być praktyki w szkole średniej. Jako mniej kumatego, nie nadającego się do dyskursu z licealistami (tak sądzili moi uniwersyteccy nauczyciele metodyki), skierowano mnie do technikum (bodaj mechanicznego?) na Saskiej Kępie, dwa kroki od rezydencji mojego uczelnianego cicerone, Mirka Pęczaka. Ponieważ pano-

wała opinia, iż polonistyczna świadomość uczniów technikum jest nieco mniej rozwinięta, moi opiekunowie doszli do wniosku, że powinienem sobie dać radę, choć sukcesów mi nie wrócono (słusznie). Znowu byłem zestresowany, tym razem znacznie bardziej. Stałem przed poważnym zadaniem. Jah nie był już tak łaskawy, była zima, i jak wiadomo wszystkim wtajemniczonym, jest to czas względnej posuchy towarowej, a poza tym wychodziłem już z okresu Rastafari stając się Prawdziwym Polakiem preferującym only prawdziwe napoje prawdziwych face-tów.

Na pierwsze spotkanie poszedłem jednak zupełnie czysty. Zdołowali mnie od razu oficjalnym, zimnym przywitaniem i bardzo rzeczowo-natrętnymi pytaniami jednego z belfrów namiętnie chcącego sprawdzić moją polonistyczną wiedzę. Zapytał bodajże o rok wydania „Ogniem i mieczem”. Zbaraniałem, przecież nawet u nas na uniwersytecie nikt na maksa nie wkuwał dat. Wiedzy takiej nie wymagano też ode mnie w liceum, skądinąd imienia Henryka Sienkiewicza. Usłyszałem cierpkie słowa, że studenci lekceważą sobie w dzisiejszych czasach sprawę taką jak praktyki, w końcu rzecz najpoważniejszą na całych studiach. Były ze mną jeszcze jakieś dziewczyny ze szkoły, które doskonale złapały kontakt z paniusiami nauczycielusiami i doskonale zaaklimatyzowały się w atmosferce przesyconej kawką, herbatką i ploteczkami. Tymczasem ja, niczym fan Curtis, przeżywałem duchowe katusze i lęki egzystencjalne. To było coś strasznego. Teoretycznie uchodzący za człowieka z tupetem i tzw. duszę towarzystwa, a także bezczelnego frontmena stałem się zdołowanym szarym żuczkiem, błakającym się niczym Józef K. w labiryncie korytarzy technikum (bodaj mechanicznego).

Od samego początku szło mi beznadziejnie. Czerwieniłem się, byłem roztrzęsiony, nie mogłem wydukać ani słowa mimo, iż uczniowie w przeważającej części chłopaki nie należeli do specjalnych intelektualistów i nie męczyli mnie super mądrymi pytaniami. Momentem przełomowym okazała się lekcja gramatyczna, kiedy wykazałem się kompletną nieznaną rodzajem dopełnień,

o których wiedzę miałem przekazać klasie. Nerwy zrobiły swoje, zacząłem się kompletnie płatać i w nastroju zupełnego załamania nerwowego, nie wiem jakim cudem, dotrwałem do dzwonka.

Po lekcji moja opiekunka, tym razem bardzo sroga i sucha pani. pałaca niesamowitą ilość papierosów krajowych, których wonią była przesiąknięta (a jak wiadomo palenie tytoniu czyni ludzi mniej wrażliwymi na krzywdy bliźnich). stwierdziła, że w zasadzie to powinienem sobie dać spokój, ponieważ w chwili obecnej zaliczenie przeze mnie praktyk stoi pod wielkim znakiem zapytania. Nie mając wpływu na taki bieg rzeczy i na to, że człowiek człowiekowi wilkiem, zdecydowałem: Bez łaski. Muszę sobie radzić sam. Doszedłem do wniosku, że ostatnią deską ratunku będzie moje rodzinne święte miasto i moja ukochana szkoła średnia.

Problem polegał na uzyskaniu pozwolenia odbycia praktyk poza Warszawą. Musiałem się mocno napocić wymyślając różne historyjki na temat moich psychicznych bloków w kontakcie z uczniami technikum. Dodałem jeszcze do tego story o trudnym dzieciństwie i trudnej osobowości. W końcu udało mi się przekonać metodycznych decydentów i uzyskałem glejt straight to IV LO.

Wsiadłem w pociąg pośpieszny i po trzech i pół godzinach niczym pielgrzym wysiadłem na częstochowskim dworcu, którego centralny punkt stanowi ohydny blaszak w stylu późnego Gierka na rzecz którego zburzono kiedyś bardzo ładny stary budynek pamiętający czasy kolei warszawsko-wiedeńskiej. Moje public relations w rodzinnym miasteczku były zawsze OK, tak i tym razem w macierzystym liceum okazano mi zrozumienie. Przecież jeszcze nie tak dawno temu byłem jednym z uczniów tej szkoły i nawet napisałem o niej piosenkę. Za zasadzie bezczelności wparowałem do pokoju nauczycielskiego i jak ze starymi znajomymi przywitałem się z niepełnym gronem pedagogicznym. Trafiłem na polonistkę, panią Przesłańską, z którą wcześniej nigdy nie miałem lekcji. Znaliliśmy się tylko z widzenia. Było mi bardzo przykro, że nie mogłem spotkać się z moim wychowawcą, Marianem Kucharskim, który już wtedy był człowiekiem mocno scho-

rowanym i umarł parę miesięcy później. Opowiedziałem szybko swoją dramatyczno-gramatyczną historię, prosząc o pomoc. Dodałem, że w zasadzie to nie mam za dużo czasu, wie pani obowiązki rokendrolowo-szkolne i tak naprawdę fajnie byłoby sobie uwierzyć na słowo, bo po co męczyć młodzież, zresztą i tak już wtedy wiedziałem, że swojej przyszłości na pewno nie związę z kredą i tablicą. Pani Przesłańska, pełniąc wówczas funkcję zastępcy dyrektora szkoły, znalazła się w sytuacji nieco trudnej, ale w końcu oznajmiła: Pomożemy. Pomogli. Praktyki odbyłem, no może nie do końca, zaliczyłem. Tak wyglądał jeden z bardziej dramatycznych etapów mojej kariery uniwersyteckiej.

Czy coś mi dał uniwersytet? Myślę, że moja wiedza była głębsza przed maturą, gdybym został dziś zapytany o coś z literatury średniowiecznej nie byłbym w stanie udzielić odpowiedzi. Doświadczenia uniwersyteckie jakie mi było dane przeżyć były raczej „życiowe” niż „intelektualne”. Nigdy nie czułem się „studentem” w pełnym znaczeniu tego słowa, ale takich jak ja było więcej wśród warszawskich muzyków. Ale i ja właściwie nie czuję się magistrem.

Temat swojej pracy wymyśliłem sam. z tym, że myślałem, iż podbuduję historię działalności grupy rockowej w latach 80. trochę mocniej teorią kultury. Profesor Roch Sulima odwiódł mnie nieco od tego pomysłu, wobec czego moja praca magisterska była przede wszystkim opisem działalności T.Love. w określonych warunkach społeczno-politycznych. Być może jako folklorysta chciał się posłużyć mną jako naturszczykiem. Takie prace są podobno najczęściej wypożyczane w bibliotece wydziałowej. Prof. Sulima nie trzymał nade mną też bata. przez co od pomysłu do realizacji minęły ze cztery lata, ale w końcu dzieło powstało i ta książka w poważnej części się na nim opiera.

## VIDEO

Wszystkie nasze klipy uważam za udane – oczywiście w miarę możliwości producencko-finansowych, ale dopiero teledysk do „Prawdziwych kochanków” był pierwszym, którego realizacja skorelowana została z promocją piosenki i zawierającej piosenkę płyty. Nigdy przedtem coś takiego nam się nie udało.

Po raz pierwszy styczność z kamerą mieliśmy podczas produkcji filmu „My Blood Your Blood” kręconego dla BBC w 1986 roku. Angolicy chcieli mieć film o polskim rocku i jego egzotyce. Chełstowski, który był współproducentem obrazu, zapragnął pokazać światu Jarocin jako największy festiwal rockowy w Europie Wschodniej. Wśród kilkunastu zespołów wybranych do udziału w filmie znalazł się i T.Love Alternative z „Zabijanką”, wówczas jedynym naszym profesjonalnie nagrany kawałkiem.

Większość zdjęć do filmu kręcono na festiwalu, gdzie nie występowaliśmy. Walter zdecydował, że sekwencję z naszym udziałem zrealizuje w Warszawie, a dokładniej na Ursynowie, tam – na tle bloków – mieliśmy odegrać nasze role. Wszystkie kapele wystąpiły w filmie za symboliczną złotówkę, jako że promocja na Zachodzie itd. Wynagrodzeniem miały być kasety video, po jednej sztuce dla każdego zespołu, należały się nam także honoraria autorskie za wykorzystane utwory, czego dopilnować miał ZAiKS. Mimo, że film pokazywano w kilku telewizjach europejskich, USA i Kanadzie, żadnych pieniędzy nie urzeliśmy do dziś.

Wstępem do zdjęć był obiad w knajpie SARP-u na Foksal, wystawiany przez Angoli na cześć polskich rockmenów. Była wódka, schabowy, stoły się uginały i podczas konsumpcji bardzo przystojna młoda dama na deser podała nam do podpisania umowy wyrażające naszą zgodę pracy za darmo. Pijany Koniu próbował wdać się w konwersację z Angolami, podnosząc kieliszki jeden po drugim i krzyżąc „Cheers!” po norwesku. Angole z wrodzoną udawaną uprzejmością przyjmowali toasty, sami wypija-

jąc jedynie drobinę szampana. Podstawiono autokar, który zawiózł nas na Ursynów. Podczas teoretycznie krótkiej trasy, która wcale taka krótka nie była, Chełstowski wyjaśnił nam koncepcję teledysku, którą jak twierdził sam wymyślił wcześniej z Anglikami. Mieliśmy stanąć z instrumentami na górze na tle wspomnianego blokowiska, jako symbolu polskiej gospodarki mieszkaniowej w czasach komuny. Piosenka nazywała się „Zabijanka” w związku z czym ja, jako mistrz ceremonii miałem przytulać do piersi lalkę, imitującą małe dziecko aby w pewnym momencie wrzucić ją do ognia. Nie uważaliśmy tego pomysłu za genialny, ale nie było czasu na wymyślenie innego. Andrzej, któremu miesiąc wcześniej urodziła się córka, poprosił mnie abym wytłumaczył Walterowi i Angolom, że ma on w domu dużą drewnianą kołyskę, która mogłaby nieźle zagrać w klipie. Pomysł kupiono, kołyska została przywieziona od Andrzeja, który także mieszkał na Ursynowie.

Zdjęcia trwały kilka godzin. Pierwszy raz wtedy zetknąłem się z playbackiem i miałem duże kłopoty z synchronizacją ruchów ust z tekstem piosenki. Ponieważ w piosence na saksofonie grał Piotr Malak, który wówczas opuścił nas udając się na leczenie do ośrodka Monaru w Bieszczadach, należało coś zrobić z tym instrumentem. Ostatecznie grę na nim imitował Koniu, a bas trzymał w dłoniach ówczesny drugi gitarzysta Jarek Kowalski. Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć dziś, że obok Kosmetyków Mrs Pinky i reggaeowej kapeli RAP nasz fragment stanowił mocniejszy punkt filmu, który choć nieco nudnawy, ma dziś charakter wartościowego dokumentu.

Prawie trzy lata później, w lutym 1989 po nagraniu drugiego LP „Wychowanie” postanowiliśmy nakręcić teledysk do tytułowej piosenki. Był on pomysły jako pilot płyty, która według zapewnień szefów Polskich Nagrań pojawić się miała wiosną. Studenta II roku reżyserii łódzkiej szkoły filmowej, Łukasza Zadrzyńskiego wymyślił Gąsior, pełniący wówczas funkcję naszego menadżera. Pieńiądze na realizację wyłożył warszawski Alma-Art, któremu po odejściu z Hybryd szefował Gąsior.



Z Łukaszem spotkaliśmy się w knajpie „Tokaj”. Znal on wcześniej nasze kawałki, a „Wychowanie” darzył szczególną sympatią. Ku mojemu i Andrzeja zadowoleniu Łukasz zdecydował się kręcić na czarno-białej taśmie filmowej, dającej pożądaną, profesjonalną fakturę obrazu. Taka koncepcja produkcyjna dawała szansę na uniknięcie koszmaru telewizyjnych klipów realizowanych na taśmie wideo. Największym problemem było znalezienie miejsca do wykonania pomysłu Łukasza. Wymyślaliśmy różne plenery, ale w końcu Łukasz doszedł do genialnego wniosku, że najlepszym będzie dach jego kamienicy na ulicy Litewskiej przy teatrze „Syrena”. Dach łyknęliśmy z mety. Doszło do tego jeszcze przepiękne podwórko-studnia przy ulicy Mokotowskiej, również pomysł Łukasza – tam nakręciliśmy pierwsze sekwencje klipu. Budżet zamkał się sumą 800 tysięcy ówczesnych złotych, ponad 10 przeciętnych pensji. Koszt taśmy był nieco zanizony, korzystaliśmy ze szkolnych układów Łukasza.

Zdjęcia trwały dwa dni, najwięcej kłopotów sprawiło nam wniesienie instrumentów (zwłaszcza bębnow i klawiszy) na dach. Drugiego dnia spóźniliśmy się na plan po balandze z operatorami, co spowodowało wkurwienie naszego reżysera, a także sparaliżowało ruchy aktora Konia, który na kacu dostał lęku wysokości. Najfajniejszą sekwencją był moment kiedy niespodziewanie wiatr zerwał mi kapelusz z głowy, co szczęśliwie zostało uwiecznione.

Po ukończeniu zdjęć z nadzieją czekaliśmy na szybki montaż w telewizji, co miał załatwić Gąsior. Niestety, oczekiwania nasze trwały prawie pół roku. Piosenka dawno zdążyła spaść z listy przebojów, zespół rozpadł się, ja wyjechałem do Anglii. Płyta ukazała się już pod moją nieobecność, a teledysku jak nie było tak nie było. Oficjele z telewizji tłumaczyli niemożność montażu przygotowaniami do pamiętnej kampanii wyborczej w czerwcu 89. Premiera niepełnego obrazu miała miejsce dopiero po moim powrocie z Anglii, a montaż ukończono na dobre jeszcze później, gdy już grałem z Benedkiem...

Po nagraniu „Pocisku miłości” staraliśmy się rozpaczliwie nakłonić którąś z firm (każdy nośnik wydała inna) do sfinansowania teledysku promującego album. Nie udało

się to jednak. Moim kandydatem na reżysera był oczywiście Łukasz, którego po montażu „Wychowania” uważałem za jedyne z którym można pracować. Miał on również swoje wymagania finansowe, które wg szefów Bra-wa, Poltonu i Arstonu były zbyt wygórowane. Z miesiąca na miesiąc obiecywano nam, że może w końcu znajdą się pieniądze, ale nic z tego nie wynikało.

Po radiowym sukcesie „Warszawy” Kuba Wojewódzki zaproponował skrócenie kilku sekwencji do piosenki i emisję w „Rokendrolerze”. Zgodziliśmy się, choć z góry było wiadomo, że wyjdzie z tego biedniacki, kręcony na video obrazek, którego teledyskiem nazwać nie można. Okazał się on jednak genialnym dziełem wobec niespodzianki jaką zgotował nam Warszawski Ośrodek Telewizyjny montując do „Warszawy” przypadkowe zdjęcia na zasadzie: szkoła w piosence – szkoła w telewizorze, knajpa w piosence – knajpa w telewizorze, a całość okraszona dobrotliwym spojrzeniem Pana Prezydenta. Zupełnie niespodziewanie zobaczyłem to w piątkowym programie WOT-u. Nikt nas nie pytał o akceptację, ani nie powiadomił o zamiarze kręcenia takich ilustracji. Byłem wściekły, albowiem poziom artystyczny był żaden. Próbowaliśmy powalczyć o swoje prawa żądając wstrzymania emisji i odszkodowania – udało się tylko pierwsze, nikt nas nie przeprosił. W rezultacie po paru miesiącach za koszmar spłodzony bez naszej wiedzy przez nieznanego mi do dziś Artystę sam przeprosiłem widzów, korzystając z gościnnych łamów „Gazety Wyborczej”.

Płyta zdążyła się już dobrze sprzedać. Po trasie promującej „Pocisk” gdzie występowaliśmy z kuglarską kapelą z Paryża Les V.R.P. ich lider, przesympatyczny Nery Catineau, będący także twórcą paru francuskich teledysków, postanowił po kosztach własnych sfilmować „Warszawę”. Był to jego ulubiony kawałek z naszego repertuaru. Pieniądze w sumie 10 milionów, będące kwotą minimalną na wynajęcie kamery i zakup taśmy filmowej, wyciągnęliśmy głównie od Poltonu, choć i Arston dołożył swoje trzy grosze. Cała koncepcja była od początku do końca dziełem Neriego i jego wizją pijanej Warszawy z mojego tekstu. Artystycznie przy-po-

minałaonarówniezbardziejkabaretowo–surrealistyczne klipy V.R.P. bądź „Gabinet doktora Caligari” aniżeli propozycje grupy rockowej.

Całość dekoracji z tektury wykonał Neri ze swoją asystentką BeBe, co było bardzo pracowite. W malowaniu makiet pomagaliśmy i my, w ogóle cały klip przygotowany był przez nasz zespół domowymi sposobami. Naszym atelier był strych Janka na Czarnieckiego. Transportując niesamowite ilości tektury z Domu Meblowego na Emilii Plater korzystaliśmy – o zgrozo – głównie z mojego malucha, a także kilku innych samochodów przyjaciół. Kamery i reflektory po cenach zaniżonych wypożyczyliśmy z WFD na Chełmskiej. Neri, jak na profesjonalistę przystało, rozpiął scenę po scenie, a że mieliśmy do dyspozycji tylko jedną kamerę, zdjęcia trwały trzy pełne dni, od rana do wieczora.

Wszyscy oprócz mnie byli poprzebierani za baby, które najwyraźniej zagrali Młody (najlepsza laska na planie – na początku filmu całował mnie i przytulał się do moich kolan) i Janek (dziwka spod przystanku tramwajowego). Ponadto wybitne kreacje stworzyli Romek Kunikowski jako Książdz, basista Paweł Nazimek jako Stalin. Alfons i mała widoczna Bufetowa oraz Miody jako sprzedawca w sklepie nocnym. Ja oprócz Muřka zagrałem Hitlera (grzywkę miałem namalowaną na czole). Był moment, gdy podczas kręcenia poczułem się zupełnie psychodelicznie, jak po zarzuceniu kwasu, a makijaż wydawał mi się czymś tak naturalnym, iż ostatniego dnia zdjęć nie zmywając go poszedłem z Młodym do sklepu nocnego. Jako że byłem tam stałym klientem, kasjer nie wiedział o co chodzi. W ogóle wcześniej Młody jako laska wzbudził moje wielkie pożądanie.

Klip zmontował Neri w Paryżu i wysłał do Polski ekspres pocztą. Doszedł na dwa dni przed rozpoczęciem w Gdańsku festiwalu Yach-Filmów, w ostatniej więc chwili dołączył do grona klipów konkursowych jako nasz drugi obraz po „Wychowaniu”. Na festiwal pojechali Benedek i BeBe reprezentująca nieobecnego reżysera. Dzień przed wyjazdem poszliśmy obejrzeć kasetę przyslaną z Francji. Benedek jako malkontent twierdził, że z takim



*Na planie. Warszawa*

głównem na festiwal nie pojedzie – kopia była bowiem nie najlepsza, dał się jednak przekonać. Teledysk podobał mi się, ale nie wiązałem z nim większych nadziei licząc się z mafijnym rozdaniem nagród, jako, że był to festiwal Zic Zaca i Jacha Paszkiewicza. W poniedziałek rano po zakończeniu imprezy dowiedziałem się, że zdobył Grand Prix, a „Wychowanie” zostało wyróżnione za reżyserię. Trofeum w postaci blachy srebrnej i blachy tekturowej (w kształcie litery Y) i kompaktów przywiózł dumny Janek, zażenowany jak zwykle atmosferą imprezy, którą ocenił jako wieśniacką i robioną przez towarzystwo wzajemnej adoracji. W ten oto właśnie sposób chyba najtańszy polski teledysk wykosił konkurencję. Podobno w czasie projekcji wznoszono okrzyki „Gdańsk – Warszawa – wspólna sprawa!”. Można żałować jedynie tego, że to zwycięstwo nie miało żadnego związku z właściwą promocją płyty.

Nadzieja na powiązanie promocji piosenki, płyty z emisją nowego teledysku pojawiła się dopiero niedawno, przy okazji składanki o takim samym tytule jak ta książka. Jej pilotem był nowy numer „Prawdziwi kochankowie”, do którego teledysk nakręcił znowu Łukasz w wybiegu dla miśków w warszawskim ZOO. Jak na nasze dotychczasowe produkcje budżet „Kochanków” osiągnął rekordową sumę 30 milionów, które wyłożyła firma

Pomaton, wydawca kompaktu i kasety. Kręciliśmy trzy dni w zimnej, lutowej aurze. Tym razem darowaliśmy sobie aktorstwo, głównym celem Łukasza było po prostu pokazanie grającego zespołu. Pozwoliliśmy sobie na wypożyczenie szyn i urządzenia zwanego elemakiem, które umożliwiło dokonanie dynamicznych zdjęć z ruchomej kamery. Gościnnie wystąpiły zaprzyjaźnione z Łukaszem dziewczyny; aktorka i modelka, a także nasza prawie etatowa chórzystka Dorotka.

## WARSZAWA

Cała historia założenia nowego T. Love jest bardzo mocno warszawska i żoliborska. Rozpoczęła się od znajomości z Jankiem Benedkiem, co w końcu doprowadziło do prób u niego w piwnicy na ul. Czarnieckiego, na starym Żoliborzu Oficerskim. Grał wtedy z nami perkusista, który też mieszkał niedaleko, w okolicach placu Grunwaldzkiego – Robert Szambelan. Jeżeli pierwszy T. Love był grupą z IV Liceum w Częstochowie, to ten nowy zespół wiązał Żoliborz, bo wszyscy tu mieszkaliśmy.

Skład kleił się w bardzo trudnym okresie wiosną 1990, w czasie powstawania materiału na „Pocisk miłości”. Byliśmy wtedy taką kapelą z piwnicy, tyle, że trochę lepszą, bo Benedek grał. Ja też już swoje wiedziałem. Nie było nas jednak na rynku. Czułem się zestresowany – czy nam się uda, bo takie przerwy nie robią dobrze. Szło po grudach. Janek był człowiekiem małej wiary, musiałem być pompą i uaktywniać kolegów, wmawiać im, że się uda.

Jedynym punktem wyjścia była piosenka „Warszawa”, tylko ten tekst miałem. Następnie pisałem do gotowych utworów Janka, zrobiłem to w miesiąc, co jak na mnie jest rekordem. Czas poza próbami i spaniem też spędzałem tylko na Żoliborzu, bardzo rzadko wybierając się z tej bezpiecznej enklawy do centrum. Na Uniwersytecie nie miałem już zajęć, choć teoretycznie byłem jeszcze studentem. Mój szlak prowadził z Przasnyskiej przez plac Wilsona na Czarnieckiego, do Benedka. W „Warszawę” wierzyłem najmocniej, wiedziałem, że numer jest tak podobny muzycznie do „Liceum”, że musi zostać dostrzeżony. Byłem pewien jego hitowości, bo pierwszą wersję muzyki sam zrobiłem na basie według nieśmiertelnego schematu: pusta, piąty próg, siódmy próg. Czułem, że Benedek to obrobi i coś z tego będzie. I tak się szczęśliwie zaszębiło, że zagrał on jakieś swoje akordy, a ja skorygowałem wokół. Akordy Janka były teoretycznie inne od moich funkcji basowego prototypu, ale to się jakoś razem dobrze zmiksowało. Benedek uwierzył w całość, mimo wcześniejszych wątpliwości, że jest to klezmerski kawałek, co cenił niżej niż swoje rolingstonowanie. Ale tekst mu się bardzo

spodobał i w ten oto sposób mogła się rozpocząć praca nad „Pociskiem miłości”.

Najwięcej problemów było ze znalezieniem basisty. Przesłuchaliśmy chyba kilkunasu. Po dziesięciu latach znajomości z Koniem zrozumiałem, że nie da się go zastąpić. Przedtem myślałem o nim: fajny chłopak, ale czemu nic nie komponuje. Teraz dopiero rozumiałem jak jego brakuje w zespole – nie jako potencjalnego kompozytora, ale po prostu tego muzyka, basisty z indywidualnością. Koniowi jednak nie wrócił. Ostatecznie na początku przyjęliśmy niejakiego Hipisa – człowieka z Gardenii, którego Benedek bał się wpuszczać do domu, bo Hipis chodził w trampkach i wydawał mu się niechlujny. Skład się ustalił gdy doszedł do nas Jarek Polak (vel Młody), licealista z Chomiczówki grający w zespole Cykada – zastąpił on Roberta Szambelana, który nie mógł się rozdzielić pomiedzy pracą w T.Love i knajpie.

Mieliśmy straszną tremę. Dostawaliśmy propozycje grania koncertów, ale przesuwalimy je z miesiąca na miesiąc. Kapela wciąż nie była gotowa. W końcu zagraliśmy na imprezie organizowanej w czerwcu w Jarocinie – nie był to udany występ. Z próbami przenieśliśmy się do klubu „Forty” na Dzielną – tam w zasadzie zaczęła się robota. Czułem się trochę jak wuj – nie było jeszcze klawiszowca, Romka Kunikowskiego, który jest w moim wieku – wszyscy w kapeli byli młodszy ode mnie. W „Fortach” dotarliśmy się aby wreszcie jesienią 90 wejść do studia i nagrać „Pocisk”, ruszyła machina radiowa.

Pierwszy poważny koncert zagraliśmy na ostatnim Róbrege na Torwarze. Wyszliśmy z twarzą, mimo, że byliśmy bardzo spięci – zwłaszcza Krzysiek Szymański, który grał na drugiej gitarze. Ale się udało, to był dobry występ. Od razu dobrze przyjęto „Warszawę”, a uratowało nas „Wychowanie” – o graniu starych kawałków musiałem zresztą toczyć całą batalię ze swoim zespołem. Tłumaczyłem im, że musi istnieć jakaś ciągłość, choćby ze względów koniunkturalnych. Benedek wysuwał nawet propozycje zmiany nazwy na „Muniek and...” (nie pamiętam co po „and”), a nie T.Love, bo on się nie czuje związany, ale zdołałem mu to wyperswadować. T.Love to marka firmo-

wa jak Blikle albo Wedel. Wtedy wykonywaliśmy ze starego repertuaru tylko „Wychowanie”, „Marzycieli” i „Licium”, potem dochodziły następne, dziś gramy także „Taczankę”, „Bęben”, „Tradycję” i „Kowalskiego”.

Następne koncerty po Róbrege nie były takie świetne. Strasznie kaszaniiliśmy, znów mieliśmy problemy ze starym basistą, odszedł Hipis, na kilka miesięcy dołączył Wolfgang, człowiek z Closterkellera, wreszcie starym basistą został Paweł Nazimek (eks SzPal). Pozostawialiśmy jednak kapelą z Żoliborza i okolic, próby odbywaliśmy u Krzyśka Szymańskiego w Łomiankach, albo nadal u Janka na Czarnieckiego.

„Warszawa” poszła do radia jako druga piosenka, po „Na bruku”, który wielkiego hurra nie zrobił. Zaniósłem taśmę z „Warszawą” do Trójki, puścili premierę, i tego samego dnia zadzwonił do mnie Grzesiek Miecugow:

— Stary, to jest świetne, to będzie hit.

„Warszawa” chodziła odtąd codziennie. Nie wiem tylko czy nie było w tym machlojki. Naszą kasetę wydawała firma „Brawo”, gdzie oficjalnym konsultantem był Marek Niedźwiecki, jego nazwisko drukowano na kasetach. „Brawo” zamieszczało też reklamy w Liście Przebojów Programu Trzeciego. Nagle Niedźwiedź zaczął o nas mówić ciepło, czego dotąd nie robił. Gdy „Warszawa” wchodziła na listę ciągle powtarzał w radiu: To będzie wielki hit. I nie wiem jak to było naprawdę. Chciałem mieć jakiś duży hit. Nie udało się tego osiągnąć nigdy w starym T.Love, „Wychowanie” doszło najwyżej do 4 pozycji wiosną 89. Może gdyby cenzura pozwoliła nam nagrać to trzy lata wcześniej... W grudniu 90, po świętach wyjechałem z Bendekiem na narty w słowackie Tatry. Nie było śniegu, straszna nuda, tani browar non stop. W przeddzień Sylwestra postanowiłem zadzwonić do mojego wywiadowcy od spraw kariery, niejakiego PDW.

— Muniek, masz jedynekę! — zawołał w słuchawkę.

— Naprawdę!? To się dzisiaj narąbie! — odpowiedziałem.

Jak rzekłem, tak zrobiłem. Najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że prapremiera „Warszawy” odbyła się równo (co do dnia) rok wcześniej w pokoju Pawła

w sąsiednim bloku na Przasnyskiej, przy okazji uczczenia mojego powrotu z Albionu. Po wspólnym wypiciu flaszki wódki i dwu flaszek wina, powiedziałem:

— Zagram ci numer...

Paweł podłączył do wzmacniacza rzęcha marki Defil „Malwa” i około północy wspomagając się na dwu strunach zaśpiewałem po raz pierwszy przyszłego hita radiowego. Trochę niepokoiło to jego rodziców (dochodziła północ), ja jednak nie ściszałem ani głosu i gitary, powtarzając piosenkę raz po raz. „Warszawa” musiała się spodobać Pawłowi, jako że przy trzecim wykonaniu zaczął wspomagać mnie w chórkach, co zresztą zostało utrwalone na jego prywatnej kasecie. Do dziś przy piwie wracamy do tej wersji, mało kto ją zna, pierwszy wers drugiej zwrotki brzmi np. „Studentki wirują swoimi ciułkami”.

Tekst powstał miesiąc wcześniej na emigracji w Zjednoczonym Królestwie, gdzie jako pomocnik kucharza, grubego Marka, kroiliśmy sałatki w barze „Parks” przy Highbury Street, dwa kroki od stadionu Arsenalu, ówczesnego mistrza Anglii. Zbliżały się święta, cknęło mi się za krajem, przyjaciółmi, itd. Z moim przyjacielem Majakowskim wspominaliśmy z nostalgią polskie klimaty ze schabowym włącznie. Dopadła mnie emigracyjna tęsknota, czego nie przewidywałem i z czego zawsze kpiłem ponieważ wydawało mi się to rzeczą sztuczną i obecną jedynie w literaturze. Owocem takiego stanu ducha stał się pomysł napisania piosenki od serca. W ten właśnie sposób powstał tekst „Warszawy”, wymyśliłem go podczas wieczornej szychty w knajpie. Był chyba piątek, straszny ruch w interesie, nie było nawet czasu na odlanie się. Zupełnie spontanicznie słowa ułożyły mi się w głowie, brakowało tylko papieru i długopisu. Bałem się, że wszystko zapomnę. W końcu wytargowałem piss off break i w kiblu, na papierze toaletowym, znacznie lepszej jakości niż polski, spisałem to co miałem w głowie. Później dokonałem tylko nieznacznych korekt. Pozwoliło mi to uwierzyć w siebie na nowo, jako że ostatnie teksty T.Love przed moim wyjazdem powstawały rzadko i na siłę, pisane tylko do gotowej muzyki.

Gdybym miał dziś pisać piosenkę o Warszawie – byłaby nieco inna. Miasto z mojej piosenki jest Warszawą z lat 80. To jakieś wspomnienie z czasów studenckich, teraz stolica zmieniła się trochę. Pierwsza zwrotka jest jakby hołdem oddanym Kicowi. Autobus 102 przenosi nas stamtąd do drugiej zwrotki, na Uniwersytet, skąd autobusem 122 wyruszamy na Żoliborz. Tam nad Wisłą, bądź na Sadach, jako że jest ciepło – dajemy czadu. Po kilku godzinach lądujemy gdzieś na Starówce, albo w winiarni „Marywil”, gdzie zresztą 3 października 1985 poznałem swoją żonę, Martę.

Była to jedna z pijackich rundek w combie Runio, Płochar i ja, z okazji rozpoczynającego się kolejnego roku akademickiego. Zakotwiczyliśmy w „Marywile”, jako że była to knajpa z dużym jak na tamte czasy wyborem niezłego a taniego wina (Cotnari na przykład). Na przeciwko nas przy stoliku siedziała grupka ludzi – wśród nich, jeden z moich grassowych znajomych, niejaki Beker, w towarzystwie dwóch dziewczyn, z których jedna, szczupła blondynka z kucykiem, zwróciła moją uwagę. Podzieliłem się swoimi spostrzeżeniami z kolegami, których jednak one zbyt nie interesowały. Nie jest brzydka, ale nie przesadzaj, mamy wino i jeszcze trochę forsy – powiedz! Runio (albo Wojtek). Ja natomiast odleciałem w metafizyczny niebyt, poddając się fali płynącej z nieba. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Jako że znałem Bekera, podszedłem do stolika rozpoczynając konwersację, oczywiście na wielkim luzie. Po chwili przedstawiłem się sobie i dowiedziałem się, że blondynka ma na imię Marta, do którego imienia miałem już od dawna wielką słabość, sam nie wiem dlaczego. Dziewczyna wydała mi się z początku bardzo nieprzystępna, wręcz zarozumiała. Okazało się później, że jest osobą nieśmiałą, a poza tym, mimo alkoholu, była dodatkowo spięta. Ja również, mimo tupeciarskiego stylu, miałem drzączkę. W końcu zostawiłem Runię z Płocharem i przyssałem się przez Bekera do Marty. Po wyjściu z „Marywila” poszliśmy w czwórkę do „Zapiecka” na Starówkę, na kurczaka z różną. Przysiadłem się do Marty i jakoś powoli łąpaliśmy kontakt. Odwiozłem ją nocnym autobusem, aż na sam

Żoliborz, na ulicę Przasnyską, gdzie oznajmiła, że mogę sobie pójść. Błąkałem się po jakichś krzakach, próbując znaleźć nocny na Grochów. Nie wiedziałem, że znajduję się parę kroków od przystanku 608...



*Marta, ja & Hipuszka*

Cztery lata później Marta została moją żoną. Zamieszkaliśmy na Przasnyskiej, dwa kroki od krzaków, w których się tarzałem. To właśnie dla niej napisane są ostatnie wersy „Warszawy” o jesiennym spacerze.

Z Martą, tak jak i z Warszawą, jestem bardzo mocno związany. To mój drugi dom, który stał się obecnie pierwszym. W Częstochowie zostawiłem rodziców i paru przyjaciół, ale bywam tam rzadko. Mieszkałem pięć lat na

Grochowie na Kicu, rok na Mokotowie – Batorego, Mada-lińskiego, ale swoje miejsce znalazłem na Żoliborzu w kwadracie osiedla Zatrasię – między Przasnyską, Elbląską, Krasińskiego i Broniewskiego i jak na razie bardzo mi to odpowiada.



*Marta & Janek*

## CODA

### (Dzieci Rewolucji 1982-92)

GŁOS: Muniek Staszczyk (od 1982)

GITARY: Janusz Knorowski (1982–85), Wojtek Wierus (1983–84), Andrzej Zeńczewski (1984–89), Rafał Włoczewski (1986–89), Jarek Kowalski (1986), Jan Benedek (od 1990), Krzysiek Szymański (1990–91), Krzysiek Zawadka (1991–92), Jacek „Perkoz” Perkowski (od 1992)

BAS: Muniek Staszczyk (1982–83), Jacek „Korń” Śliwczyński (1983–89), Przemek Wójcicki (1990), Wolfgang (1991), Paweł Nazimek (od 1991)

BĘBNY: Jacek „Słoń” Wudecki (1982–87), Piotr Wysocki (1987–89), Robert Szambelan (1989–90), Jarek Polak (od 1990)

KLAWISZE: Darek Zając (1982–89), Romek Kunikowski (od 1991)

SAKSOFONY: Jarek Woszczyna (1982–83), Heniek Wasążnik (1983), Piotr Malak (1984–85), Tom Pierzchałski (1985–89)

MANAGEROWIE: Bobesz Baranek (1983–85), Marek Kurenda (1985), Wiola Woźniak (1985), Kasia Szałańska (1986), Andrzej Zeńczewski–Muniek Staszczyk (1986–87), Gąsior (1988), Robert R. Witkowski (od 1989)

AKUSTYCY: Tomek „Zuber” Kamiński (od 1991)



*T.Love 84*



*T.Love 88*



*T.Love 85*







*TLove 91*

## Dyskografia

1. *Jeszcze młodsza generacja*  
(składanka TONPRESS) 1986
2. *My marzyciele I Garai, Liceum*  
(singiel, TONPRESS) 1987
3. *Miejscowi live* - (LP, MC - Klub Płytkowy „RAZEM”,  
POLTON) 1988
4. *Wychowanie* - (LP, MC - POLSKIE NAGRANIA)  
1989
5. *Pocisk miłości* - (LP, MC CD - ARSTON, BRAVO,  
POLTON) 1991
6. *Dzieci rewolucji 1982-92* - (LP, MC, CD - ARSTON,  
POMATON) 1992

## Obecny skład (KWIECIEŃ 1992)

Muniek Staszczuk (29) – voc  
Jan Benedek (24) – g  
Jacek Perkowski (28) – g  
Paweł Nazimek (23) – b  
Jarek Polak (20) – dr  
Romek Kunikowski (29) – kbds  
Robert Witkowski (30) – management  
gościnnie: Dorotka Dzieńkiewicz (20) – voc

## POSŁOWIE

Ponieważ o smaku takich książek, jak to oto dzieło wspomnieniowe Muńka, przesądzają anegdoty, zacznę i ja od jednej. Jakoś w 1984 lub 1985 roku, jako wzięty podówczas felietonista rockowy (i jeden z nielicznych, który publicznie okazywał życzliwość kapelom undergroundowym), zostałem zaproszony na koncert jednej z najbardziej stylowych i cenionych polskich grup punkowych. Koncert odbywał się w Hybrydach; na miejscu okazało się, że w pierwszej części wystąpi T.Love Alternative. Znałem tę nazwę, nie znałem jednak jeszcze zespołu. Zapytałem więc lidera owej punkowej grupy, człowieka zresztą bardzo poważnie traktującego swoją muzykę i swoje przestanie, co to właściwie jest ten T.Love. Na co po raz pierwszy usłyszałem określenie, wypowiedziane z pewnym lekceważeniem, które później miało towarzyszyć Muńkowi i jego kapeli przez lata: „A, to tacy jajcarze z Częstochowy”.

Po koncercie miałem w pierwszej chwili coś w rodzaju lekkiego poczucia winy. Pomyślałem, że nie jest w porządku, jeśli występ „jajcarzy” (najzimmiej zresztą przyjęty przez publiczność koncert T.Love, jaki zdarzyło mi się oglądać), porwał mnie o wiele bardziej niż koncert czołowej, i bardzo ideowej kapeli punkowej, prowadzonej w dodatku przez mojego znajomego, jednego z niewielu, jakich miałem wówczas wśród muzyków. Od kilku lat bowiem forsowałem w prasie tezę, że punk, choć przyszedł z Anglii, natrafił w Polsce przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych na taką sytuację społeczną i duchową młodego pokolenia, że rozwinął się u nas ruch bardzo autentyczny, ożywczo działający zarówno na świadomość, jak i na muzykę rockową. A tu sztandarowa kapela punkowa przegrywa w moich oczach z „jajcarzami z Częstochowy”? Coś się nie zgadza. Teoria rozmija się z praktyką?

Miślę, że to było niezupełnie tak. Inspiracja punkowa przebiegała wśród polskich muzyków na dwa sposoby. Dla jednych punk był pewnym nienaruszalnym wzorcem, zarówno życiowym jak i estetycznym. Estetycznym — tzn. był rozumiany jako pewien typ zorganizowanego hałasu muzycznego, wymyślony przez Pistolsów. Sham 69 itp., który mniej lub bardziej wiernie się powielało. Życiowy — bo przesłanie śpiewanych utworów krążyło wokół kilku klasycznych sloganów w rodzaju „hate and war” lub „no future”. Nie było to zresztą całkiem od rzeczy: na początku ponurej dekady lat osiemdziesiątych uzyskany w ten sposób produkt był na miejscu i na czasie — żeby rzec patetycznie, odbijał stan ducha młodej generacji, nie tylko jej punkowej enklawy. Tyle, że na dłuższą metę postawa taka kryła dwa niebezpieczeństwa: przez ciągłe powielanie wzorca skazana była na wyjąłowanie (co zresztą gdzieś w okolicach 1985 roku rzeczywiście nastąpiło), ponadto w jakiś sposób sprzeczna była z samym duchem punka, który—jakby na to nie patrzeć — był formą sprzeciwu wobec zastanego świata, ale i zastanej muzyki.

Natomiast to, co zaproponował T.Love (a później szereg innych kapel), choć stanowiło poważne odstępstwo od kanonu punk rocka, czerpało zarazem z jego ducha, tego samego, który odświeżył w połowie lat siedemdziesiątych scenę rockową. Był to duch szyderczego prześmiewstwa wobec świata, odnajdywania w nim ogromnych obszarów głupoty, brzydoty i tandety, a zarazem — żywienie się nimi w swych utworach. Wesołe melodyjki T.Love' u stanowiły prowokację, którą niekiedy brali za dobrą monetę. Tymczasem na dnie przyspiewek w rodzaju „Garażu”, „Karuzeli” czy „Liceum” (nie mówiąc już o „Wychowaniu”) tkwiła gorzka świadcząca o głębszym znacznie rozpoznaniu świata, niż miało to miejsce w przypadku większości „poważnych” zespołów, patrzących na rzeczywistość przez pryzmat takiej lub innej ideologii.

Muniek, mający przez cały czas dominujący wpływ na oblicze T.Love' u, odzegnał się od atrakcyjnej przeciw i kuszącej roli pokoleniowego proroka. Obdarzony naturalnym poczuciem humoru wcielił się w inną rolę, mającą swoją wielowiekową tradycję — w rolę mądrego błazna. Podejrzewam, że właśnie to pozwoliło mu przetrwać 1989 rok, kiedy to w związku z przełomem politycznym znakomita większość zespołów rockowych, tak jak niegdyś poezja Młodej Polski, „osiwiła w jedną noc”. W nowe czasy wszedł z nowo-starym T.Lovem i z nowym hitem — „Warszawą”, która, gdyby nie została napisana przez człowieka o tak dużym poczuciu humoru i umiejętności obserwacji, musiałaby być sentymentalnym socrealem.

Osobiście poznałem Muńka jesienią 1986 roku. Było to przy okazji wywiadu jaki wspólnie z Mirkiem Pęczakiem postanowiliśmy — z myślą o sprzedaży produktu „Non Stopowi” — przeprowadzić z T.Lovem. reprezentowanym przez Muńka właśnie i Andrzeja Zeńczewskiego. Była to ciężka praca. Nagrywanie rozmowy — na starym szpulowym Grundigu, do którego z trudem udało się podłączyć mikrofony — przeciągnęło się do wczesnych godzin rannych. Gdy potem z Mirkiem odtwarzaliśmy tę taśmę, było tak: najpierw trochę wzajemnego badania się. potem rozmowa coraz zważsza, życzliwsza, pełna dowcipnych dialogów i ciekawych obserwacji, potem fragmenty, z których coraz trudniej było cokolwiek zrozumieć, aż wreszcie cisza: magnetofon nie wiedzieć czemu przestał cokolwiek rejestrować. W tej sytuacji, aby ów wywiad miał początek i koniec, musieliśmy sesję nagraniową powtórzyć. I to nie jeden raz.

# Spis rzeczy

|                     |    |                              |     |
|---------------------|----|------------------------------|-----|
| INTRO.....          | 7  | KOMUNA.....                  | 52  |
| ALFABET .....       | 8  | KONFLIKTY.....               | 55  |
| ATAK .....          | 10 | LITERATURA (I MUZYKA).....   | 59  |
| BAS.....            | 12 | MENADŻERIA .....             | 62  |
| BEATA .....         | 15 | MOŁDAWIA.....                | 65  |
| BLOK.....           | 16 | MUNIEK FOREVER .....         | 68  |
| BUNT.....           | 17 | MYSIA STREET.....            | 69  |
| CZĘSTOCHOWA.....    | 19 | NAGRANIA.....                | 71  |
| CZWARTE LICEUM..... | 22 | PŁOCHAR.....                 | 75  |
| FOSA .....          | 25 | SCHYŁEK.....                 | 76  |
| GARAŻ.....          | 26 | STACH.....                   | 78  |
| GAZERZY .....       | 28 | STRANGE TOWN .....           | 82  |
| GORBACZOV .....     | 31 | SZMALCZYK.....               | 84  |
| HAJNÓWKA.....       | 33 | UNIWERSYTET .....            | 85  |
| HYBRYDY.....        | 37 | VIDEO.....                   | 90  |
| JACEK .....         | 38 | WARSZAWA .....               | 93  |
| JAROCIN.....        | 40 | CODA .....                   | 97  |
| KARIERA.....        | 46 | DYSKOGRAFIA/OBECNYSKŁAD..... | 100 |
| KARUZELA .....      | 48 | POŚLOWIE .....               | 101 |
| KIC .....           | 49 | SPIS RZECZY.....             | 103 |

# T LOVE



13 grudnia przerwali szkołę. Była zima, nudno, patrole na ulicach, ciężko o alkohol. Pomyślałem - może teraz, jest dużo czasu. Pożyczyłem gitarę basową i zacząłem pisać piosenki. Pierwszy numer jakiego się nauczyłem to był "Wild Thing" na 2 strunach, a drugi stał się podstawą późniejszej "Gwiazdki".  
Bam baba bam ba

Po smutnych świątkach i wojennym sylwestrze rzuciliśmy wyzwanie beznadziei i apatii. W domu Darka Zająca rozpoczęliśmy próby. Był styczeń 82. Granie w zespole było lekkiem na atmosferę polskich ulic tamtej zimy. Spotykaliśmy się wtedy bardzo często. Teksty piosenek rodziły się jak z rękawa. Znaliliśmy tylko kilka podstawowych akordów, dodatkowym kłopotem był brak prawdziwego sprzętu nagłaśniającego i miejsca na próby. Stoniowi bił pałeczkami w książki i zeszyty, a gitary podłączaliśmy do odbiorników radiowych.

Pierwszy koncert zagraliśmy na naszej studniówce 4 lutego 1982 (...) Występował zespół klezmerski, który pozwolił nam zagrać tylko dlatego, że wstawił się za nami dyrektor. Perkusista miał bębny powiązane sznurkami. Stoniowi oczywiście to wszystko się rozpadło i bębny odjechały, każdy w swoją stronę. Zdaje się, że nauczyciele nawet nie za bardzo zauważyli kto gra i tańczyli w parach przy naszej muzyce.